

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 3/245

1968



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

K. WIERZYŃSKI : **CZARNY POLONEZ**
A. SUTKOWSKI : **SPRAWY POLSKIEJ MUZYKI**
CISI I GĘGACZE CZYLI BAL U PREZYDENTA
ANKIETA « KULTURY » —
CZYTELNICTWO NA EMIGRACJI (str. 159)

SPIS RZECZY

Kazimierz Wierzyński:	<i>Czarny Polonez</i>	3
Adam Sutkowski:	<i>Sprawy polskiej muzyki (I)</i>	20
Witold Gombrowicz:	<i>Fragment z dziennika</i>	30
Czesław Miłosz:	<i>Zapiskane wczesnym rankiem</i>	41
Marek Hłasko:	<i>List z Ameryki</i>	45

OBSERWATORIUM

Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Nieskończona rewolucja</i>	55
Nicola Chiaromonte:	<i>Skazańcy moskiewscy</i>	59
Redakcja:	<i>Protest i odpowiedź</i>	62

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Materiały do refleksji</i>	65
P.H.:	<i>„Litieraturna Gazieta” o „Kulturze”</i> ..	74

K R A J

—	<i>Cisi i gegacze czyli bal u Prezydenta (Opera)</i>	75
---	--	----

SĄSIEDZI

Józef Łobodowski:	<i>Bielmo na oku</i>	103
George Gömöri:	<i>Literatura węgierska 1967</i>	111

KRONIKA KULTURALNA

Zygmunt Turkiewicz:	<i>Kolekcja malarstwa emigracyjnego</i> ..	121
Andrzej Nakov:	<i>Kronika paryskiego anty-prowincjonalisty</i>	127
—	<i>Komunikaty</i>	132

WOLNA TRYBUNA

Józef Mackiewicz:	<i>Refleksje z Lindenfeld</i>	135
-------------------	-------------------------------------	-----

KSIĄŻKI

Aleksander Hertz:	<i>Monologi arabsko-izraelskie</i>	141
Zygmunt Nagórski, sr.:	<i>Pamiętniki George Kennana</i>	147
Ankieta „Kultury”:	<i>Czytelnictwo na emigracji</i>	159
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	160



J. Korson:	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	162
------------	----------------------------------	-----



Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	170
--------------	----------------------------	-----



J. Barthel de Weydenthal, A. Czerniawski, J. Laskowski, A. Polakiewicz, T. Ullmann, J. J. Wiłkoyć:	<i>Listy do Redakcji</i>	172
---	--------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Marzec - Mars

1968

INSTYTUT



LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ „KULTURY”

Franciszek Strociak, Park Ridge, Ill. (USA), po raz siódmy	F. 24,00
Mieczysław Błaszkiwicz, Brooklyn, N.Y. (USA), po raz siódmy	F. 9,00
Wilhelm Bismayer, Chicago, Ill. (USA), po raz trzeci	F. 24,00
Janina Szarlak, Monachium (Niemcy), po raz czwarty	F. 5,00
Edward Baumiller, Daytona Beach, Fla. (USA), po raz piąty	F. 36,00
Janusz Sobieniak, Toronto, Ont. (Kanada), po raz piąty	F. 111,50
Leon Holzer, Camberwell, Vic. (Australia), po raz czwarty	F. 108,00
Janusz Zembrzusi, Paryż, po raz ósmy	F. 100,00
Anonimowo, Paryż, po raz trzeci	F. 500,00
W. Iwanowski, Milton, Mass. (USA), po raz piąty	F. 39,00
Jerzy Gintel, Caracas (Wenezuela), po raz ósmy	F. 63,00
Zygmunt Gabryszewski, Chicago, Ill. (USA), po raz piąty	F. 5,00
Stanisław Gombiński, Paryż, po raz czwarty	F. 50,00
Jan Hrycewicz, Toronto, Ont. (Kanada), po raz drugi	F. 76,00
Anonimowo, Milwaukee, Wis. (USA), po raz piąty	F. 39,00
G. Dobrzański, Toronto, Ont. (Kanada), po raz piąty	F. 31,00
Z. Nitosińska, Montreal, Que. (Kanada), po raz drugi	F. 9,00
S. Dziakiewicz, Trenton, N.Y. (USA), po raz drugi	F. 49,00
Józefa Turska, St. Anne de Bellevue, P.Q. (Kanada), po raz siedemnasty	F. 166,00
Janina Surynt, Waroczevska, Toronto, Ont. (Kanada), po raz piąty	F. 39,00
Polonia Technica, Inc. Ass'n of Polish-American Engineers, New York	F. 73,00
Nina Sereda, Montreal, Que. (Kanada), po raz dwudziesty czwarty	F. 34,00
Bezimiennie, Toronto, Ont. (Kanada)	F. 19,00
Zbrane w Toronto na wieczorze z okazji Dwudziestolecia „Kultury” pp. Heydenkorn — dol. 1, Frikke — dol. 1, Bodzicz — dol. 1, Gruszczyk — dol. 1, Krasuska — dol. 1, Schneider — dol. 1, Ozdowska — dol. 2, Balewicz — dol. 3, Habrowska — dol. 2, Świętorzecka — dol. 10, bezimiennie — dol. 7 — razem dol. can. 30	F. 135,00
Ks. Donald Malinowski, Winnipeg, Man. (Kanada), po raz trzeci	F. 31,50
Marie Butler, Paryż	F. 10,00
Jerzy Giedroyc — przyznana mu nagrodę im. Anny Godlewskiej	F. 1698,00

◆
DZIĘKUJEMY!

Najserdeczniej dziękujemy pp. Wł. Bączkowskiemu, St. Miki-
ciukowi, W. Nowakowi i dr. Witowi Tarnawskiemu, za nadesłanie
nam brakujących egzemplarzy „Kultury” z lat 1948, 1949 i 1951.

REDAKCJA

◆
Bieżący zeszyt „Kultury” zawiera 176 stron.

Imprimé en France

Czarny Polonez

*Oj! zasługuje na wielką naganę,
Kto kała gniazdo własne — ale taki,
Co widzi, ile gniazdo jest skalane,
To mi dopiero łotr, to łada jaki!...
— Taki jest cynik lub niezrozumiały,
Porządek może nawet popsuć wieczny;
Takiego warto by z Tarpejskiej skały
Potrącić... człek to bardzo niebezpieczny(!).*

NORWID — Zdrowy sąd (Fraszka)

CZARNY POLONEZ

Cyganicho, brudna ręka,
Czarny śmiech i czarny humor,
Zatańczymy, wywróżymy,
Zabawimy, zaśmiejemy
Ich na umór.

Bida ciemna i zbójecka,
Nędza głodna i łakoma,
Tańcowała bida z nędzą,
W drugiej parze zamasyście
Szkorbut i trachoma.

Obiecali a nie dali,
Na pstrym koniu pańska łaska,
Nikt się nawet nie obrócił,
Nocny kulig pognał dalej,
Z biczem mrozem trzaska.

W szybach gnuśno,
W izbach gnojno,
Drogi kopne, długa zima,
Uraczyli nas tą wojną
I pognali. Nic ich teraz
A nas nigdy
A nas nigdy
Nie zatrzyma.

Teraz my.
Z czarnego luda,
Zła krew nasza,
Zły nasz humor:
Zatańczymy, wywrózymy,
Zobaczycie jak się uda.

Na pstrym koniu bida z nędzą,
Na umór, na umór.

KOMBINAT

Nie ma żydowskich grajzlerni,
Nie ma śmierdzących śledziarni,
Ulice czyste, antyseptyczne,
Szosy, huty, miasta jak z igły,
Choć byś pyskował, musisz się zgodzić
U nas nie było tak nigdy.

Człowiek człowieka nie wyzyskuje,
Jeden za drugim zrównani w pochodzie
Po kilo cytryn, po sznurowadła,
Po wieprzowinę, jeśli sprzedają,
W wielkim pochodzie
Stoją od rana
Po całym kraju.

W Nowym Targu kombinat,
Wysokie domy,
Sandomierz piękny, pełen legendy,
Po dwie posady rano i wieczór,
I jeszcze coś z boku, o ileś przeczuł
Kto komu ile gdzie i którędy.

Konstypacja sumienia?
Trauma pokoleń?
To kpiny.
Niech się objawi gdziekolwiek za biurkiem
Potężny Jowisz, cioteczny kuzyn,
A jedziesz wysoko w awans społeczny
Na miękkich poduszkach
Służbowych limuzyn.

Człowiek człowieka nie wyzyskuje,
Jeden drugiemu podaje rękę,
Nie tylko że nie ma krzywdy,
Grajzlernie znikły,
Sandomierz piękny,
Miasta jak z igły
I musisz przyznać
Kombinat i kombinacje
Jakich u nas nie było nigdy.

MORALITET O CZYSTEJ GRZE

Czeka
N.K.W.D.
Gestapo
U.B.
I da capo.

Dawniej nocne pukania do drzwi,
Teraz czekamy w południe, najlepiej prywatnie,
Dawniej godzinami twarzą do ściany,
Teraz prosimy siadać, pomówmy poufnie,
Dawniej piwnica, karetka i przepadł,
Teraz niech pan się zastanowi, bo jakże inaczej,
Czasy unormowane, nie jest tak źle,
Mieszkanie z puli premiera,
Paszport konsularny na lata,
Stypendia, kongresy,
Pan widzi, wszystko się zmienia,
Żadna deprawacja, denuncjacja,
Żaden Orwell, to informacja,
Nasze prywatne okno na świat,
Kto i z kim, tak czy nie.

Niech pan się zastanowi,
Ustawi się moralnie,
Nam chodzi o szczerłość,
O czystą, jasną grę.



Mówi się — *double talk*,
Śni się — *double dreams*,
Żyje się — *double life*,
Ale skacze się z okna tylko raz.

MORALITET O KORYCIE

Gdyby to była przynajmniej kość
Ale to jest poszczerbiony kartofel
I trochę gysu.

A jednak żrą się,
Kasają się, gryzą,
Cała świta do koryta,
Jedno ryło wchodzi z kopytami,
Drugie ryło pcha się pod kopyta,
Każdy ryj pod ryjem ryje,
Wszystko jedno grys, kartofel,
Byle było ryło w ryło,
Wiwat Rzeczpospolita.



Obywatele,
Nie samym chlewem człowiek żyje.

ZAWRACANIE GŁOWY

Co mi pan głowę zawraca?
Godność ludzka?
Ja panu mówię — gnój,
Podnieśliśmy śluzu,

Chlusnęło narodem,
Popłynął jak powódź
I płynie, mówią, na nowe życie,
A ja panu mówię
Jeden procent jest nasz,
Jeden procent jest czegoś wart
A reszta
Do kina płynie, do żarcia,
Na ubaw miejski,
Na chamstwo z kastetem,
Nie pytaj pan co to kosztuje
I co z nimi potem robić
I na co ich wynieść,
Na godność ludzką?

Nie zwracaj pan głowy,
Ja panu mówię — gnój,
Zaorze się to i zasieje,
Trudny płodozmian, wiadomo,
Ale od czego nasza kultura,
Agrykultura, humanizm,
Inżynierowie dusz
Obmyślą od czego zaczynać,
Jak podciągnąć tę nadbudowę,
Tylko, mój panie, bazą jest gnój,
Gnój pospolity,
Łajno ojczyście,
Nawóz pod ziarno,
Gówno za pozwoleniem,
Nie żadna godność,
Nie żadna ludzkość,
To się wyprodukuje
Gdy przyjdzie czas.

WYPRAWA FENICKA

Spirytus, kabanos, konserwy,
Dolary najlepsze po 100 w jednym sztychu,
Skubani nie znajdują,
Konstanca, Konstantynopol, Ateny, Rzym,
Rumunom nie wierzyć,
W Turcji dobre skóry,

W Grecji nic,
W Rzymie to co innego,
Colosseum i gacie,
Płaszcz ortalionowe,
Złoto po dolarze gram,
Czaszka pracuje,
Trzy razy obrócić a krągły rok murowany,
550 Fenicjan na Freundschaft,
Na Transylwanii,
Bilet 36.000,
Pensja roczna przeciętnie 18,
Resztę trzeba dokładać przez duże R.

WYPRAWA NAUKOWA

Jedzie kultura i wiedza
Wartburgiem na Zachód,
Florencja, może Sycylia,
20 lat ciułałi oboje,
20 lat czekali oboje,
On profesor uniwersytetu,
Ona profesor uniwersytetu,
Wiozą niecierpliwy, zachłanny mózg,
Wiozą ojczysty dobrobyt,
Śpiwór zamiast hotelu,
Jeden worek kartofli,
Jeden worek konserw,
Bo tyle uciulałi
Przez 20 tłustych lat
Na nieuleczalną chorobę,
Na klaustrofobię
Polaków.

WIERSZ DO WOŁÓW

Woły ciągną pocztę przez Alpy,
Sędziwe, ciężkie woły pocztę lotniczą,
Z Rzymu do Polski, z Polski do Rzymu 10 dni,
Kochanowski jechał szybciej 400 lat temu,

Odrzutowce pełzną wolniej niż mknęła jego karoca,
Listów mu nikt nie prześwietlał, nikt nie notował
Jaki i gdzie się przybłąkał do niego
Zagraniczny *corpus delicti*.

Co to za nuda wobec naszej przemysłnej troski
O wolność słowa uwięzionego w kopercie,
O kamuflowany adres,
O serdeczny atrament,
Którym piszemy palimpsest
Naszego czasu.

Woły, nie śpieszcie się,
Rzućcie worki lotnicze,
Zastrajkujcie,
Zdyszane, spocone woły
W rozrzedzonym, czystym
Powietrzu Alp.

UCIEKAJĄ

Uciekają
Z wycieczek Orbisu
Z połowu śledzi
Z występów baletu
Jak się da
Surrealistycznie
Przez dziurkę od klucza
Z Kopenhagi
Z Jugosławii
Z Australii
Po całym świecie
Uciekają od Polski
Kwaterują w obozach
Znudzeni czekają na wynik clearingu
Dlaczego pan wybrał tę wolność kradzioną
Odpowiedź na skrawku papieru
W atawistycznym lęku
By nikt nie usłyszał
Ja tam nie mogę żyć.

I cały poemat skończony.

DOBRANOC

Przynajmniej nie trzeba się bać,
Przynajmniej można się zakryć
Kołdrą po uszy,
Sufitem po uszy,
Dachem po uszy,
Cholera po uszy,
Przekląć to wszystko
I spać.

Sny są nie ważne,
Nie donoszone
Ale nie śniły się nawet filozofom,
Sny są zdradzieckie
Nie podsłuchane
Nawet przez pluskwę ścienną,
Mikrofon.

Spać.

Wielkie wspólne sypialnie
Opiumowego snu,
Przy łóżku czuwa
Noc pomyślana totalnie,
Łaps uniwersalny,
Spluwa,
Nakryć się kołdrą,
Kurwa mać.

WIELKA SCENA

Równi i najrówniejsi na wielkiej scenie,
Wszyscy szczęśliwi, rekursu nie ma,
Wieczyste prawo ustanowione,
Odkryty ruch rotacyjny historii,
Jeśli są błędy, będzie poprawa,
Tylko zaczekać na nowy plan,
Bo nie ma wyspy na wielkiej scenie,
Reżyseruje wieczyste prawo,

Czasem się tylko aktor zaleje,
Jakiś statysta nie dorósł do roli,
Wraca do domu nocą po błocie,
W knajpie się brata z obywatelem,
Prowadzą się chwiejnie po chlapawicy,
Cholerny klimat, wszystko się zmieni,
Po zimie wiosna, obywatelu,
Po wiosnie lato, towarzyszu aktorze,
Plan rotacyjny, tylko zaczekać,
Wszyscy szczęśliwi i w nowych rolach,
Każdy się swego jeszcze dobije,
Tylko cichutko, w jakimś kąciku,
Może w tej knajpie, tam jakoś cieplej,
Jeszcze jednego pod naszą nadzieję,
Pod wielki dzwon nasz, klimat nie klimat,
Wieczyste prawo, więc tylko zaczekać,
Cierpliwie, spokojnie zaczekać
Na wielką scenę,
Na przyjsście Godot.

ŚWIERZB

Zaprasowaliście naród jak portki
I co z tego macie
Sztynny kant
Wszyscy tylko o jednym
Byle by skończyć
Skończyć czym prędzej
Fajerant.

To nie oszustwo ubóstwo
Brakoróbstwo przekupstwo
To jest świerzb.

Świerzb na rękach na nogach
Na głowie we włosach
Na języku i w uszach
We dnie i w nocy
Na bankietach i fetach
Przy orderach i bez
U fatygantów u dygnitarzy
Świerzb w pióropuszech

W robociarskim kombinezonie
W zaoliwionych bluzach
Bodaj byś szczuł.

Świerzb który nie pozwala się cieszyć
Który nie pozwala zapomnieć
Który swędzi i niecierpliwi
Wszystkich w całej ojczyźnie drożyźnie
Codziennie w każdej drętwej gazecie
Na poczcie w tramwaju w kuchni
W napisach kredą na schodach
Wysypka pod skórą puchnie
Slimaczy się w spoconych obchodach
I w mowach mowach mowach
Kant.

Świerzb że coś to nie tak
Że lepiej już byle jak
Byle by skończyć
Skończyć czym prędzej
Fajerant.

Bo to śmieszna cholerna choroba
Drapiesz się nie pomaga
Nie drapiesz się nie pomaga
Żadne lekarstwo pomada
Wszystko to nic nie znaczy
Wszystko powinno być inaczej
Wszystko oszustwo
Błaga błaga.

Alergia
Świerzb.

SUCHE GAŁĘZIE

Suche gałęzie czekają
Na Prometeuszów zakutych i rozpętanych
(Zakutych jak tępe łby,
Rozpętanych w ochlaju władzy),
Na Spartan gotowych strącać ze skały,
Na Rolandów dmących w róg obfitości,

Na Robespierrow z pełnymi majtkami,
Na Makrotów patriotów,
Na katolików w stanie łaski UBeckiej,
Na bezsens polski w kraju i za granicą,
Na wszystkich
I na wszystko
Co można tu wpisać
Z Xiąg (tego) Rodzaju Ludzkości.

Nie dajcie długo czekać
Suchym gałęziom
Na zasłużonych.

APOTEOZA

Głupota niedźwiedzi niedouczonej w Smorgoniach,
Głupota piwniczna, najgłębsza i najciemniejsza,
Żarliwa, z pianką w kącikach ust,
Zirytowana, bo jednak nie wyszło,
Nerwowa, jękająca się,
Z pyciem na języku,
Głupota aż piszczy,
Głupota dla głupich,
Czysta jak ła.
Szczęśliwa.

Głupota z cytatai, intelektualna,
Głupota poblądłych w dyskusji,
Głupota-demon z wizji Witkacego,
Smutna, bez poczucia humoru,
Łysa śpiewaczka w brawurze włosów.

I głupota-nie-na-żarty
Głupota-nie-na-wieść,
Głupota opryczników
Trenowanych z batem w ręku,
Groźna i wojująca,
Głupota na szczęblu,
Głupota na dzisiaj,
Głupota na jutro,
Do nie wiadomo kiedy,
Tragiczna.

STABILIZACJA

Zaaklimatyzujemy się
Zaaprowidujemy się
Postarzejemy się
Przyzwyczaimy się
Pogodzimy się.

Wszystko się jakoś zablźni
W naszej pijanej ojczyźnie
Na ranach pajęczyna
W dziurawych ścianach mech
Minie jeden miniony okres
Jedna kolejka
Minie drugi miniony okres
Setna kolejka
Mała stabilizacja
Wielka kapitulacja
Aklimatyzacja
Racja racja
Śmiech.

IZRAEL

Pojechali polscy dyplomaci,
Listonosze Sowietów,
Z moskiewską pocztą
Rzucić czarną gałkę na Izrael,
W kapturowym sądzie wygłosować
Śmierć zaoczną.

Gdzie tu jest ściana płaczu,
Gdzie tu niedola kamieniała od wieków,
Gdzie tu schodzą się Żydzi?
Ja chcę tam pójść,
Stanąć między nimi,
Pochylić głowę,
Polak który się wstydzi.

PRZYKAZANIA

1.
Nie będziesz miał innej władzy przed naszą władzą dla władzy.
2.
Nie będziesz wzywał imienia wolności nadaremnie.
3.
Pamiętaj że jesteśmy nieomylni i wiemy wszystko dla wszystkich.
4.
Czcij doskonałość naszą, aby nikt nie wyszedł z naszego błędu.
5.
Nie lękaj się strachu, to metafizyczny dreszcz historii.
6.
Nie zabijaj bez nakazu, który wykonuj bez drżenia ręki i serca.
7.
Nie bluźnij gdy przyjdzie twoja kolej, śmierć jest naszym środkiem do życia.
8.
Przysługuj się bliźniemu, aby on wysługiwał się tobie.
9.
Wywyższaj go dopóty aż ocknie się zniewolony.
10.
Nienawidź bliźniego swego bardziej niż siebie samego.

DO TOWARZYSZA WIESŁAWA

Towarzyszu Wiesławie,
Pan powiedział że Katyń to Niemcy.
Szkoda.

Moskwa pana za to już uściskała,
Polska panu ręki nie poda.

A było całkiem inaczej
Tak niedawno,
Październik 56:
Kilka lat temu
Na rękach mogliby pana nieść.

Wtedy szedł pan na sztych,
Na warszawskie lotnisko,
Aresztant pod blask epoletów:
Co pan tam mówił, nie wiedział nikt
Ale wierzyli panu,
Ciągnął za panem tłum
Robotników,
Studentów,
Poetów.

Myśleli że dość pan nasiedział się w celi
Po turecku, w kukki,
Wydawało się, szedł pan pod włos,
Po naszemu,
Prawie tak
(Przepraszam za wyrażenie)
Jak Piłsudski.

Dwa kroki i nagle stop,
Zawrócił pan z drogi,
Cofał się coraz głębiej i dalej,
I wykladał pan rację stanu
Pragmatyzm,
(Choć przecież nic pan nie zna się na tym)
Ale już pana nie słuchali.

Tupał pan jak stupaja
I rugał pan po ichniemu:
Wolność to rzecz nie wozmożna,
Aż na cały świat zaśmierdziała
Ta pańska polska pieczęć
Ze sowieckiego różna.

Przegrał pan marsz,
Skończona partia i kwita.
Co panu zostało,

Ubeckie hufce?
Niech pan spojrzysz przez okno
Jaka tam noc,
Jak przed panem ucieka
Rzeczpospolita
W złodziejskiej cyklistówce.

Wyrwała się spod szarf,
Spod transparentów
Które ciekną po słupach
Mokre od słoty,
Z nudy wyrwała się,
Z obrzydzenia,
Ze zgryzoty
I — niech już będzie — ze strachu,
Ale biegłaby tak do diabła
Byle dalej od pańskich
Ideowych paragrafów.

Z bagna,
Ze smutku czarnego, z dziczy
Z troski codziennej,
Bezradnej do śmiechu i łez:
Niech pan spojrzysz jak to wygląda,
Milicjant przed pańskim domem,
Drętwe milczenie
I jeśli kto zaskowyczy
To w budzie pies.

Niech pan zrozumie,
Już nikt się niczemu nie dziwi,
Dygnitarz, badylarz,
Literat, lakiernik,
Pucybut pod szyldem Pasta Kiwi
I w swoim oknie zapamiętali
W bezsilnym skurczu
Ostatni ucziwi.

Teraz niech pan zarządzi obławę,
Pościg pogna przez całą noc
I nikogo nie złapie,
Najwyżej na ostrym zakręcie
Jakiś pański szantrapa
Podstawi nogę drugiemu szantrapie.

Ale może pan w końcu się dowie
Od swoich szpiclów po takiej obławie
Jak to naprawdę wygląda,
Jak ludzie klną,
Jak w rowie przydrożnym
Na zmiętej trawie
Rzeczpospolita pańska,
Dziwka stargana,
Przeklina to wszystko i pana,
Towarzyszu Wniesławie.

NOCNA OJCZYŻNA

Jest jeszcze miłość,
Raniona miłość
Samotna, gorzka,
Której nic nie odstraszy:
Dla „śmiesznej nędzy polskiej”,
Dla sensu nad klęską
Wszystkiemu na przekór
Budować co można,
Co zbudowane
To nasze.

Miłość karalna,
Młodość raniona,
Trud by dorównać
Niepodzielności sumienia:
Wszystkiemu na przekór
Idzie milczący
Ale go słysząc,
Świadomy siebie
Krok pokolenia.

Z lądu na morze
Białe okręty
Spychają w życie
Nieznani,
Zamknięci w sobie
Ludzie bezsłowni:
W mieście uśpionym
Świeci im w pustce

Nocna ojczyzna,
Lampa w pracowni.

Tam przemijały
Złe, nadliczbowe
Godziny rozpaczey,
Zmory pamięci,
I stamtąd płyną
Rozchybotane
Ale je widać
Maszty nadziei
Na każdym okręcie.

To jest ta miłość,
Miłość raniona
Co przeliczyła
Całe bogactwo
Odbudowane
Rana po ranie:
Wierność sumieniu,
Sens ponad klęską,
Tego nie wezmą,
To było nasze
Jest i zostanie.

Kazimierz WIERZYŃSKI

Sprawy polskiej muzyki (I)

CZY JEST DZIS ONA „MUZYKĄ ŚWIATOWĄ?

Niewątpliwie pytanie w ten sposób sformułowane może się wydać retoryczne. Dziś zwłaszcza, gdy sukcesy dzieł Pendereckiego, a właściwie dwu ostatnich „Pasji wg. Św. Łukasza” i oratorium „Dies Irae” porównać można w skali i zasięgu jedynie z tryumfami Strawińskiego sprzed lat czterdziestu — międzynarodowa pozycja muzyki polskiej wydaje się wysoka i ugruntowana.

Penderecki nie jest zresztą jedynym polskim kompozytorem powszechnie uznanym w międzynarodowym świecie muzycznym. Także Witold Lutosławski chociaż w sposób bardziej powolny i mniej błyskotliwy znalazł się w rzędzie czołowych twórców muzycznych Europy.

Jeśli do tego dodamy ożywiony nurt twórczości i bardziej już sporadyczną obecność na estradach dzieł innych polskich kompozytorów, tak krajowych jak przebywających na emigracji, wydaje się że polska muzyka przeżywa okres międzynarodowej świetności nieznany jej już od kilku stuleci. Czy jednak upoważnia to do mówienia o jej „pozycji światowej”? Na podsumowanie jest z pewnością o wiele za wcześnie. O „światowej pozycji” jakiegokolwiek sztuki można mówić wtedy dopiero gdy staje się ona nieodzownym elementem międzynarodowej kultury, gdy waży się ona oczywista i powszechna w świadomości międzynarodowego środowiska kulturalnego.

A przyznać trzeba, że dotychczasowa pozycja polskiej twórczości muzycznej (w przeciwieństwie do wykonawstwa) nie była najlepsza.

Pozycja muzyki Chopina, niewątpliwie w swej skali wyjątkowa, nie stanowiła odskoczni dla innych, przeciwnie, akcentując jeszcze dystans dzielący ich kazała widzieć w Chopinie zjawisko wyjątkowe, pozbawione związków z tradycjami polskiej kultury.

W wieku XIX-tym żadnemu więcej polskiemu kompozytorowi nie udało się przekroczyć bariery dzielącej od uniwersalności. Przecież nawet twórczość Moniuszki pozostała w końcu zjawiskiem lokalnym, a jego opery, mimo powszechnej ich wysokiej oceny, sporadycznie tylko trafiają na sceny zachodnie, poza Polską utrzymując się jedynie w teatrach operowych niektórych krajów ościennych, w pierwszym rzędzie na scenach czechosłowackich i rosyjskich.

Mimo światowej sławy pianistycznej i bezprzykładnie wysokiej pozycji osobistej nie zdołał wejść do międzynarodowego panteonu kompozytorów Ignacy Paderewski, a także twórczość Karola Szymanowskiego święcąc tryumfy za życia kompozytora poszła w zapomnienie w powojennym okresie.

Oczywiście trudno przyczyny tego stanu rzeczy widzieć jedynie w „przesłankach obiektywnych”. Sukces artystyczny i jego trwałość są z pewnością wypadkową wielu czynników — można i należy je budować.

Polska kultura nie miała i niestety nie ma nadal szczęścia do tego rodzaju działalności. W okresie gdy nie istniała polska państwowość była ona w oczywisty sposób niezwykle utrudniona, potem natomiast zaistniały różne okoliczności skutecznie przeszkadzające wszelkiemu skuteczniejszemu działaniu w tym kierunku. Osobiste zawiści grały też niepoślednią rolę.

Istniał przy tym, i istnieje nadal, brak zdawania sobie sprawy z potrzeby wiązania ekspansji kulturalnej i innymi formami oddziaływania na zewnątrz.

Jednakże, mimo tych w wielu wypadkach niekorzystnych okoliczności, muzyka polska ma dziś sytuację pod wieloma względami rokującą poważne nadzieje. Z jednej bowiem strony znaczna, współcześnie działająca grupa wybitnych lub przynajmniej utalentowanych twórców stworzyła sytuację w której istnienie jej jako pewnej „szkoły” nie może być kwestionowane, z drugiej znów silne i powszechne zainteresowanie przeszłością ujawniło zapomniane dziedzictwo muzyki staropolskiej, będącej ponad wszelką wątpliwość jednym z najcenniejszych elementów naszej dawnej kultury.

Jednocześnie zabytki tej muzyki rozsiane w źródłach całej niemal Europy od Włoch po Anglię i Szwecję najdobitniej wykazują jaki zasięg miało oddziaływanie jej szczególnie w wieku XVI i XVII. Możliwość nawiązania dziś do takiego dziedzictwa nie jest z pewnością bez znaczenia, zwłaszcza obecnie gdy dzieła dawnej polskiej twórczości od dawna opuściły pracownie historyków i w postaci wykonań estradowych czy nagrań stają się coraz bardziej powszechną własnością.

Oczywiście wspomniane dotąd czynniki są jedynie przesłankami — czy i w jakim stopniu zostaną wykorzystane, przyszłość jedynie może wykazać. Trzeba przy tym brać w rachubę poważny czynnik całkowicie spoza kręgu spraw kultury jakim jest ogólne zainteresowanie dla problemów jakiegoś kraju czy środowiska. Przed dziesięciu z górą laty wielką szansą polskiego

filmu, dziś już całkowicie niemal zaprzepaszczoną, było — niezależnie od jego artystycznych wartości — zainteresowanie i kredyt zaufania jakimi wówczas darzono Polskę.

Siłą faktu sztuka kraju na którym skupia się z tych czy innych przyczyn powszechna uwaga ma wszelkie szanse aby być zauważoną. Zdobyta i utrzymana ranga wartości pierwszego rzędu rzutuje potem w przeszłość i przyszłość. Wystarczy tu wymienić choćby zainteresowanie dla pierwocin muzyki rosyjskiej z XVIII wieku, czy też dokonane w ostatnich latach „odkrycie dla Europy” dawnych kompozytorów chorwackich i słoweńskich. Recepcja kultury jest z pewnością zjawiskiem złożonym i szereg czynników pozornie odległych gra tu niepoślednią rolę.

Obok czynników natury ogólnej istotny jest tu niewątpliwie związek między różnymi dziedzinami sztuki, często sukcesy jednej torują drogę drugiej. Zdobycie i utrzymanie eksponowanej pozycji zależy z pewnością nie tylko od tego co ma do zaoferowania indywidualny twórca (to może stać się najwyżej budulcem jego osobistego sukcesu), choć z drugiej strony w kontekście jego wielkości zmienia się ogólna klasyfikacja dorobku całego środowiska. Dość wymienić tu chociażby szereg francuskich kompozytorów naszego stulecia, którzy mimo nader względnych wartości ich muzyki z łatwością wyprzedzili w powszechnej ocenie twórców, którzy wnieśli nieporównanie więcej, ale nie mieli kredytu wynikającego z przynależności do ugruntowanej tradycji.

Czy stworzenie jej w sposób nieciągły leży w ogóle w strefie możliwości? Że odpowiedź na to jest pozytywna świadczą przykłady muzyki czeskiej i rosyjskiej, których światowa kariera, datująca się od drugiej połowy ubiegłego stulecia, dzięki utrzymaniu jej ciągłości i wykorzystaniu sprzyjających okoliczności jest dziś ze wszech miar ugruntowana.

Podobne zjawisko towarzyszy dziś wspomnianemu już „odkrywaniu” kultur Jugosławii, które dzięki umiejętnemu działaniu przeszły od roli zupełnie nieznanych do posiadania znacznego kręgu oddziaływania.

Muzyka polska nie posiadała do niedawna (poza Chopinem oczywiście) ugruntowanej pozycji międzynarodowej, chwila więc obecnego, wyjątkowego sukcesu jej ostatnich dzieł stwarza okazję do szerokiego i wszechstronnego zaprezentowania jej wartości, a tym samym do nadania „rangi uniwersalnej” utworom dotąd niedostatecznie upowszechnionym lub też niesłusznie zapomnianym (Szymanowski).

Oczywiście pozostaje sprawą otwartą w jakim stopniu utwory torujące dziś drogę polskiej muzyce są dziełami wybitnymi, w jakiej też mierze ich sukces jest funkcją rzeczywistych wartości. Odpowiedź na to jest z pewnością niełatwa, tym niemniej pozostaje jednym z naczelných obowiązków polskiej zwłaszcza krytyki muzycznej.

Tym więc większe obawy muszą budzić przejawy tłumienia jej niezależnych opinii, i to co najciekawsze nie tylko przez czyn-

niki partyjne. Najlepszym tego przykładem jest zeszłoroczna polemika na łamach „Ruchu Muzycznego” między Bohdanem Pilar-skim a redakcją.

Polemika ta wywołana faktem niedopuszczenia do druku fragmentu recenzji (której autor — nie chcąc ograniczyć się do powtarzania jakże często reklamowych komplementów prasy zagranicznej na temat „Pasji” Pendereckiego — samodzielnie chciał szukać odpowiedzi na poprzednie pytanie) postawiła na porządku dziennym inny istotny problem — ingerencji redakcji w integralność publikowanych tekstów. Przecież w gruncie rzeczy owa recenzja nie była w żadnym wypadku tendencyjna — autor jej wyrażał jedynie niepokój, nie bez słuszności zresztą, z powodu symptomów „komercjalizacji” stylu kompozytora.

Przytoczenie tego przykładu nie ma oczywiście na celu dezawuowania kogokolwiek — dowodzi on jedynie całkowicie niezdrowej atmosfery panującej w polskim świecie muzycznym, zwłaszcza „na styku” twórczości i krytyki.

Wszędzie gwarancją właściwej pracy krytyka jest jej autonomiczność, wynikająca z faktu, że jest ona pewną szczególną formą twórczości, że jego opinie wynikają jedynie z przesłanek estetycznych i że w żadnym wypadku nie mogą być „werdyktami” mającymi bezpośredni wpływ na losy twórcy i jego dzieła.

W polskiej niestety „rzeczywistości” jakże często krytyka i jej opinie, formułowane nawet w najlepszej wierze, dostarczają „podkładek” dla urzędowych czy prywatnych rozgrywek i „wykańczania”.

Stąd też źródło zjawiska zanotowanego poprzednio — autocenzura i uprawianie w interesie twórczości „krytyki zaokrąglonych kantów”, dążność do jakże częstego doszukiwania się za wszelką cenę wartości tam nawet, gdzie są one nad wyraz problematyczne, niekiedy w utworach w oczywisty sposób chybionych. Nie przyczynia się to do utrzymania odpowiedniej rangi krytyki, do pełnienia jej właściwej roli w kształtowaniu opinii. Krytyka „wyznawcza”, stawiająca sobie za zadanie *primum non nocere*, przestaje być wiarygodna, a opinie jej odczytywane są bardziej jako wypadkowa okoliczności niż meritum sprawy.

Cokolwiek jednak dałoby się powiedzieć, pozostaje faktem niezaprzeczalnym żywiołowość, niekiedy wręcz inflacyjna, polskiej twórczości i jej nowoczesne, niekiedy wręcz awangardowe oblicze. Fakt ten musi zastanawiać zwłaszcza w zestawieniu ze wzmoczoną represyjnością i pełnią „neostalinizmu” tak fatalnie oddziałujących swą presją na film czy dramaturgię ostatnich lat, nie mówiąc już o wręcz likwidatorskich tendencjach w stosunku do uniwersyteckich dyscyplin humanistycznych.

Wyjaśnieniem, częściowym przynajmniej, jest fakt że źródła obecnej sytuacji w muzyce sięgają swymi korzeniami dosyć odległej przeszłości. Okres „socrealizmu” był w Polsce stosunkowo krótki (1949-55) i spustoszenia jakie poczynił nie były siłą rzeczy ani zbyt groźne, ani też sięgające zbyt głęboko. Co więcej, Związek Kompozytorów Polskich okazał się w momencie październi-

kowego przełomu zdolny do trwałej eliminacji wpływów swych poprzednich „ideologów” z Z. Lissą na czele, stanowiąc pod tym względem wśród „związków twórczych” szczytny wyjątek.

W okresie „socrealizmu” „ideolodzy” tworząc z Sokorskim tandem teoretyczno-administracyjny zdołali skutecznie „wyznaczać marsz i sprawdzać krok” polskiej muzyki. „Twórcze” operowanie doktryną Żdanowa i samego Stalina (vide prace Lissy: „Zagadnienia Estetyki Muzycznej w Świecie Prac J. Stalina o Językoznawstwie” czy „Kultura Muzyczna w Świetle Ekonomicznych Problemów Socjalizmu w ZSRR J. Stalina”) stanowiło cios nie do odparcia.

Jednakże dziś, nawet te osoby muszą ograniczać swe ambicje: Sokorski do trywializacji programu radia i telewizji (młodzieżowa odmiana „proletkultu”), Lissa do likwidacji konkurencyjnych, pozawarszawskich katedr muzykologii i poddania działalności tej dyscypliny swej dyktatorskiej kontroli (jako jedynej „ciężkopartyjnej” postaci wśród jej przedstawicieli); na aktualny kształt twórczości nie udało się im jednak odzyskać choćby minimalnego wpływu.

Jakkolwiek więc okres 1949-55 był w sumie fatalny dla polskiej kultury, w dziedzinie muzyki stworzył instytucje, które przeżywszy go okazały się istotne dla jej dalszego rozwoju.

Traktowanie przez partię (zgodnie z doktryną Stalina) twórczości muzycznej (oczywiście poddanej rygorom „socrealizmu”) jako istotnego czynnika ideologicznej ekspansji kulturalnej, zaś wykonawstwa jako znakomitego środka propagandy na zewnątrz (na podobieństwo sportu), wymagało rozbudowy odpowiednich instytucji, w pierwszym rzędzie szkolnictwa muzycznego oraz sieci orkiestr symfonicznych, filharmonicznych i radiowych. To właśnie okazało się istotne. Wprawdzie „socrealizm” jednych zmusił do milczenia, innym narzucił oblicze tak dalece sprzeczne z własną estetyką, że jedynym wyjściem była emigracja zewnętrzna lub częściej wewnętrzna, innych wreszcie prostytuując na czas dłuższy lub krótszy, jako efekt pośredni i niezamierzony spowodował znaczny rozwój muzycznej pedagogiki.

W przeciwieństwie do „piszących nuty”, dla których okres ten oznaczał niebywałą *prosperity* ambicji i korzyści pekuniarnych, kompozytorzy z prawdziwego zdarzenia ograniczeni w swej właściwej działalności pedagogikę traktowali jako jedyne refugium sensownego działania. Ze względu na techniczny, „ideologicznie obojętny” charakter większości dyscyplin stanowiących przedmiot studiów kompozytorskich, presja „socrealizmu” była tu w znacznej mierze zredukowana.

Przystać ta nie była wprawdzie idealna (ludzie nie chcący całkowicie podporządkować się dyktatowi uczelnianej administracji partyjnej byli w trybie natychmiastowym usuwani), w sumie jednak nauczanie kompozycji pozostało na ogół we właściwych rękach. Pozwoliło to w momencie przełomu ujawnić się licznej stosunkowo plejadzie młodych twórców nie tylko utalentowanych, ale posiadających też odpowiednie przygotowanie.

Wprawdzie dopiero koniec okresu międzywojennego przyniósł polskiej muzyce wybitne talenty kompozytorskie w osobach Palestra, Malawskiego, Panufnika i Lutosławskiego, okres ten jednak pozostawił też znaczną grupę kompozytorów poważnych o należytym poziomie wiedzy i umiejętności, zdolnych uformować we właściwy sposób wybitne talenty, które znalazły się pod ich kierunkiem.

Oczywiście nie da się zaprzeczyć, że w końcu czynnikiem najistotniejszym okazało się pojawienie się we właściwym momencie tych właśnie talentów powodujące, że koniec „socrealizmu” stał się dla muzyki polskiej punktem wyjścia dla jej pełnego dynamizmu renesansu.

Katalizatorem przemian stylistycznych stał się rozpoczęty w roku 1956 doroczny festiwal muzyki współczesnej, organizowany po dzień dzisiejszy, choć przyznać trzeba że z coraz mniejszym powodzeniem i efektem.

W tamtych jednak latach stał się on najistotniejszym chyba czynnikiem kształtowania nowego oblicza polskiej muzyki. Ukazał on też niemal od początku swego istnienia ukształtowane i oryginalne osobowości twórcze. Do zjawisk szczególnie cennych i trzeba przyznać nieoczekiwanych należeli zwłaszcza ci, dla których punktem wyjścia nie musiało być żmudne odrzucanie „wężowej skóry” narosłej w okresie restrykcji i socrealistycznego konserwatyzmu. Ci też kompozytorzy w pierwszym rządzie w osobach Góreckiego, Pendereckiego i Bogusława Schaeffera, dziś już wchodzący w okres pełnej krystalizacji swego stylu, stworzyli szereg dzieł, którym z dużą dozą prawdopodobieństwa można przypisywać posiadanie trwałych wartości.

Obok tych najbardziej radykalnych i autentycznych nowatorów oraz kompozytorów milczących w okresie socrealizmu powróciła wówczas na estrady także coraz liczniejsza grupa „nawróconych”, do niedawna starająca się rozwiązywać nierozwiązalny w istocie dylemat twórczości i narzuconych jej ograniczeń.

Grupa ta, jak zwykle w podobnych wypadkach ilościowo najpokaźniejsza, mieszcząca w swej liczbie tak autentycznych twórców, jak grafomanów i spryciarzy poszła drogą najłatwiejszą — adaptowania dla swych potrzeb form i środków zapożyczonych u międzynarodowej awangardy, mając na uwadze jako główny cel utrzymanie swej dotychczasowej, dominującej pozycji.

Oczywiście utwory powstałe w ten sposób nie mogły odznaczać się autentyczną oryginalnością. Były też w większej lub mniejszej mierze mniej lub bardziej dosłownymi kopiami utworów awangardy zachodniej, w pierwszym rządzie włoskiej, szczególnie modnej w owym czasie.

Jednakże tworząc efekt silnego kontrastu w stosunku do niedawnej przeszłości utwory te zdołały w większości wypadków zmylić nie tylko publiczność, ale także krytykę.

Sytuacja była zresztą pod wieloma względami ułatwiona. Już samo przedstawianie się na nowe tory, stworzenie choćby utworów nieoryginalnych (co zresztą nie było wówczas łatwe do

wykrycia), ale stanowiących ostry kontrast dźwiękowy w stosunku do anachronicznej jałowości tworów „sorealizmu” musiało być przyjmowane w pełni pozytywnie, szczególnie, że było to równocześnie manifestacją politycznej emancypacji. Wszak w ZSSR mimo rozluźnień i coraz większego braku zainteresowania dla zagadnień ideologicznych, przejawianego przez kolejnych następców Stalina, „sorealizm” jest po dzień dzisiejszy oficjalną doktryną estetyczną. W latach 1956-60 był wciąż kanonem.

Zresztą inicjatorzy „Jesieni” ze Stefanem Kisielewskim na czele stawiali festiwalowi zadania bardziej jeszcze ambitne. Ze względu na wyjątkowość polskiej sytuacji miał się on stać „bufetem kulturalnym” (wyrażenie Kisielewskiego), terenem promieniowania muzycznej współczesności, forum dyskusji i swobodnych konfrontacji.

Takim też był w istocie przez swe pierwsze lata. Niestety i tym razem polskie środowisko muzyczne nie potrafiło wykorzystać do końca wielkiej szansy. Oczywiście winą nie leży tu tylko po jego stronie. „Warszawska Jesień” choć nadal istnieje, mimo kilkakrotnego poważnego zagrożenia jej kontynuacji przez czynniki partyjne (zwłaszcza na początku lat 60-tych) — nie należy zapominać że w rękach tychże „czynników” pozostaje potężny oręż w postaci subwencji

Powszechnie wiadomo, że wszelkie festiwale należą do kosztownych manifestacji kulturalnych a nakłady na nie, nawet przy pełnym powodzeniu, zwracają się bezpośrednio w stosunkowo nikłym stopniu. Z drugiej strony każdy festiwal pozbawiony elementu widowiskowości, nie prezentujący wirtuozowskich wykonań traci swe nieodzowne atuty.

Niewątpliwie też stopniowe ograniczanie do minimum udziału atrakcyjnych zespołów oraz spektakli operowych i baletowych spowodowało, że „Warszawska Jesień” przestała być festiwalem w pełnym znaczeniu stając się w coraz większej mierze dorocznym przeglądem, polskiej w pierwszym rzędzie, twórczości. Jako impreza międzynarodowa nie stanowi ona dziś czynnika równorzędnego w stosunku do „Praskiej Wiosny” czy zagrzebskiego „Biennale”. W związku z tym nie udało się też utrzymać roli festiwalu jako ośrodka promieniowania muzycznej nowoczesności na środowiska ościenne.

Wraz z naturalną śmiercią „sorealizmu” kolejno na Węgrzech, w Rumunii, Bułgarii i wreszcie Czechosłowacji (Niemcy Wschodnie odgrywają znikomą rolę jako ośrodek twórczości muzycznej) zainteresowanie festiwalem ze strony tych krajów niepomiernie zmalało, a jednocześnie wraz z postępującymi przemianami w stosunkach międzynarodowych odżyły w nich tradycyjne orientacje i związki z zagranicą: Rumunii z Francją, Węgier i Czechosłowacji z Austrią i z Zachodnimi Niemcami. Warszawska przestała być nieodzownym i istotnym punktem pośredniczenia i wymiany.

Oczywiście dążność do osłabienia, jeśli już nie likwidacji

„Warszawskiej Jesieni” wynikała zapewne nie tylko z przesłanek wewnętrznych. Wieloosobowe „pielgrzymki” młodych, zwłaszcza muzyków z Rosji, Ukrainy czy Litwy nie mogły mimo gromkich enuncjacji ich przewodników i „opiekunów” na temat „konieczności poznania przeciwnika” i „ideologicznej obcości formalizmu” nie budzić żywego zaniepokojenia partyjnych administratorów kultury ZSSR. Gdy natomiast „formalistyczne ciągoty” ujawniły się ze szczególną siłą w muzyce młodych kompozytorów republik bałtyckich rzecz nabrała bezpośrednio „politycznego wydźwięku”. Najbardziej bezpośrednim dowodem niepokoiu stały się napady i „donosy” jawiące się po każdym niemal festiwalu obficie na łamach „Sowieckiej Muzyki” z umiejętnością i, przyznać trzeba, nieprzeciętną odwagą kontrowane przez Zygmunta Mycielskiego w „Ruchu Muzycznym”.

Mimo wszystko jednak polskie czynniki partyjne, choć z upływem czasu coraz bardziej wrogie kulturze jako takiej nie podjęły dotąd kroków mających na celu bezpośrednią likwidację festiwalu. Należy też przypuszczać, że jego istnienie utrzyma się przynajmniej w najbliższych latach.

Oczywiście problem przybierającego szybko na sile antykulturalnego nastawienia obecnego kierownictwa partyjnego zasługuje na obszerną i szczegółową analizę. Nie bez znaczenia są tu oczywiście osobiste (nikłe lub żadne) potrzeby i upodobania jego „dyrektoriatu”. Notorycznie wrogi stosunek Gomułki do kultury i jej przedstawicieli jest aż zbyt powszechnie znany. To jednak z pewnością nie wyjaśnia istoty sprawy. Najistotniejszym momentem jest tu niewątpliwie klęska partyjnej koncepcji sztuki jako środka propagandy wewnętrznej i zewnętrznej. Sztuka wyzwolona z rygorów „sorealizmu” stała się nieprzystatna jako środek wewnętrznego oddziaływania, zaś jej zewnętrzne sukcesy nie równoważyły z pewnością kłopotów grożących wciąż ze strony „inteligencji twórczej”.

Fakt że „Warszawska Jesień” nie posiada dziś swego poprzedniego znaczenia międzynarodowego nie oznacza, że utraciła ona swe poważne znaczenie wewnętrzne. W istocie jej dominująca rola w kształtowaniu polskiej twórczości nie ulega najmniejszej wątpliwości. Jest ona nadal jej potężnym stymulatorem, szczególnie dla debiutów. Jest oczywiście zjawiskiem niepokojącym, choć zrozumiałym, że festiwal wraz ze zmniejszeniem jego międzynarodowego znaczenia stał się też mniej atrakcyjny dla polskich kompozytorów o pozycji międzynarodowej. Obecnie swe prawykonania rezerwują oni niemal wyłącznie dla festiwali zagranicznych, a w programie „Jesieni” ukazują się najwyżej ich powtórzenia. W ten sposób stała się ona w pierwszym rzędzie terenem debiutów kompozytorskich i przeglądem twórczości średniego poziomu.

Tej jednakże roli, jakkolwiek nie jest ona na miarę pierwotnych zamierzeń i ambicji, nie należy bynajmniej lekceważyć.

„Warszawska Jesień” dzięki szerokiej prezentacji współczesnych nurtów pozwala na utrzymanie tych debiutów na poziomie

nowoczesności, umożliwia też dosyć szerokie kontakty z młodymi kompozytorami z zagranicy. Dla tych ostatnich nie jest ona bez znaczenia dając okazję do zaprezentowania się na bądź co bądź znanym forum i zdobycie jakże istotnego dla dalszej kariery „stempla festiwalowego”.

Tak więc czasy gdy kompozytorzy miary Nono, Stockhausena czy Berio brali bezpośredni udział w festiwalu są już przeszłością, jednakże mimo spadku znaczenia „Warszawska Jesień” pozostaje otwartą szansą polskiej muzyki, a renesans jej międzynarodowego znaczenia nie przestał leżeć w skali możliwości.



Jest tu jednak (jak zazwyczaj w podobnych wypadkach) także „odwrotna strona medalu”. Tym co zawsze w sztuce najbardziej raziło młodych i przeciw czemu zawsze buntowali się, był akademizm. Pojęcie to wiążemy zazwyczaj z pojęciem artystycznego konserwatyizmu, układności, bezosobowości. To można by nazwać „akademizmem klasycznym”. Są jednak także możliwe jego inne postacie nie tylko nie buntujące młodych, ale przeciwnie, masowo ściągające ich pod jego sztandary. To właśnie „akademizm awangardy”. Poza środkami formalnymi natura jego nie różni się w istotny sposób od „akademizmu konserwatywnego”. I tu i tam zasadniczą cechą jest bezosobowość i niewolnictwo konwencji.

Oczywiście uprawianie „akademizmu awangardy” jest o wiele wdzięczniejsze ale w skutkach chyba nie mniej groźne, zawsze przecież polega ono na rezygnowaniu z własnej drogi i jej poszukiwania i na przyjęciu z pobudek przeważnie koniunkturalnych gotowej konwencji stylu.

Taki właśnie rodzaj akademizmu jest dziś zjawiskiem powszechnym wśród liczego pokolenia kompozytorów, którzy debiutowali już w latach sześćdziesiątych. Uprawianie go staje się zresztą niemal koniecznością — utwory utrzymane w innej konwencji mają znikomą szansę dostania się do programu „Warszawskiej Jesieni” czy jej lokalnych filii we Wrocławiu i Poznaniu.

Niestety, w powodzi tych „odkrywczych” z pozoru kompozycji, których autorzy zdają się cały wysiłek koncentrować na nadaniu im coraz bardziej wyszukanej postaci dźwiękowej rzadko można znaleźć cechy autentyzmu. W większości wypadków powtarzają one (niekiedy na podobieństwo kalki) ukształtowania formalne i struktury dźwiękowe utworów, które zdobyły eksponowaną pozycję na poprzednim festiwalu. Ten też styl pracy od „Jesieni” do „Jesieni” z wyraźnym akcentem na sezonowej modzie, z jednej strony nadaje żywe tempo twórczości, z drugiej jednak ujemnie wpływa na kształtowanie stylu młodych. Wśród prezentowanych przez nich utworów stanowiło zbyt często spotykamy „silenie się”, poszukiwanie niezwykłych choć przeważnie zapożyczonych efektów, a w utworach wokalnoinstrumentalnych

(bardzo modny gatunek) pełne pretensjonalności sięganie do tekstów, których już sam wybór ma natchnąć słuchacza nabożnym podziwem dla erudycji i wytrawności smaku kompozytora.

Jeśli do tego dodamy prymitywny, a często wręcz naiwny sposób „ilustrowania” owych tekstów muzyką (w co np. szczególnie obfitował ubiegłoroczny festiwal) z łatwością dochodzimy do wniosku jak niezdrową sytuację stwarza młodemu twórcy atmosfera snobizmu zmuszająca do nieustannego „przeskakiwania siebie”.

Cokolwiek jednak można by i należało powiedzieć o negatywnej stronie zjawiska, jest faktem niezaprzeczalnym że polska muzyka żyje dziś bardzo intensywnym nurtem twórczości, nieznanym jej od blisko trzech stuleci. Zróznicowanie tego nurtu (zwłaszcza w starszym pokoleniu kompozytorów) i sukcesy jego protagonistów każą widzieć w obecnej sytuacji szansę historyczną. Kontrast stylu dzielący Lutosławskiego i Pendereckiego, głównych dziś przedstawicieli polskiej muzyki współczesnej na forum międzynarodowym i ich równoległe sukcesy udowadniają, że nie chodzi tu już o wąski krąg „klubu awangardy”, ale o istotne wartości znajdujące wyraz w zróznicowanych postawach stylistycznych.

W obecnych rozważaniach celowo pomijam charakterystykę stylu poszczególnych kompozytorów czy ich grup koncentrując się wyłącznie na „socjologicznym” aspekcie sprawy. „Panoramie kompozytorów” i bardziej szczegółowej charakterystyce ich stylu będzie poświęcony następny odcinek artykułu. Ponieważ muzyka bardziej niż inne sztuki związana jest z jej „stroną instytucjonalną” naszkicowanie (choćby pobieżne) warunków i okoliczności warunkujących jej rozwój i w pewnej mierze charakter wydawało mi się konieczne.

Brak też pełnej odpowiedzi na pytanie postawione w tytule, ale tu na podstawie istniejących przesłanek snuć można na razie jedynie przewidywania.

Adam SUTKOWSKI

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Fragment z dziennika

10. I. 68

Pedro?
Francisco?
Nicolas?
Conrado?
Esteban?
Manuel?
Roberto?
Marcelo?
Eduardo?
Luis?
Lucio?
Alejandro?
Bernardo?
Pablo?
Gregorio?
Antonio?
Guillermo?
Felipe?
W okrugłościach nieślubnych
mego z Rosą
gabinetu...

ROZMOWY Z DOMINIKIEM DE ROUX V DIALOG O FORMIE

ROUX: — Odnoszę wrażenie, że ta pańska „forma” za ciasno bywa rozumiana przez czytelników i krytyków. Na ogół sprowadza się ją do tego, że ludzie kształtują się między sobą. To nie wystarcza.

GOMBROWICZ: — Nie. Oczywiście, że nie.

R.: — Czy mógłby pan wprowadzić nas w arkana tej chemii?

G.: — Rzecz jasna, u mnie te sprawy nie są usystematyzowane, nie jestem uczonym. Mogę jedynie wymienić niektóre sytuacje w moich utworach.

Ala powiem naprzód, że deformacja ściśle międzyludzka nie jest jedyna przede wszystkim dlatego, że człowiek w najgłębszej swojej istocie ma coś, co chętnie nazwałbym „imperatywem formy”. To coś jest chyba nieodzowne wszelkiej istocie organicznej. Na przykład wrodzona nam konieczność „zaokrąglania kształtu”. Wszelki kształt napoczęty domaga się uzupełnienia, gdy powiem *a* coś mnie zmusza do powiedzenia *b* i tak dalej. Ta konieczność zaokrąglania, dopowiadania w myśl jakiejś logiki immanentnej kształtu, gra bardzo wielką rolę w moich utworach.

W *Kosmosie* akcja polega na tym, że insynuują się pewne kształty z początku embrionalne, stopniowo coraz wyraźniejsze... na przykład idea wieszania... mój bohater jest na ich tropie, już, już, wydaje mu się, że coś wyłoni się określonego, że rebus będzie odczytany... boi się, ale pragnie... i za każdym razem kształt zapada się w chaos.

R.: — W opowiadaniu o dwóch profesorach z *Ferdydurke* też mamy do czynienia z takim imperatywem formy.

G.: — Tak. Z imperatywem Symetrii i Analogii. Profesor Wyższej Syntezy znajduje swój odpowiednik w profesorze Wyższej Analizy. Jeden działa syntetycznie, drugi analitycznie. Demon symetrii, obecny w całym opowiadaniu, osiąga kulminantę w scenie pojedynku: gdy Analityk wyłamuje z osi symetrii, strzelając w mały palec profesorowej Filifor, Syntetyk musi wyłamać strzelając w mały palec kochanki swego przeciwnika.

R.: — Jeden z krytyków określił to opowiadanie, jako tryumf Funkcji nad Ideą.

G.: — Bardzo słusznie. W samym zakończeniu zarówno idea Wyższej Syntezy, jak idea Wyższej Analizy, stają się pretekstem dla samej rozkoszy działania. Jak, przypuszczam, faszyzm lub komunizm.

R.: — Jednakże ten, jak pan go nazywa, imperatyw formy doprowadza często u pana do sytuacji o wiele bardziej skomplikowanych i perwersyjnych.

G.: — Tak. W *Kosmosie*, żeby dalej nie szukać, mój bohater zauważa szereg anomalii, drobnych, mglistych, z których każda nic prawie nie znaczy, ale wszystkie razem jakby coś chciały wyrazić... Wróbel powieszony na drucie, patyk powieszony na nitce, coś jak strzałki na suficie, wskazujące kierunek, dyszel który też jakby coś wskazywał... I to „coś”, zasilone innymi przeżyciami mego bohatera, jego fatalną miłością do Leny, poczyną przybierać

charakter coraz gwałtowniejszej insynuacji wieszania... powieszenia... Leny? W pewnym momencie mój bohater, jakby w niecierpliwości, spragniony dopowiedzenia szarady, do łańcucha wieszania dołącza jedno własne: wiesz na haku kota, którego zadusił. To akt nielojalny i perwersyjny, bo stanowi przeskok ze świata wewnętrznego w zewnętrzny, to jakby osaczanie siebie samego. Ale jest w tym jakaś głęboka konieczność duchowa.

R.: — Z tego jednak widać, że pan jest bardzo świadomy tego co pan pisze.

G.: — Do pewnej granicy. Kształtowanie się utworu we mnie jest chyba zasadniczo takie same, jak kształtowanie się rzeczywistości w moich utworach. We mnie też współpracuje szereg elementów, których nie zawsze jestem świadomy. Skąd mi się wziął, na przykład, ten „dystans fizyczny” w drugiej części *Kosmosu*, ta „echowość”? Po co zmusiłem ich do wyjazdu w góry?

R.: — A wsadzenie palca w usta... naprzód trupowi Ludwika, a potem księdzu?

G.: — Czy pan pyta, bo pana razi jaskrawość tych scen? Z punktu widzenia artystycznego jaskrawość jest bardzo pożądana; ten proces stwarzania formy, właściwy człowiekowi, będzie tym wyraźniejszy, im bardziej doprowadzi do czynów niesamowitych, dzikich, niesłychanych. Aby stać się w pełni wyczuwalny, musi przekroczyć granice normalności.

Dlaczego bohater *Kosmosu* wsadza palec w usta wisielcowi? Żeby — jest tego świadomy — połączyć w sobie tym aktem „wieszanie” z „ustami”. Dotąd to się działo w nim na osobnych torach. Dręcząca go do szafu asocjacja ust Leny z okropnymi ustami Katasi jakoś nie chciała mu się połączyć z owym „wieszaniem”, które go osaczało jakby z innej strony. Więc teraz on sam to skojarzy w sobie własnym swoim czynem, zapewne by sobie ułatwić powieszenie Leny z powodu ust. To w nim dojrzało do skojarzenia. Naturalnie w takim zabiegu może się ukrywać całe wężowisko impulsów, ma to także charakter aktu seksualnego itp. Interpretacje mogą być rozmaite, ważne dla mnie jest to, że istnieją czyny, których dokonujemy nie z jakichś zewnętrznych przyczyn, a dlatego, żeby utorować w nas samych drogę pewnym skojarzeniom, pewnej organizacji rzeczywistości. Są to czyny dokonywane na nas samych.

Mnie w *Kosmosie* chodziło, wie pan, o wyodrębnienie tego nurtu Formy, żeby ona ukazała się sama w sobie, jak jakaś czarna rzeka, płynąca osobno, zbełtana, coraz nowo kryjąca w sobie możliwości kształtu, niezgłębiona. W moim zamierzeniu to miał być utwór bardzo dramatyczny i myślę, iż w przyszłości takim się stanie... gdy mianowicie bezpośrednie wycucie Formy, jako

siły stwarzającej, stanie się w nas silniejsze. Wtedy pojmiemy jej grozę.

Przypadki z formą są niezliczone! W *Ferdydurke*, w żartobliwym rozdziale zatytułowanym „Przedmowa do Filimora dzieckiem podszytego” wymieniam casusy, jak „skręt psychiczny”, albo „kiks”, lub „skos psychiczny”.

Byłoby ciekawe, gdyby ktoś zadał sobie trud sklasyfikowania tych wszystkich przypadków z formą na kartach moich książek. Może wykryłby w tym normy mnie nieznane. Ja daję się ponosić wyobraźni i klasyfikacje mnie nie bawią.

Ale różnice pomiędzy poszczególnymi wypadkami są trudne do ustalenia, gdyż pojawiają się zawsze w pewnym kontekście duchowym, ich tło jest różne. Mogłoby się здаwać, że w *Kosmosie* wsadzenie palca trupowi w usta jest zabiegiem równie „nielegalnym”, co uprzednie powieszenie kota. A jednak nie — albowiem to już nie ten sam człowiek, on już jest teraz „po drugiej stronie”, po stronie świadomego stwarzania siebie. To z kotem, to była nieudolna próba. Teraz on już wie, czego mu trzeba, rozzuchwalił się i chce mieć siebie zdolnym do powieszenia Leny.

R.: — Czy analizy pana utworów, robione przez krytyków spod znaku strukturalizmu, trafiają panu do przekonania?

G.: — Niezbyt.

R.: — Czytałem niedawno bardzo poważną analizę *Pornografii*, spory esej ozdobiony wykresami, w którym mowa, że najważniejszą postacią *Pornografii* jest Skuziak, ów młody chłopiec ze wsi, którego Fryderyk zabija w ostatniej chwili niejako *gratis*, bez wyraźnego powodu. Autor eseju twierdzi, że to jest największe pana osiągnięcie, że tu wyłamuje się pan z formy powieściowej i daje pan powieści nowy wymiar. Akt pisania powieści wprowadza pan do powieści, którą pan pisze.

G.: — Wyznam, że formy powieściowe niewiele mnie interesują. Jest chyba charakterystyczne dla kultur nadmiernie wyrafinowanych, jak paryska, że ten olbrzymi problem formy redukuje się im zbyt często do wypracowywania coraz to nowych modeli „nowej powieści”, do literatury i, co gorzej, do literatury o literaturze. Wątpię aby oni na tej drodze daleko zajechali. Znów antynomia: ten tylko będzie wiedział, czym jest forma, kto nie oddał się na całość od burzy życia w całym jej ogromie.

R.: — Jak więc wygląda w pańskich oczach to zamordowanie Skuziaka?

G.: — Dlaczego Fryderyk zabija go? On go zabija zupełnie tak samo, jak wrzucamy do zupy kawałek mięsa: żeby zupa była smaczniejsza. On chce sobie zaprawić zupę młodym i zamordowanym, potrzebny mu smak młodej śmierci. Działa, jak reżyser, to zresztą jego rola od początku, on chce dojść do nowych „rze-

czywistości", do nowych piękności i czarów, zestawiając, ludzi, kombinując młodych ze starymi, to rodzaj Kolumba, który nie szuka Ameryki, lecz nowej rzeczywistości i nowej poezji. Ten młody jest na uboczu, pęta się nie wiadomo po co, trzeba go włączyć w sytuację. Jak? Zabić. To jeden więcej rym w tym poemacie, ale „rym dla rymu”, bez żadnego innego uzasadnienia.

Autor tej krytyki bardzo trafnie i rozumnie zauważył, że ten akt jest w tym sensie wyjątkowy i wyłamujący się z toku powieści. Ale nie przypuszczam, aby można było naprawdę pojąć coś z tego wyobrażając sobie, że ja podczas pisania głowiłem się nad problemami nowych struktur powieściowych. Cóż za nuda! Jakaż anemia! Lepiej by zrobił ten przenikliwy badacz widząc mnie, autora, w moim drżeniu, w moim zachwycie i wstydzie wobec krawego uroku młodej krwi. Trzeba uchwycić wszystkie prawdziwe, rzeczywiste, natężenia pomiędzy nami a Młodością. Przerabianie poezji na wykresy jest niewdzięcznym zadaniem. Ja bym na miejscu tych panów tego się wstydził.

R.: — Powróćmy do rozróżnienia, o którym wspomniał pan na początku. Powiedział pan, że oprócz deformacji narzucanych sobie wzajemnie przez ludzi, istnieje deformacja, która nawet w samotności daje się we znaki, będąca wynikiem owego „imperytywu formy”, który nami rządzi.

Dotąd mówiliśmy o człowieku samotnym. Co miałby pan do powiedzenia o człowieku wśród ludzi?

G.: — Nie chciałbym powiedzieć za dużo. Wolę, aby to wszystko stopniowo odsłaniało się w ciągu naszych rozmów.

Krótko: człowiek narzucający swoją formę jest aktywny, jest podmiotem formy, on ją stwarza. Gdy forma jego dozna zniekształcenia w zetknięciu z formą innych ludzi, wtedy jest w pewnej mierze stwarzany przez innych, jest obiektem. I nie są to wcale powierzchowne przeobrażenia, gdyż forma przenika nas aż do głębi, wystarczy, abyśmy zmienili ton głosu, a już pewne treści w nas nie będą mogły być wypowiedziane, nawet pomyślane, nawet może odczute.

Tutaj nasuwa się ogrom wariantów. ludzie są rozmaici, kombinacje między nimi są niewyczerpane. A do tego dochodzi potężny nacisk form już gotowych, wypracowanych przez kulturę. Każda z trzech części *Ferdydurke* kończy się eksplozją, wywołaną zderzeniem form nie dających się pogodzić. Osobom, biorącym udział w tych sytuacjach, brak wspólnego mianownika, formuły, interpretacji, czegoś co by pozwoliło „ująć” sytuację. I wybucha Dysonans, Anarchia, Wielkie Rozprzężenie.

R.: — Najciekawsza wydaje mi się w *Ferdydurce* środkowa z tych trzech eksplozji, ta z nowoczesną pensjonarką. I przecież ta część *Ferdydurke* jest niezwykle aktualna, trudno uwierzyć że

to było pisane trzydzieści lat temu. „Nowoczesna młodość” dopiero teraz dostąpiła ubóstwienia.

G.: — Prorokuję, że młodość jeszcze bardziej da się nam we znaki w przyszłości; głębiej, straszniej, będzie się nam wdzierać w odczuwanie.

Bohater *Ferdydurke* walczy zżarcie z czarem nowoczesnej pensjonarki, ponieważ to jest mitologia zwężona, tania, niedojrzała. Jego taktyka polega więc na konfrontowaniu pensjonarki z tym, co ją przekracza. Pensjonarka uwielbiana przez starego Pimkę? Owszem. Pensjonarka w objęciach młodego Kopyrdy? Tak. Ale pensjonarka w koszuli wobec Pimki i Kopyrdy jednocześnie, to już coś głupiego, niezręcznego, nie dającego się zamknąć w gotową sztancę, zwłaszcza gdy doskakują rodzice wprowadzając jeszcze większy zamęt. To pęka.

A poprzednio mój bohater, żeby „zepsuć sobie pensjonarkę” obrywa musze skrzydełka i tą okaleczałą, bolejącą muchę umieszcza w pokoiku pensjonarki. Pensjonarka nie wytrzyma tej muchy — takie są jego kalkulacje — gdyż ból, choroba, okropność świata nie mieszczą się w jej nowoczesnym stylu, zdobyczym, optymistycznym stylu młodości i nowoczesności.

Gdyby mi ktoś powiedział, że to wszystko nie różni się tak bardzo od najzwyczajszego naruszenia konwenansu — gdy ktoś przychodzi bez krawata na proszony obiad — może zgodziłbym się, aby uniknąć dyskusji. Tylko, że u mnie to ma inną wagę i staje się narzędziem stawiania się ludzkiego. Nie zdziwiłbym się, gdyby człowiek przyszłości rozszerzył sobie olbrzymio swoje możliwości twórcze za pomocą takich metod — takich rozsadań i konfrontacji w królestwie Formy.

Zresztą przykłady, które zacytowałem to tylko *abc* tego alfabetu, nie znajęcego granic. Potężna to i bezmierna dynamika. Człowiek poddany międzyludzkiemu jest jak kawałek drzewa na wzburzonym morzu, wzbija się, spada, grąży w odmetach, łagodnie spływa po świetlistych zboczach, pochłaniają go rymy i rytmy zawrotne, boczne perspektywy; przeniknięty ludźmi, poprzez formę, aż do rdzenia, jest potężniejszy od siebie i sobie nieznany, drogi jego, nieprzewidziane, otwierają się same i on nieraz dosłownie „nie wie co się z nim dzieje”. Jest funkcją napięć powstałych w przypadkowych, zmiennych, układach, tworzonych przez ludzi, będących wypadkową wielu ciśnień... ten to twór międzyludzki, nieznany i nieuchwytny, wyznacza mu jego możliwości.

Dużo by o tym gadać!

R.: — Czy pan uważa siebie za psychologa w sensie naukowym?

G.: — Nic podobnego. Widzę i opisuję. Znalazłoby się w nauce kilka koncepcji człowieka, z których każda jest pod jakimś

względem zbliżona do mojej, ale żadna nie jest akturat tym samym. Teoria to nie jest problem dla artysty, jego teoria obchodzi o tyle, o ile może ją wprowadzić w krew.

R.: — Jeszcze słówko. Gdzież jest miejsce w tym pana świecie zmiennych i przenikających się kształtów na moralność? Niejednokrotnie krytycy nazywali pana moralistą. Jak pan łączy w sobie krańcowy relatywizm w widzeniu człowieka z postulatem moralnym?

G.: — Dla mnie moralność jest nieodzowna w literaturze. Bez moralności nie ma literatury. Moralność, to jakby *sex appeal* pisarza.

R.: — Hm... to brzmi...

G.: — Niemoralność jest odpychająca, a sztuka musi być przyciągająca.

R.: — To wyznanie jest moralno-niemoralne!

G.: — Taki sobie kontrast. Jak zwykle w sztuce. Antynomie...

Ale ja naprawdę pragnę być moralny.

Tylko że w moim świecie ten problem staje się bardziej kłopotliwy, ma pan rację. Nasze dzisiejsze poczucie moralne ma charakter indywidualistyczny, wywodzi się wciąż z pojęcia duszy nieśmiertelnej, dla każdego osobnej, i niezbyt nadaje się do świata ludzkiego, opartego na tak radykalnym stwarzaniu się człowieka poprzez ludzi. Coraz bardziej zdajemy sobie sprawę, że coś tu szwankuje. Przez ileż rozmaitych moralności musi się przedrzeć każdy z nas. Z księdzem inna moralność, z kobietą inna. W wojsku co innego, w życiu cywilnym co innego. Ślepe posłuszeństwo, bez którego nie może być wojska, jest zaprzeczeniem moralności cywilnej. W domu muchy byśmy nie zabili, z aeroplanów spuszczały napalm na małe dzieci. Nasze czasy pełne są miejsc przewrotnych, gdzie z moralnością wyrabiają się istne cuda, kat powracający z baraków obozu koncentracyjnego głaszcze czule pieska i słucha słowików, a jego żona z doskonałą niewinnością nakłada na lampę abażur z ludzkiej skóry. Czy oni są potworami moralnymi? Nie, to nie jest tak, wszyscy już to czujemy, to jest jakoś inaczej.

Nasze potępienie, nasze oburzenie moralne, chybiają... To nie jest tak.

R.: — Zdaniem pana nie można ustalić jednej reguły moralnej dla wszystkich tych rzeczywistości?

G.: — Nie da się... Chyba, że to będą normy, tak ogólne, że znajdą wszędzie dowolne zastosowanie.

Będziemy musieli pogodzić się z tym, być może, że tak zwana „istota moralna”, czy „dusza”, jest czymś przekraczającym pojedynczego człowieka, tworem skombinowanym wielu ludzkich istnień.

R.: — Czy wobec tego można mówić o moralności?

G.: — Och, nie wiem. Proszę nie wymagać ode mnie odpowiedzi na wszystko. Zbyt często wymaga się od pisarza, żeby dał gotowy model świata. Powtórzę, co już powiedziałem w moim dzienniku: literatura nie jest od rozwiązywania zagadnień, ona je stawia. Ale pocieszmy się, że już samo uświadomienie sobie zagadnienia bywa wstępem do jego rozwiązania.

Ja także próbowałem teoretyzować. I nawet to mi się nieźle układało. Powiedziałem sobie: jeśli forma nas deformuje, to postulatem moralnym będzie wyciągnąć z tego konsekwencje. Być sobą, bronić się przed deformacją, mieć dystans do najbardziej „własnych” uczuć, myśli, o tyle, o ile one mnie nie wyrażają — oto najpierwszy obowiązek moralny.

Proste, co?

Ale tu — fatalny szkopuł. Albowiem, jeśli zawsze jestem sztuczny, określony własnymi koniecznościami formalnymi, tudzież innymi ludźmi i kulturą, to gdzież szukać tego mojego „ja”? Kim jestem naprawdę i w jakim stopniu w ogóle „jestem”? To pytanie, coraz bardziej palące w myśli nowoczesnej, niepokoiło mnie gdym pisał *Ferdydurke*.

R.: — Tak, ma się wrażenie, jakby ta powieść oscylowała wokół jakiegoś centrum, nie dającego się ująć... choć pragnie być, od pierwszego do ostatniego słowa, afirmacją osobowości.

G.: — Nie zdobyłem się na nic więcej, jak tylko na taką odpowiedź: nie wiem, jaki jestem naprawdę, ale cierpię gdy mnie deformują. A więc wiem przynajmniej, kim nie jestem. Moje „ja” to tylko moja wola żeby być sobą, nic więcej.

Nędzny paliatyw! Jeszcze jedna formuła!

Na szczęście, widzi pan, nie jestem teoretykiem, tylko artystą. Artysta nie jest rozmowaniem, jest wyładowaniem. W artyście wszystko dzieje się jednocześnie, wszystko współpracuje, teoria z praktyką, myśl z namiętnością, życie z wartościowaniem i rozumieniem życia, żądza osobistego sukcesu z wymogami stwarzającego się utworu, wymogi utworu z uniwersalną prawdą, pięknem, cnotą, nie ma nic, co by królowało nad resztą, wszystko jest funkcjonalne — jak w każdym żywym organizmie. Ta różnorodność podejść, to że artysta zawsze na kilku stołkach naraz siedzi, zapewnia mu większą swobodę manewru.

Gdy się przekonał, że teoria do niczego nie doprowadzi, wycofałem się w sferę życia praktycznego. Dość mędrkowania, trzeba wydobyć z siebie tę moralność, jaką się ma, nie pytając o uzasadnienia. Nie miałem innej. Uderzyć w to, czym się gardzi, czego się nienawidzi, w gwałt, w fałsz, w okrucieństwo, we wszelką nikczemność, taką, jaka jest w moim polu widzenia, jak ja ją widzę, nie szukając ostatecznych racji. Ja siebie stwarzałem

poprzez utwór. Naprzód uderzę, potem dowiem się, jaki jestem.

Niewątpliwie w samej naturze mego wysiłku artystycznego tkwiła jakaś sprzeczność, moje utwory podważając formę były przecież stwarzaniem formy... i mnie osobiście też określały coraz bardziej. Ale sprzeczność, która jest śmiercią filozofa, jest życiem artysty. Trzeba jeszcze raz powiedzieć, nie można na to położyć dość nacisku: sztuka rodzi się ze sprzeczności.

I moralność pisania sprowadza się w końcu do tak elementarnej maksymy, że prawie wstyd się przyznać: pisz tak, aby ten kto czyta miał cię za uczciwego człowieka. Nic więcej. Tylko to. Ale czyż nie w ten sposób pisano od początku świata? Literatura, sztuka, bardziej wspierają się na swojej świetnej tradycji, niż na rozumowaniu.

Nie, nie brak moralności mojej sztuce. Ale to może nie ja jestem moralny, to moje utwory. Agresywność moralna *Ferdurke* prawie mnie zdziwiła; nie spodziewałem się tego po sobie. Moralność moich utworów jest silniejsza ode mnie, ja jej nie szukam, ona mną włada.

R.: — A osobiście — proszę wybaczyć — czy pan uważa siebie za człowieka moralnego?

G.: — Owszem... ale tchórzostwo mi w tym przeszkadza, tchórzostwo fizyczne.

R.: — Czy to, że pan w Argentynie przez dwadzieścia lat z okładem biedował w samotności byle nie odstąpić na krok od swoich założeń pisarskich, nie zrobić żadnej koncesji... czy to uważa pan za osiągnięcie moralne?

G.: — Nie, to stało się samo przez się.

R.: — Czy gwałtowny wysiłek moralizatorski powojennej literatury — marksieści, egzystencjaliści, katolicy, Sartre, Camus, Mauriac etc. — wydał się panu stamtąd, z Argentyny, przekonujący?

G.: — Nie, wcale. Za suche, sztywne, krańcowe, nie wzbudzające zaufania. Co się tyczy marksizmu, nie wierzę w skuteczność samogwałtu, za pomocą którego burzuje z urodzenia i wychowania przerabiają siebie na modłę proletariacką, gdyż tak chce teoria. To jest papier.

I luksus... Owe analizy otchłanne, doznania arcysubtelne, skrupuły zbyt dramatyczne, rozszczepianie włosa na czworo, zalatują luksusem... a odór luksusu to nie *odore sanctitatis*. To trochę jak z tymi wielkimi procesami sądowymi, które pasjonują opinię — „skazujecie niewinnego!” — ale gdy jeden szczęśliwiec staje się przedmiotem zażartych dyskusji, trwających latami badań, ekspertyz, apelacji, los setek mizernych złoczyńców bywa załatwiany w sądach w ciągu pół godziny ponieważ jest jeszcze dziesięć spraw na wokandzie. Jest prawie niepodobieństwem od-

dzielić moralność zbyt moralną od wysokiej stopy życiowej, wygód, wydelikacenia. Ta moralność arystokratyczna, czy po prostu bogata, jadąca karetą... ta *grande dame* jest dla mnie żenująca, jabym ją wołał codzienną, zwykłą, zgrzebną, w zamęcie życia, pospieszną, zgubioną nieco w powodzi zdarzeń, doraźną.

Luksus, poza tym, zdaje się towarzyszyć i w sensie bardziej konkretnym owej moralności. Do czegoś doprowadziła ona Mauriaca? Do sławy, Akademii, Nobla, do wcale niezłych — przypuszczam — dochodów. Czyż nie dzięki niej Sartre uzyskał taki wpływ na młode pokolenie? To przecież i osobisty sukces. Czyż przedstawiciele moralności komunistycznej, Aragon, Neruda, nie dorobili się w niemoralnym systemie kapitalistycznym sytuacji godnej zazdrości, zasobnych domków, szacunku, szoferów, podziwu, łazienek, miłości, stylowego umeblowania? Czy przeżycia moralne Camusa nie przysporzyły mu Nobla zaraz po czterdziestce?

Nie potępiam, ja ich rozumiem! Sam chciałbym mieć takie wille i zbiory muzealne, jak Neruda! Ale nie da się sprawić, iżby dla artysty moralność nie była czymś w rodzaju *sex-appeal'u*, on nią przyciąga, usidla, nią upiększa siebie i swoje utwory. Czy więc jest wskazane, żeby sztuka podchodziła do tego drażliwego tematu bez należytej dyskrecji? Sztuka jawnie moralizatorska, lub nadmiernie „szlachetna”, jest dla mnie zjawiskiem dosyć denerwującym. Owszem, pisarz niech będzie moralny, ale niech pisze o czym innym. Moralność niechaj się rodzi sama przez się, na marginesie dzieła.

Być może, najwyższym morałem mojej literatury jest ten: osłabić do tyła wszystkie konstrukcje moralności premedytowanej i inne międzyludzkie uzależnienia, by mógł dojść do głosu nasz najprostszy, najzwyczajniejszy, odruch moralny.

R.: — Dla tych konstruktorów będzie pan destruktoorem.

G.: — Co ja na to mogę poradzić?

R.: — Jeszcze jedno: czy pan uważa siebie w sztuce za optymistę, czy pesymistę?

G.: — Bywam zaliczany do pesymistów i nawet do tak zwanych katastrofistów. Ale to chyba z rozpędu. Krytycy przyzwyczaili się, że dzisiaj literatura pewnego poziomu musi być czarna. Moja nie jest czarna, a nawet jest raczej reakcją na obowiązujący dziś powszechnie ton demoniczno-apokaliptyczny. Jestem jak baryton w dziewiątej symfonii: „dość tej pieśni, inne niech zabrzmia tony!”.

Co nie znaczy, żebym zaraz miał śpiewać hymny do radości.

Ale jeśli dzisiejsze już mi się przejadły. Trzeba odświeżyć problematykę, to kapitalne zadanie twórczej literatury.

R.: — Jakie problemy pan ma na myśli?

G.: — Śmierć, na przykład. Żeby tak trochę zmienić sobie nastawienie, pomyślmy: nieprawda, że ona jest dramatem, jesteście przystosowani do śmierci od urodzenia a zarazem, choć codziennie nas zjada po troszeczkę, nigdy nie spotkamy się z nią oko w oko, albowiem — znany i słuszny aforyzm — gdy ona się zjawia, nas już nie ma. Alienacja? Zboczmy z utartej drogi, spróbujmy przyjąć, że to nie takie straszne, że jednak my tę alienację „mamy w palcach”, jak mówią pianiści, w tych naszych palcach rozumnych, technicznych, które oprócz alienacji przynoszą robotnikowi więcej w ciągu roku dni wolnych, wspaniałych, świątecznych, niż dni pracy. Pustka? Bezcelowość? Nicość? Po cóż tak zaraz przesadzać? Bóg, czy ideały, wcale nie są potrzebne aby odkryć najwyższą wartość, wystarczy nie jeść trzy dni, a kawałek chleba stanie się tą wartością; potrzeby nasze stanowią fundament wartości naszych, i sensu, ładu, życia. Bomby atomowe? Kilka wieków temu umierano przed trzydziestym rokiem, zarazy, nędza, diabeł, czarownice, piekło, czyściec, tortury... czy wam się w głowie nie przewróciło od nadmiaru wygod, czy zapomnieliście czym byliście wczoraj?

Och, prawie się wstydzę, że takie „proste” myśli mi się mówią, czuję się, doprawdy, nie *à la hauteur*...

Nie będę protestował przeciw tragicznej wizji istnienia, nie jestem z tych co zaprawiają sobie świat na różowo. Ale nie można klepać w kółko tego samego. Oczekuję tej zmiany tonu od młodego pokolenia, obyż w końcu oni przestali być „zropaczeni” i „zbuntowani”! Najtragiczniejszą cechą wielkich tragedii jest, że one prowadzą do małych tragedii, a w tym wypadku — do nudy, monotonii, i jakiegoś płytkiego i niezbyt urozmaiconego zażywania głębi. „Rzućcie swe pieśni, inne niech zabrzmia tony!”

14. I. 68

Crisostomo?

Javier?

Axel?

Bartolomé?

Basilio?

Modesto?

Benito?

Celestino?

Nieślubna

krągłość

gab

ga

Witold GOMBROWICZ

Zapisane wczesnym rankiem

R O K

Rozglądałem się po nieznanym roku, wiedząc że niewielu przybywa z tak daleka, blask napoił mnie jak woda roślinę.

Był to wysoki rok, lisowatego koloru, jak przecięty pień redwoodu albo na pagórkach liście winogrodu w listopadzie.

Tętno muzyki mocno biło w jego uroczyskach i pokojach, zbiegające z ciemnych gór dopływy zaplatały się.

Łomotaniem w bębny conga witało mnie pokolenie ubrane w szaty wzorzyste obszyte dzwoneczkami.

Gardłowe jego pieśni ekstatycznej rozpaczcy powtarzałem idąc wzdłuż morza kiedy przybój niósł chłopców na deskach i zmywał mój ślad.

Na samej granicy zamieszkałego czasu uczono się chodzić na dwóch nogach i wymawiać znaki nakreślone w zawsze dziecięcej księdze rodzaju.

Opowiadałbym gdybym umiał wszystko co jedna pamięć może zebrać na chwałę ludzi.

O słońce, o gwiazdy, mówiłem, święty, święty, święty, byt nasz podniebny i dzień i wieczne obcowanie.

TWIERDZENIE I ODPOWIEDŹ

— Miłość do Boga jest miłością do siebie.
Gwiazdy i morza wypełnia najmilsze Ja
słodkie jak poduszka i ssany duży palec.

— Byłoby to niepochlebne dla adorujących
gdyby konik polny terkocząc w gorącej trawie
mógł wystawić tę właściwość która nazywa się *Być*
w sposób ogólny, a nie odnosząc jej tylko do własnej osoby.

PRZEMOWA

Jeżeli nie czytałeś słowiańskich poetów
to i lepiej. Nie ma tam czego szukać
irländzko-szkocki wędrowiec. Oni żyli w dzieciństwie
przedłużanym z wieku w wiek. Słońce dla nich było
rumianą twarzą rolnika, miesiąc patrzył zza chmury
i Droga Mleczna radowała jak wysadzany brzoza trakt.
Tęsknili do królestwa, które zawsze blisko,
zawsze tuż-tuż. Wtedy pod jabłonie
wejść rozchylając gałęzie anioły w płótniankach
i ucztować przy białych kołchożnych obrusach
będą serdeczność i tkliwość (czasem spadając pod stół).

A ty z grzechoczących od przyboju skał. Z wrzosowisk
gdzie składając wojownika do grobu łamano mu kości
żeby nie nawiedzał żywych. Z morskiej nocy
którą twoi przodkowie okryli się, milcząc.
Nad twoją głową żadnej twarzy, ni słońca ani księżycy,
tylko skurcz i rozkurcz galaktyk, niewzruszona
gwałtowność nowych początków, nowego zniszczenia.

Całe życie słuchający oceanu. Czarne dinozaury
brodzą gdzie wznosi się i opada na fali purpurowy pas
fosforycznych łodyg, jak ze snu. I Agamemnon
zęgluje po wrzącej toni do schodów pałacu
żeby na marmur trysła jego krew. Aż ludzkość minie
i w ziemię, kamienną, czystą, będzie bił dalej ocean.

Wąskousty, niebieskooki, bez łaski i nadziei,
przed Bogiem Terribilis, ciałem świata.
Nie wysłuchuje modlitw nikt. Bazalt i granit,
nad nim drapieżny ptak. Jedyne piękno.

A mnie co do ciebie? Z drobnych stecek w sadach,
z nieuczonego chóru i jarzeń monstrancji,
z grządek ruty, pagórków nad rzekami, ksiąg,
w których gorliwy Litwin wieścił braterstwo, przychodzę.
O, te pociechy śmiertelnych, wierzenia daremne!

A jednak nie wiedziałeś co wiem. Ziemia uczy
więcej niż nagość żywiołów. Nie daje się sobie
bezkarnie oczu boga. Tak mężny, w pustce,
składałeś ofiary demonom: był Wotan i Tor,
skrzek Eryni w powietrzu, przerażenie psów,
kiedy z orszakiem umarłych nadciąga Hekate.

Raczej wyrzeźbić słońca na spojeniach krzyża
jak robili w moim powiecie. Brzozom i jedlinom
nadawać żeńskie imiona. Wzywać opieki
przeciwko niemej i przebiegłej sile,
niż tak jak ty oznajmiać nieczłowieczą rzecz.

R A D Y

Na miejscu młodych poetów
(miejscu wysokim, cokolwiek sędzi pokolenie)
wolałbym nie mówić że ziemia jest snem wariata,
bajką niemądrą, pełną wrzasku i furii.

To prawda, nie zdarzyło mi się oglądać triumfu sprawiedliwości.
Usta niewinnych nie upominają się o nic.
I kto wie, czy błazen w koronie,
z kielichem w ręku, ryczący że bóstwo mu sprzyja
ponieważ tylu i tylu otruł, ściał, oślepił,
nie rozrzewniałby widzów: że taki łagodny.

Bóg nie pomnaża cnotliwym dobytku w owcach i wielbłądach
i nie odejmuje nic za mord i krzywoprzysięstwo.
Ukrywał się tak długo, że zapomniano jak się objawił

w krzaku ognistym i w piersi żydowskiego młodzieńca
gotowego cierpieć za wszystkich co byli i będą.

Nie jest pewne czy Ananke wygląda swojej godziny
żeby odpłacać jak trzeba za pychę i brak miary.

Człowiekowi potrafiiono dać do zrozumienia
że jeżeli żyje to tylko z łaski potężnych.
Niech więc zajmie się pić kawę i łowieniem motyli.
Kto kocha Rzecz Pospolitą, będzie miał dłoń uciętą.

A jednak ziemi należy się, nieduża choćby, tkliwość.
Nie żebym brał poważnie pociechy natury
i barokowe rekwizyty, Lunę, pyzate obłoki
(choć kiedy czeremchy kwitną nad Wilią, piękna to jest pora).
Nie, nawet doradzałbym dalej od natury,
od upartych obrazów nieskończonej przestrzeni,
nieskończonego czasu, od ślimaków otrutych
na ścieżce w ogrodzie, niby nasze armie.

Jest bardzo dużo śmierci i dlatego tkliwość
dla warkoczy, spódnic kolorowych na wietrze,
łódeczek papierowych nie trwalszych niż my sami...

Czesław MIŁOSZ

List z Ameryki

ZADZIWIAJĄCY CZŁOWIEK PAJĄK

Pewnego dnia, po szeregu błyskotliwych sukcesów w branży filmowej oraz sukcesów towarzyskich, odniesionych dzięki darowi żywego słowa w Centralnym Więzieniu Los Angeles, znalazłem się bez grosza przy duszy. Dzięki jednak życzliwości ludzkiej otrzymałem pracę tragarza. O umówionej godzinie, czysto umyty i ogolony stanąłem przed obliczem szefa, który patrzył na mnie chwilę w milczeniu a potem powiedział:

— Pan będzie pracował jako zadziwiający człowiek pajak. Co pan na to?

Powiedziałem, iż przez całe życie nie marzyłem o niczym innym jak właśnie o przeobrażeniu się w zadziwiającego człowieka pajaka; i że na chwilę tę czekałem trzydzieści cztery lata; i oto właśnie sny moje stały się prawdą.

— Widzi pan — powiedział mój szef. — Nasza firma zajmuje się kolportażem komiksów. Nie ma gówna którego by pan u nas nie znalazł. Mamy wszystko: „Miłość dziewczyn”, „Prawdziwe wyznania”, „Misja nie do wykonania”, „Człowiek-Nietoperz” i tak dalej. My to rozprowadzamy po mieście. Pan będzie w grupie „Przygody”; pana kierownikiem będzie Mickey, czyli automatycznie będzie pan w podgrupie „Fantastyczne” czyli że również automatycznie stanie się pan członkiem sekcji „Zdumiewający człowiek pajak”. Jasne?

— Oczywiście — powiedziałem.

— Czy pan był kiedy zatrzymany przez policję?

— Nie.

Mój szef spojrzał na mnie raz jeszcze.

— Komu pan to mówi? — powiedział z rozbawieniem.

Przeszedłem na salę i zbliżyłem się do mego kierownika, Mickey’a. Przedstawiłem mu się i zapytałem jak mam do niego

mówić, na co Mickey powiedział, żeby mówić mu po imieniu. Następnie dał mi fartuch, na plecach którego namalowany był człowiek wyglądający jak potomek Nikity Chruszczowa i Florence Nightingale; twór ten wpłątany był w jakąś pajaczną; pod zachwycającym wizerunkiem biegł olbrzymi napis:

ZADZIWIAJĄCY CZŁOWIEK PAJĄK.

I to byłem ja.

Praca zaczynała się o godzinie siódmej rano. Na salę wjeżdżał olbrzymi samochód ciężarowy a ja i jeszcze inny człowiek o twarzy syfilityka-sadysty, na którego fartuchu wymalowane było serce przebite strzałą oraz napis: „PIERWSZA MIŁOŚĆ DZIEWCZĄT” zabieraliśmy się do dzieła.

— Ty bierz swoje, a ja będę brał swoje — powiedział PIERWSZA MIŁOŚĆ DZIEWCZĄT. — Uważaj, żeby nam się wszystko nie popierdoliło. Jeżeli dołożysz swojego PAJĄKA do moich kurew, to Francesco dostanie szału.

— Kto to jest Francesco?

— Kierowca ciężarówki — powiedział PIERWSZA MIŁOŚĆ DZIEWCZĄT. — To jest skurwysyn. On potem pójdzie do Mickey’ a, powie że jego wóz miał przestój z naszej winy i w piętek obaj wyskakujemy z roboty. Jasne?

Zaczęliśmy zrzucać paczki, a Francesco stał patrząc na nas z szyderczym uśmiechem i opatrując nasz wysiłek komentarzami nie nadającymi się do powtórzenia nawet w towarzystwie filmowców. Jego słowa miały w sobie dużo zachęty, co nie było bez znaczenia, jeśli weźmie się pod uwagę, iż ciężar jednej paczki wynosił najmniej czterdzieści kilo. Po kilkunastu minutach wszedł powolnym krokiem na salę jakiś starzec o wyglądzie człowieka stojącego nad grobem. Na plecach patriarchy wypisane było: „SEKSUOLOGIA. WSPANIAŁY KOCHANEK”. Ciężko dysząc i wybałuszając oczy w śmiertelnym wysiłku, SEKSUOLOGIA wdrapał się na ciężarówkę i szepnął mi na ucho:

— Uważaj! Mickey tu był dwa razy i widział jak siedzisz.

— Przecież dźwig odjechał — powiedziałem. — Musieliśmy czekać na następny.

— W naszej firmie się nie siada — powiedział SEKSUOLOGIA. WSPANIAŁY KOCHANEK. — Nawet jeśli nie ma dźwigu, musisz stać. Jeśli Mickey cię zobaczy, to wykopie cię od razu. — Charcząc i dysząc z wysiłku SEKSUOLOGIA. WSPANIAŁY KOCHANEK zlaźł z ciężarówki i patrząc przed siebie błędnym wzrokiem odszedł; jego rybnie oczy łzawiły.

Mickey wszedł na salę i krzyknął: — Przerwa.

Widziałem jak PIERWSZA MIŁOŚĆ DZIEWCZĄT podno-

sił akurat paczkę i puścił ją w tym samym momencie kiedy rozległ się ryk Mickey'go. Wszyscy usiedliśmy gdzie kto mógł i każdy jadł przyniesione ze sobą sandwiche. Nagle na salę wszedł jakiś garbus, wyglądający przy tym jak przejście Żydów przez Morze Czerwone w jednej osobie. Na plecach miał napis: HERKULES, CZŁOWIEK MIĘŚNI. Garbus płakał rozdzierająco.

— Dlaczego ten bękart płacze? — zapytałem.

— Nie wiesz dlaczego? — zapytał PIERWSZA MIŁOŚĆ DZIEWCZĄT.

— Nie.

— Nasz szef ma dziwne poczucie humoru — odparł PIERWSZA MIŁOŚĆ DZIEWCZĄT. — Widzisz, on nas wszystkich tak ponazywał żeby nas krew zalewała jak o tym myślimy. Ten garbus najpierw był TARZAN, SYN KNIEI, potem go zrobili PIĘKNO I SIŁA MĘŻCZYZNY a teraz jest HERKULES. Kiedy ja tu przyszedłem, kiedy dali mi ten fartuch i gdy zobaczyłem, że już nie jestem Billy Andersonem tylko PIERWSZĄ MIŁOŚCIĄ DZIEWCZĄT poszedłem do szefa i mówię: „Szeffie, czy nie mógłbym być CZŁOWIEKIEM BESTIĄ, MORDERCĄ DO WYNAJĘCIA?” A on popatrzył na mnie i powiedział: „Moim zdaniem ty wyglądasz jak PIERWSZA MIŁOŚĆ DZIEWCZĄT”. Odwrócił się do swojej sekretarki i powiedział: „Susan, czy to nie jest najprzystojniejszy chłopak w Down-Town?” A Susan na to: „Tak, panie Fischbajn”. A on do mnie: „I co, teraz mi wierzysz?” I tak się skończyło.

PIERWSZA MIŁOŚĆ DZIEWCZĄT zamyślił się. Jego ponura twarz syfilityka-sadysty stężała; czołko, które normalnie miało wielkość znaczka pocztowego zniknęło zupełnie; zdawało się, że szczeka wyrastała mu wprost z głowy.

— A ja przecież nawet seks muszę kupować — powiedział PIERWSZA MIŁOŚĆ DZIEWCZĄT. — Tak jak inni kupują kartofle. Jestem wstrętny i nikt mnie nie chce. Kiedyś poszedłem do jednego baru z kurwami na Vine Street i one tam siedziały i piły whisky którą kupowali im faceci a potem wyprowadzali je z sobą. Więc ja też chciałem kupić jednej i zapytałem ją co ona pija a ona mi na to: „Ja piję *seven and seven*. A ty co? Krokodyle gówno?” I nie chciała nawet ze mną mówić. Wtedy jakiś szofer taksówki powiedział mi, że zna w Down-Town jedną prostytutkę która nazwała siebie Josephine i że mnie tam zawiezie. Zawiózł mnie kazał zapukać do drzwi trzy razy i powiedzieć, że Harry mnie przysyła. On miał czekać na dole. Zapłaciłem mu osiem dolarów za kurs, poszedłem na górę, zapukałem; otworzył mi jakiś Murzyn. Ja mówię: „Chciałbym się widzieć z Josephiną”. Czy wiesz kim był ten Murzyn? To był zapaśnik, który zabił człowieka na ringu za co odebrali mu licencję; nie

umiał udawać i bił się naprawdę. Ten Murzyn dostał szau i potem ja leżałem trzy tygodnie w szpitalu.

— Pewnie chciał ci zrobić kawę! — powiedział człowiek **POGRZEBIE MNIE ŻYWCEM.**

— Kto?

— Ten szofer taksówki — powiedział **POGRZEBIE MNIE ŻYWCEM.**

— Tak myślisz? — zapytał **PIERWSZA MIŁOŚĆ DZIEWCZĄT.**

— Człowiek czasem myśli, że jest śmieszny jak upierdoli drugiego — powiedział **POGRZEBIE MNIE ŻYWCEM.**

— Ja go jeszcze znajdę — rzekł **PIERWSZA MIŁOŚĆ DZIEWCZĄT.**

— Oni nas tu wszystkich upierdolili — powiedział **POGRZEBIE MNIE ŻYWCEM.** — Żeby dostać tę pracę musisz należeć do związku. Nasz szef nikogo nie wyrzuci, bo Związek by go wykończył w jeden dzień. Daddy Hoffa nie pozwoliłby nikomu z nas nic zrobić. Dlatego my dostajemy dwa pięćdziesiąt trzy na godzinę a nasz szef musi tyle płacić; on nienawidzi Daddy Hoffy i odgrywa się na nas. Ja na przykład jestem po dwóch zawałach serca, czterech operacjach przepukliny, nie mam ani jednego własnego zęba i dlatego mój szef pchnął mnie na tę serię o bandycie, który grzebie ludzi żywcem. W zeszłym miesiącu zagrzebał dwie małe dziewczynki, zakonnicę i swojego własnego teścia. A to wszystko dlatego, że w młodości coś się z nim stało i on, zdaje się, nienawidzi ludzi. Tak to przynajmniej wygląda.

— Powiedz **PAJĄKOWI** jak nazywałeś się przedtem — powiedział **PIERWSZA MIŁOŚĆ DZIEWCZĄT.**

— Wolałbym o tym nie mówić.

— Powiedz mu.

— OK. — powiedział **POGRZEBIE MNIE ŻYWCEM.** — Przedtem nazywałem się **JOE ZMARTWYCHWSTANIEC.** To o takim jednym chłopaku z Kansas City, który porywał trupy.

— I co z nimi robił?

— Ja nie wiem. Akurat jak to się miało wyjaśnić przeszedłem do innej grupy — powiedział **POGRZEBIE MNIE ŻYWCEM.**

— Nasz szef zawsze tak robi — zauważył **PIERWSZA MIŁOŚĆ DZIEWCZĄT.** — Jak ktoś się naprawdę zainteresuje co tam piszą w tych śmieciach, to zaraz przesuwają cię na inną robotę. Ja jestem **PIERWSZA MIŁOŚĆ DZIEWCZĄT** a nawet nie wiem o czym tam jest.

— To wszystko dlatego, że nasz szef nienawidzi Daddy Hoffy — powiedział **POGRZEBIE MNIE ŻYWCEM.** — Daddy był

dobrym człowiekiem, chciał nam nawet dać opiekę dentystyczną. Teraz go zamknęli, ale nasz szef boi go się dalej.

— On nienawidzi Hoffy bo Hoffy był kierowcą ciężarówki i gdyby powiedział dziś jedno słowo, to cały kraj by stanął — powiedział PIERWSZA MIŁOŚĆ DZIEWCZĄT. — Tylko, że Daddy tego nie robi. Daddy nie pozwoli nikomu nas upierdolić, ale nie może się mieszać w sprawy wewnętrzne naszego szefa. Dlatego on nas wszystkich zrobił błaznami.

Mickey wszedł na salę i krzyknął: — *Let's go!*

Tym razem nie było ciężarówki do wyładowywania. Ja i PIERWSZA MIŁOŚĆ DZIEWCZĄT układaliśmy na kupę stare komiksy i zdzieraliśmy z nich okładki.

PIERWSZA MIŁOŚĆ DZIEWCZĄT odszedł na chwilę więc ja sam zdierałem okładki i układałem stosy tych śmieci, ale potem wrócił i stanął koło mnie.

— Gdzie są okładki? — zapytał.

— Nie wiem — powiedziałem. — Ktoś je wziął przed chwilą.

— Wielkie Nieba! My to wszystko musimy ułożyć na kupę i przykryć jedną okładką. O czym to teraz jest?

Wziąłem jeden z oddartych komiksów i zacząłem czytać: *„Pierwszy raz Tom wziął mnie siłą na Cmentarzu Wojskowym w Darlington. Działo to się nocą. Do dziś jeszcze pamiętam jego kosmatą rękę wciskającą się niby kleszcze w moje, bezbronne i niedoświadczone wtedy jeszcze uda...”*

— OK — powiedział PIERWSZA MIŁOŚĆ DZIEWCZĄT. — Przykryjemy to Donaldem Duckiem i wszystko będzie w porządku. — Zerwał okładkę z DONALDA DUCKA i przykrywając ją paczkę, zręcznie zawiązał ją sznurkiem i rzucił następnemu z nas.

Ludziom pracującym po drugiej stronie stołu musiało się także coś pomylić. Słyszałem jak jeden z nich usiłował zidentyfikować tekst z okładką:

„Wtedy w ręku Johnny'ego błysnął krótki, meksykański nóż. Johnny wbił go w brzuch Murzyna i jednym ruchem, śmiejąc się szatańsko, wyrwał mu wnętrzności. To cię nauczy w przyszłości szacunku dla białego człowieka, czarny psie — powiedział Johnny i spokojnie odszedł na bok śmiejąc się upiornie”. Czytający przerwał i powiedział po chwili: — W przyszłości?

— No tak?

— Ale jak ten człowiek może mieć przyszłość? Przecież Johnny wyrwał mu wszystkie kiszki.

— Nie znasz się na literaturze — powiedział jego przyjaciel. — To jest wszystko gówno, ale musi być prawda, nie? Przecież jeśli sprzedają tego miliony tygodniowo i każdy zeszyt kosztuje

dwadzieścia pięć centów więc to nie może być całkiem głupie, nie? Czytaj teraz z tej kupy.

„Powiedziałem ci abys nigdy nie wracał do tego miasta, rzekł szeryf i cofnął się o krok. Błyskawicznym ruchem sięgnął do biodra, ale Billy The Kid był szybszy. Dwa strzały złąły się w jeden i ciało szeryfa bezwładnie osunęło się na ziemię...”

Przerwałem na chwilę zdzieranie okładek i usiłowałem przemyśleć tę scenę. Jeśli szeryf sięgnął do biodra ruchem błyskawicznym a Billy The Kid był jeszcze szybszy, to jak szybki musiał być ruch Billy'ego? Nie umiałem sobie na to odpowiedzieć. Ale uderzony byłem precyzją tej sceny: Billy strzelił celniej i już nie szeryf, lecz ciało szeryfa osunęło się bezwładnie na ziemię. Gdyby autor usunął słowo „bezwładnie” byłby to kawałek tęgiej prozy; ale każdy musi przecież wygłupiać się jakoś w pisaniu. Do dziś nie rozumiem kombinacji finansowych przeprowadzanych przez bohaterów powieści Balzaca; nie rozumiem bełkotu Żeromskiego; nie rozumiem dlaczego Jerzy Andrzejewski pisze tak mało i nie rozumiem dlaczego ja zacząłem pisać w ogóle.

— I jeszcze jednej rzeczy nie rozumiem — powiedziałem głośno. — Dlaczego szef nazwał mnie ZADZIWIAJĄCY CZŁOWIEK PAJAK.

— On ci wymyślił coś innego — powiedział PIERWSZA MIŁOŚĆ DZIEWCZĄT. — ŚWIAT KOBIET odchodzi niedługo do Wietnamu gdzie będzie kapłanem i wtedy może przerzuci cię na ŚWIAT KOBIET. Czy twoja żona żyje?

— A czy ja wyglądam na zadowolonego?

— Więc może cię przerzuci na ŚWIAT KOBIET. Tam przedtem pracował jeden taki którego żona kompletnie zrujnowała i dlatego szef go tam postawił.

— A dlaczego ŚWIAT KOBIET ma być kapłanem?

— ŚWIAT KOBIET jest księdzem. Księdzem-robotnikiem. Dużo jest takich. Ale teraz ŚWIAT KOBIET ma też już dosyć i jedzie na wojnę. ŚWIAT KOBIET to takie pismo ze zdjęciami nagich dziewczyn i tam jest jeszcze o tym, że one za jedną godzinę modelowania zarabiają pięćdziesiąt zielonych. Zresztą popatrz sobie na niego.

Odwrociłem się w lewo i zobaczyłem jakiegoś człowieka zrywającego okładki z pisemka ŚWIAT KOBIET. Oczy miał wbite w niebo i krzywił się za każdym razem kiedy dotknąć musiał okładki. Natychmiast po jej zerwaniu ukazywało się zdjęcie nagiej kobiety leżącej na pluszowej kanapie, w pozie jednoznacznie zachęcającej do jak najszybszego położenia się na niej, nawet bez uprzedniego kładzenia się na kanapie. Podpis brzmiał: „Teresa W. ma tylko dziewiętnaście lat i całe życie przed sobą. Kocha sport, muzykę i taniec”. Nie zdołałem przeczytać nic więcej o Tere-

sie W.; ŚWIAT KOBIET zrywał okładki z męczeńskim wyrazem twarzy szepcząc przy tym słowa modlitwy.

Z drugiego końca sali dobiegły nas straszne krzyki. To Mickey rozmawiał z jakimś kulawym człowiekiem, którego lewy but ważyć musiał chyba z piętnaście funtów i dzięki temu kulas wyglądał trochę jak diabeł z operetki, której producenci już przed premierą zrozumieli że pójdą na żebry więc do roli diabła zaangażowali najtańszego aktora w mieście. Chude plecy kulawego diabła pokryte były pomarszczonym fartuchem z napisem: ŚWIAT SPORTU.

— Co to ma wspólnego ze sportem? — mówił Mickey swym jadowitym głosem. — Zawsze wszyscy mylicie okładki. Proszę, przeczytaj mi kawałek tego.

— Nie muszę czytać — powiedział ŚWIAT SPORTU. — Wiem o czym to jest.

— A więc o czym?

— O takim jednym bandycie, który miał narzeczoną i wtedy go właśnie zamknęli.

— I co dalej?

— A potem on urwał się z więzienia i przyszedł do niej aby go ukryła i trafił na jej ślub z jakimś innym człowiekiem. I zadusił wszystkich weselnych gości a Murzynowi który grał na trąbce wyrwał oczy, wyrzucił go przez okno a za nim wyrzucił trąbkę krzycząc szyderczo: „Teraz nikt nie zarabia tak dobrze jak ślepcy-trąbkarze”. To wszystko

— A co to wszystko ma wspólnego ze sportem? — zapytał Mickey.

— Ja myślę, że człowiek który własnoręcznie zadusił wszystkich gości weselnych i wyrzucił ciężkiego Murzyna przez okno musiał mieć trochę krzepy — powiedział z godnością ŚWIAT SPORTU. — Przynajmniej z mojego punktu widzenia. Ja jestem chory na polio, nie przyjęto mnie do wojska i nie mam nawet prawa jazdy.

— Twój punkt widzenia jest bez żadnej wartości — powiedział Mickey. — Trzymaj się tekstu.

— A dla mnie ten człowiek był siłaczem.

— Ale u nas jest bandytą.

— A co nie ma już silnych bandytów?

— To nie należy do rzeczy.

— A z mojego punktu widzenia człowiek który zadusił własnymi rękami wszystkich gości musiał być wyrobiony sportowo — z godnością odpowiadał ŚWIAT SPORTU. — Ja bym tego nie umiał i ty byś tego nie umiał.

— Ja ci tłumaczę jak człowiekowi: ten gość był bandytą. To była broń do wynajęcia.

— To jeszcze niczego nie dowodzi — powiedział ŚWIAT SPORTU. — Baby Chessman też był bandytą a w więzieniu uprawiał sport, podnosił ciężary i czytałem o nim w gazecie, że miał bicepsy jak wąż kobra. Jedno nie przeszkadza drugiemu.

Mickey odszedł a PIERWSZA MIŁOŚĆ DZIEWCZĄT powiedział do mnie:

— To nasz szef zrobił z tego kulasa ŚWIAT SPORTU. Przedtem on był DEMONEM SZYBKOŚCI CZYLI WYZWANIEM PRZESTWORZY ale nikt nie kupował tych komiksów i stary przesunął go na ŚWIAT SPORTU. Trzeba go było wtedy widzieć. Patrzyliśmy wszyscy na niego; byłem pewny, że mu serce pęknie ze złości. Był czerwony jak ktoś kogo mają wieszać, tylko że zapodział im się gdzieś sznur i trzeba trochę poczekać. Czerwony i blady. Podszedł do kulasa i powiedział: „OK, od jutra jesteś ŚWIAT SPORTU. Wyrzuć te śmieci. I własnoręcznie począł drzeć resztki DEMONA SZYBKOŚCI.

Przerwa — powiedział Mickey.

Kupiłem sobie butelkę mleka i kanapkę z szynką a siedzący koło mnie POGRZEBECIE MNIE ŻYWCEM mówił do jakiegoś człowieka, który zdjął fartuch i o którym nie wiedziałem nic ponadto, iż spał chrapiąc smacznie podczas gdy POGRZEBECIE MNIE ŻYWCEM rozwijał kunszt oratorski:

— Przez cały czas myślałem sobie, że kiedy stuknie mi sześćdziesiątka pójde na emeryturę i wynajmę sobie jakiś tani pokój na Brodwayu w Santa Monica. Posiedzę trochę nad morzem, ugotuję sobie obiad a potem pójde do piwiarni i będę mówił z ludźmi, a jak się trafi ktoś fajny to kupię mu piwo. Wiesz, w tych małych barach liczą dwadzieścia a nawet piętnaście centów za piwo. Ja nie mam dzieci, żona moja umarła i cały czas myślałem, że kiedy będę już stary to pójde do baru i będę gadał z ludźmi. Ja tam nie jestem żaden pijak ale lubię usiąść i pogadać. I w końcu ten dzień przyszedł; wynajmłem sobie pokój i chodziłem do barów i opowiadałem ludziom, że zrywałem okładki z komiksów i układałem je na kupę. I że tak było przez czterdzieści lat. I co? Ludzie nie chcieli mnie słuchać. Ile czasu można opowiadać, że zrywa się okładkę i rzuca na kupę. A ja nic innego nie umiałem tym ludziom opowiedzieć, bo ani nie piłem, ani nie jeździłem nigdzie; raz tylko pijany Murzyn trzasnął mnie samochodem a kiedy leżałem na jezdni podszedł do mnie i kopnął mnie w dupę mówiąc: „Nie szwendaj się na drugi raz ulicami kiedy ja jeżdżę i piję”. Odjechał i nigdy go nie złapali. Tak więc, opowiadałem im o tych okładkach, aż w końcu, ci właściciele tanich barów na Brodwayu, wyrzucali mnie kiedy wchodziłem trzeźwy, krzycząc: „Pijakom nie sprzedajemy”. Widocznie goście poprosili ich, aby mnie wyrzucali. Wtedy wróciłem tutaj i szef

przyjął mnie z powrotem i z JOE ZMARTWYCHWSTAŃCA zrobił mnie POGRZEBECIE MNIE ŻYWCEM. Rozumiesz?

Śpiący obudził się i powiedział: — Jasne. Miałeś rację. Ja tam żadnej nie wierzę. Moja żona była też z południa i też odeszła z jakimś Wszarzem i nigdy o niej nie słyszałem.

PIERWSZA MIŁOŚĆ DZIEWCZĄT podszedł do mnie blady:

— Czy pamiętasz gdzie położyłeś tę paczkę przykrytą DONALDEM DUCKIEM? — zapytał. — Mickey szaleje.

— Leży tam jeszcze, na stole.

PIERWSZA MIŁOŚĆ DZIEWCZĄT porwał paczkę i gumką starł mój monogram. — Przyjacielu — krzyknął do jakiegoś Meksykańczyka. — Pokaż mi tę twoją paczkę. Co ty tam masz?

— Twoja i innych — powiedział Meksykańczyk TWOJA I INNYCH.

— Pokaż to na chwilę. Nie widziałem nigdy tego śmiecia.

TWOJA I INNYCH rzucił mu paczkę i PIERWSZA MIŁOŚĆ DZIEWCZĄT czytał przez chwilę tekst.

— Dobra historia — powiedział PIERWSZA MIŁOŚĆ DZIEWCZĄT. — Jak ty się nazywasz?

— TWOJA I INNYCH.

— Ale przedtem?

— Carlos Romeo.

PIERWSZA MIŁOŚĆ DZIEWCZĄT zmasał mój autograf i szybko napisał dwie litery: „C.R.” A potem przerzucił paczkę poprzez całą salę zaś Murzyn stojący przy maszynie, która zbijała paczki w kwadratowe bryły owiązał ją drutem i rzucił na cięzarówkę.

— Dlaczego nazywasz się TWOJA I INNYCH? — zapytałem.

— Moja żona pierdoli się ze wszystkimi.

PIERWSZA MIŁOŚĆ DZIEWCZĄT powiedział do mnie szeptem: — Oni będą myśleli, że to ten bękart przykrył tę historię...

— Wiem — powiedziałem. — „Pierwszy raz Tom brał mnie nocą na cmentarzu wojskowym w Darlington. Do dziś jeszcze i tak dalej...” A myśmy to przykryli DONALDEM DUCKIEM.

— Oni będą myśleli, że zrobił to TWOJA I INNYCH — powtórzył PIERWSZA MIŁOŚĆ DZIEWCZĄT. — I w piątek wykopią go z roboty. Mickey przyjdzie i powie: „OK, to twój ostatni dzień”. Ale Mickey nie robi tego nigdy kiedy jest sam na sam z człowiekiem. On to powie jak TWOJA I INNYCH będzie pracował jeszcze do wieczora i tylko szczęki będą mu chodzić, ale nie powie Mickeyowi nic więcej jak tylko: *I'm sorry sir. Thank you for giving me a chance.* I to koniec.

— Dlaczego wybrałeś jego.

— On nie należy do Związku. Nie przepracował jeszcze trzydziestu dni.

— A jak poznają twój charakter pisma.

— Nie poznają — powiedział POGRZEBECIE MNIE ŻYWCYM. — PIERWSZA MIŁOŚĆ DZIEWCZĄT odsiedział swoje za sfałszowanie czeku. On nas wszystkich wyciąga z kłopotów.

— Tak — powiedział ze smutkiem PIERWSZA MIŁOŚĆ DZIEWCZĄT. — Ja wszystkim zawsze pomagam. Ale jak ja raz poprosiłem, żeby mi zmienili imię to nikt nie chciał nawet słuchać. I to jest wolny kraj.

— A jak się chciałeś nazywać? — zapytał.

— PEŁEN SZLACHETNOŚCI DUSICIEL — powiedział PIERWSZA MIŁOŚĆ DZIEWCZĄT. — Ale nawet i to mi się nie udało.

Marek HŁASKO

Co wysyłać teraz ?

**PO CO PUDŁOWAĆ, SKORO POINFORMUJE
NAJLEPIEJ NAJNOWSZY BIULETYN T A Z A B A
*** (TRZY GWIAZDY)**

„POLO” bluzki, z kołnierzykiem lub „Golfy”? Ortaliony?
Jeżeli tak, to tylko dobre i ze wszystkimi „szykanami”
bo dobry gatunek najlepiej się opłaca.

OSTRZA do golenia „Gillette Super Silver”, kalkulujące się u
TAZABA: £1 ca 500 zł sprzedają się „jak bułki” po 12-15 zł
za sztukę. Łącznie z wysyłką: 50 szt. 29/6; 100 szt. 55/-;
500 szt. £ 12.15.0; 1000 szt. £ 22.15.0.

Biuletynami *** , najnowszymi cennikami najbardziej aktualnych
leków angielskich, niemieckich, szwajcarskich
i doświadczeniem 20 lat służby

Największy na świecie Polski Dom Wysyłkowy

TAZAB 22 Roland Gardens, LONDON, S.W.7.
100 East 10th St., NEW YORK 3, N.Y.
tel.: Alganquin 4-4161

Nieskończona rewolucja

Rocznicowa książka Deutschera *The Unfinished Revolution, Russia 1917-1967*, ostatnia jaką przed śmiercią napisał, zawiera wiele twierdzeń bałamutnych lub kontrowersyjnych i jedną konkluzję dość w gruncie rzeczy pesymistyczną i nieoczekiwaną u tego autora. Warto ją poprzedzić zacytowaniem kilku wypowiedzi z innych bilansów pięćdziesięciolecia Rewolucji Rosyjskiej.

Raymond Aron: „Jeszcze dzisiaj, mimo destalinizacji, mimo napiętnowania kultu jednostki, wszystko odbywa się tak jakby partia wahała się czy zaufać narodowi którym rządzi od pięćdziesięciu lat. Nic jednak nie wskazuje na to, by obywatele Związku Sowieckiego odczuwali najmniejszą ochotę zbuntowania się przeciw reżymowi. Są słusznie dumni ze swojej ojczyzny, warunki życia poprawiają się stopniowo. A przecież kontynuatorzy bolszewików zachowują pod pewnymi względami mentalność oblężonego miasta”.

Edward Crankshaw: „W pięćdziesiąt lat po rewolucji przywódcy sowieccy usiłują rozpaczliwie przemysleć od podstaw swoje poglądy, nie rezygnując z opartej na nich władzy... Być może Rosjanie powinni w tym roku obchodzić nie Rewolucję Leninowską, lecz odrodzenie ducha rewolty który rzucił niegdyś wyzwanie (wiadomo z jakimi skutkami) policji carskiej”.

Adam Ulam: „W roku 1927, na piętnastym Zjeździe partii, Stalin zapewnił swoich słuchaczy że gdyby żył Engels, wykrzyknąłby ile tchu w piersiach: 'Do diabła ze starymi formułami; niech żyje zwycięska Rewolucja Rosyjska'. W ten sposób marksizm został w Rosji definitywnie wyrzucony na śmietnik. Używało go się odtąd jako teologii oficjalnej, przypominającej pewne kultury plemion prymitywnych: cześć oddawana wciąż symbolom i przedmiotom przy równoczesnym wymazywaniu ze świadomości pierwotnej roli i istoty bogów. Tak się stało z kultem rewolucji. Reżym nie umiał wyjaśnić dokładnie co właściwie wielkie wydarzenie wniosło do życia milionów ludzi. Może socjalizm został

urzeczywistniony w roku 1936, jak twierdził Stalin? W roku 1955 jego główny współpracownik Mołotow odkrył, że dopiero *wtedy* Rosja zaczęła wkraczać w erę socjalizmu; zdementowano go publicznie. Chruszczow nie miał większego szczęścia, gdy próbował rozbudzić dawne entuzjazmy: w roku 1961 zapowiedziano na dwudziestym drugim Zjeździe partii że ZSSR wkroczy w erę komunizmu w roku 1980, ale w deklaracjach ideologów partyjnych obraz tego przyszłego lepszego świata pozostał dość mglisty. A następcy Chruszczowa, sądząc z kolejnego Zjazdu partii, zapomnieli już o cudownych perspektywach roku 1980; wolą ograniczyć się do obietnic większej obfitości artykułów spożycia, przewidywanej na rok 1970".

Borys Suwarin: „To co zdało egzamin trwałości nie jest Republiką Sowietów proklamowaną w październiku 1917 roku, lecz państwem sowieckim bez prawdziwych sowietów. To co przetrwało jest użyciem siły, posuniętym niekiedy do granic strasliwego gwałtu, dla utrzymania władzy mniejszości nad większością. Jedyną rzeczą autentyczną w tym wszystkim jest ucisk klasy robotniczej przez nową klasę uprzywilejowaną, wyzysk człowieka przez człowieka w imię socjalizmu i komunizmu”.

K. S. Karol: „Marks powiedział w roku 1853, że impotencja wyraża się w jednym jedynym pragnieniu utrzymania *status quo*. To powiedzonko można doskonale zastosować do polityki przywódców sowieckich w pół wieku po zwycięstwie rewolucji. Daleko w tyle pozostawiła ich ewolucja kraju, w którym przeszło połowa ludności mieszka w miastach, w którym nie ma już analfabetów a na miliony liczy się ludzi z wyższym wykształceniem; chcieliby utrzymać *status quo*, gdyż wiedzą że wszelka prawdziwa liberalizacja musi postawić ich władzę pod znakiem zapytania. Ale *status quo* nie może trwać wiecznie”.

Ignazio Silone (w zakończeniu artykułu rocznicowego o „tryumfie i śmierci sowietów”): „Pewne drobne zadośćuczynienie dał nam ostatnio malarz Vasarely, znany ojciec *op-artu*. Zaproszony przez wydawcę paryskiego do narysowania godła sowieckiego, odkrył że sierp jest w nim bez żadnych zabiegów deformacyjnych dokładną reprodukcją znaku zapytania”.

Wszystkie te wypowiedzi — łącznie nawet z Aronem przekonującym że nikt w Rosji „nie ma najmniejszej ochoty buntować się przeciw reżymowi”, lecz dumającym ze zdziwieniem nad „kontynuacją mentalności obłożonego miasta” — dadzą się mimo różnic sprowadzić do dwóch wspólnych elementów: *status quo* i znak zapytania. Są to, żeby posłużyć się modnym dziś określeniem, znamiona swoistej antyrewolucji.

Deutscher, poczynając już od tytułu książki, uważa rewolucję za nieskończoną. Z górą trzydzieści lat wcześniej, w roku 1936, jego mistrz Trocki pisał o „rewolucji zdradzonej”:

„Nie ma pokojowego wyjścia z sytuacji. Biurokracja sowiecka nie odda swych pozycji bez walki, nigdy żaden diabeł nie obiecał sobie sam własnych szponów. Proletariatowi zacofanego kraju przypadło zadanie dokonania pierw-

szej rewolucji socjalistycznej. Za ten historyczny przywilej musi zapłacić drugą, dodatkową rewolucją — przeciw biurokratycznemu absolutyzmowi”.

Miała to być „rewolucja polityczna a nie społeczna”, to znaczy obalająca stalinowski system rządów bez naruszenia nowych stosunków własności. W jej programie Trocki domagał się między innymi „prawdziwej wolności wyborów”, „przywrócenia wolności partiom sowieckim” i „odrodzenia związków zawodowych”. Przez „partie sowieckie” należało, rzecz prosta, rozumieć: „stojące na gruncie Rewolucji Październikowej”. Kto miał takie atestaty wystawiać? Otrzymaliby go, na przykład, mienszewicy? Trocki wołał nie wnikać w szczegóły. Ważne były dla niego trzy postulaty doraźne: precz z biurokracją, precz z monopartią, precz z dyrygowanymi *profsojuzami*. Na krótko przed śmiercią pożegnał się ze swoimi dawnymi nadziejami (czy złudzeniami) reformistycznymi. Kiedyś wierzył w możliwość pokojowego przypiłowania „diabelskich szponów”, teraz żądał ich natychmiastowego obciążenia rewolucyjnym toporem.

Droga powrotna ucznia Trockiego od „rewolucji zdradzonej” do tylko „nieskończonej” prowadziła naturalnie przez zwycięstwo ZSSR nad hitlerowskimi Niemcami, przez wydzwignięcie się Rosji na miejsce drugiego mocarstwa światowego i przez destalinizację. Przebywszy tę drogę wraz z Deutscherem, stajemy jednak wobec „wniosków i perspektyw” (tak się nazywa ostatni rozdział książki) nad którymi unoszą się opary niepewności i melancholii. Czytamy naraz o „bankructwie oficjalnej destalinizacji”; dowiadujemy się nagle, że „półwolność jaką Związek Sowiecki zdobył sobie od czasów Stalina może być bardziej nawet męcząca niż całkowita i hermetyczna tyrania”. I wreszcie docieramy do wspomnianej na wstępie konkluzji:

„Rewolucja przeżyła w ZSSR wszelkie możliwe czynniki restauracji. A przecież wydaje się przytłoczona masą nagromadzonego rozczarowania i rozpacz, która w innych okolicznościach historycznych mogłaby być siłą napędową restauracji. Chwilami Związek Sowiecki robi wrażenie obciążonego moralno-polityczną potencjalnością restauracji, która nie może się stać polityczną rzeczywistością. Duża część dziejów tych pięćdziesięciu lat jest raz na zawsze zdyskredytowana w oczach narodu; i żaden powracający na tron Romanow jej nie zrehabilituje. Rewolucja musi się zrehabilitować sama, własnymi wysiłkami. Społeczeństwo sowieckie nie może się dłużej pogodzić z rolą zwykłego obiektu historii, z zależnością od kaprysów autokratów i arbitralnych decyzji kolejnych oligarchii. Musi odzyskać poczucie panowania nad własnym losem. Musi wywalczyć sobie kontrolę nad rządami i przekształcić państwo, które tak długo nad nim górowało, w narzędzie demokratycznie wyrażonej woli narodu. Musi przede wszystkim przywrócić wolność słowa i zrzeszeń. Skromna to aspiracja w porównaniu z ideałem bezklasowego i bezpaństwowego społeczeństwa; i jest rzeczą paradoksalną że naród sowiecki widzi teraz przed sobą konieczność dążenia do owych elementarnych wolności które niegdyś figurowały we wszystkich liberalnych programach burżuazyjnych, w programach poddawanych zawsze przez marksizm słusznej i bezlitosnej krytyce”.

Jakby dla lepszego unaocznienia tego „paradoksu” obchodom pięćdziesięciolecia rewolucji towarzyszyła w Rosji seria procesów. Wiemy mało o leningradzkim procesie przeszło dwudziest osobowej grupy młodych docentów i studentów. Wymienia się nazwiska Ogurcowa i Wagina, historyków Sado i Iwanowa, badaczy literatury Wachtina i Kiryłowa. Przebąkuje się o wykryciu broni, co jest dość znamienne jako dowód że prowokatorzy policji mieli widocznie psychologiczne podstawy by uznać ten zarzut za co najmniej prawdopodobny. Przypisuje się oskarżonym związki z myślą Bierdiajewa, nazywając ich „chrześcijańskimi socjalistami”. Najpewniejsze wydaje się to, że chodziło o konspirację w imię „wolności elementarnych”: słowa i zrzeszeń. Za podobną zbrodnię (tym razem jednak jawną: organizowanie demonstracji ulicznych) był sądzony Władimir Bukowski; jak wynika ze stenogramu rozprawy przy drzwiach w praktyce zamkniętych, przesłanego na Zachód przez Pawła Litwinowa, Bukowski domagał się „wolności *anty* bez której nic nie znaczy wolność *pro*”. Razem stanęli przed sądem, znowu przy drzwiach w praktyce zamkniętych, Aleksander Ginzburg i Jurij Gałanskow (autor ogłoszonego w swoim czasie w *Kulturze* listu otwartego do Szołchowa) — pierwszy za opracowanie i przesłanie Podgornemu Białej Księgi o sprawie Siniawskiego i Daniela, drugi za wydawane nielegalnego pisma *Feniks* 66. Ton temu procesowi nadało oświadczenie Gałanskowa po wyroku: „Wygraliście jeszcze jedną bitwę, ale przegracie wojnę o demokratyzację Rosji”. W deklaracji podpisanej przez Larisę Daniel i Pawła Litwinowa, i wręczonej przed gmachem trybunału dziennikarzom zagranicznym, uderza zdanie: „Domagamy się publicznego potępienia procesu Ginzburga i Gałanskowa i ukarania odpowiedzialnych za jego zorganizowanie”. Litwinow dodał od siebie: „Nie jestem ani organizatorem ani rewolucjonistą, robię co mi dyktuje serce. Nie interesuje mnie polityka jako taka, chcę po prostu by w mojej ojczyźnie zapanowała sprawiedliwość, by szanowano w niej prawo i ścigano niepraworządność. W ZSSR wszyscy ludzie powyżej lat czterdziestu żyją w wiecznym i bezgranicznym strachu. Moje pokolenie musi przełamać ten stan rzeczy, mówiąc śmiało i otwarcie to co myśli”.

Można więc przyjąć że „dzieci rewolucji” — jak podsądnych i ich przyjaciół określił Crankshaw — są wyłącznie forpcztą „nieskończonej rewolucji”, „rewolucji która musi się zrehabilitować sama” poprzez odkurzenie „elementarnych wolności figurujących niegdyś we wszystkich liberalnych programach burżuazyjnych”? Że ferment który obserwujemy nie ma w sobie zarodków „drugiej dodatkowej rewolucji”, zapowiadanej przed laty przez Trockiego, lecz jest po prostu wezwaniem do szybkiej reformy? Na pierwszy rzut oka, tak. Na pierwszy rzut oka mamy tu istotnie do czynienia raczej z pokoleniem niecierpliwych ewolucjonistów, niż z pokoleniem nowych rewolucjonistów. Nasuwa się jednak pytanie, czy młodzi Rosjanie ryzykowaliby aresztowania i ciężkie wyroki dla zmanifestowania *tylko* swego czysto

legalistycznego, konstytucyjnego protestu. Jeśli nie w słownictwie, to w *atmosferze* fali procesów w Rosji (poczynając od procesu Siniawskiego i Daniela) czuje się rewoltę która wykracza daleko poza granice zwykłego reformizmu. Jak w czasach przedrewolucyjnych, ławy oskarżonych zamieniają się automatycznie w trybuny polityczne. Jak w czasach przedrewolucyjnych, więzienia zamieniają się w zawodną i obosieczną broń w rękach rządzących.

Trudno jeszcze powiedzieć coś pewnego o zasięgu, rozmiarach i głębokości zjawiska. Ceniony włoski pisarz polityczny Enzo Bettiza wyznał niedawno: „Osobiście nie jestem zwolennikiem tezy ewolucjonistycznej. Przekonawszy się że jedną z fundamentalnych cech rewizjonizmów na Wschodzie jest impotencja, skłaniam się z każdym dniem bardziej ku pogładowi że nowa sytuacja rewolucyjna dojrzeje w Rosji gdy tylko wzmocni się i uświadomi sobie własną rolę trzecie pokolenie inteligencji sowieckiej, trzecie po dwóch wyeliminowanych przez Stalina. Głoszona przez ewolucjonistów hipoteza pokojowego i prawie logicznego przeobrażenia systemu sowieckiego w duchu demokratycznym wydaje mi się bardziej racjonalistyczna niż racjonalna, bardziej prawdopodobna niż prawdziwa. Dlatego przede wszystkim, że jej rzecznicy starają się zastosować do rzeczywistości rosyjskiej pojęcia i schematy myślowe o jasności geometrycznej, zapożyczone ze sposobu rozumowania typowo zachodniego. Ale abstrahując nawet od faktu że cała ewolucja dziejów Rosji odbywała się raczej w drodze gwałtu dokonywanego na historii niż kompromisów z historią, nie należy zapominać że teza gradualistyczna ma za sobą wielkie zaprzeczenie: rok 1956”.

Nie należy o tym zapominać, ale nie ma też ani powodu ani potrzeby lekceważyć wszystkiego co ocalało po roku 1956. Jeśli wolno dziś myśleć o „dojrzewaniu sytuacji rewolucyjnej” w Rosji, to w znacznej mierze dzięki działaniu wprowadzonej wtedy w ruch presji ewolucyjnej. Dopiero ona, przybierając na sile i natrafiając wciąż na opór, obróci może kiedyś ostatni rozdział nieskończonej rewolucji w pierwszy rozdział nowej.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Skazańcy moskiewscy

Jurij Gałanskow, Aleksander Ginzburg i Wiera Łaszkowa, skazani 12 stycznia w Moskwie za „działalność antypaństwową”, nie

* Autor niniejszej noty, Nicola Chiaromonte, jest wybitnym eseistą włoskim i współredaktorem (wraz z Silonem) miesięcznika *Tempo Presente*.

potrzebują naszych protestów i naszej obrony. Zaprotestowali przeciw wyrokowi sami, a w obronę wzięli ich otwarcie w samej Rosji ich przyjaciele, w pierwszym rządzie Paweł Litwinow i Larissa Daniel, których oświadczenie (złożone na piśmie) brzmi tak: „Sędzia i prokurator przekształcili do spółki z dobraną publicznością proces w naigrywanie się z oskarżonych, w widowisko nie do pomyślenia w dwudziestym stuleciu. Sprawa nabrała charakteru polowania na czarownice. Sędzia i prokurator dopomogli Dobrowolskiemu złożyć fałszywe zeznanie przeciw Gałanskowowi i Ginzburgowi. Widowisko zostało przygotowane z góry, o wyroku zadecydowano od początku”.

Jest w tych słowach dość materiału by uzupełnić dokumentację, której zdają się potrzebować poniekąd nasi intelektualiści dla należytego ugruntowania swego sądu o procesie. Nie do nich zresztą, lecz do towarzyszy rosyjskich, zwracali się Paweł Litwinow i Larissa Daniel apelując „do tych wszystkich którzy mają jeszcze sumienie i dość odwagi”, domagając się „publicznego potępienia tego haniebnego procesu i ukarania odpowiedzialnych za jego zorganizowanie”.

Nie przemawia się takim językiem w ustroju despotycznym, jeśli nie czuje się mocnego oparcia: nie w większości (którą nie wiadomo jak szacować), nie w tak zwanej „opinii publicznej” (która jest pojęciem mglistym), lecz w prostej pewności że ma się słusność i że trzeba ją za wszelką cenę wyrazić. Jak to precyzyjnie powiedział Paweł Litwinow: „W ZSSR wszyscy ludzie powyżej lat czterdziestu żyją w stanie nieustannego i totalnego strachu. Dlatego moje pokolenie musi przeprowadzić odpowiedzialne zmiany. Ale jak? Zachęciłbym moje pokolenie do mówienia szczerze tego co myśli”.

To co dzieje się najwyraźniej w Rosji od roku 1956 jest stanowczą i upartą — chciałoby się powiedzieć: spokojną — rewoltą młodego pokolenia przeciw systemowi rządów, który stracił wprawdzie znamiona terroru i okrucieństwa, ale pozostał systemem nieznośnego ucisku z tej jedynie przyczyny, że nie może ani nie umie przeobrazić się nie ryzykując równocześnie przewrotu.

Nie znaczy to niestety, że przemiana wolnościowa jest bliska. Wszystko sprzysięga się raczej, by ją opóźnić: w pierwszym rzędzie obecny stan tak zwanej demokratycznej Europy i prawie doskonała głupota obecnej polityki Stanów Zjednoczonych. Jeśli młodzi Rosjanie liczą w swojej walce na Europę — na intelektualistów europejskich — to należy ich ostrzec że się łudzą: intelektualiści w Europie (i w Ameryce) zajmują się kinem, narkotykami, erotyzmem, „nową lewicą”, pasjonują się teoriami wojny podjazdowej i proklamują na każdym kroku swój pacyfizm, są przeciwnikami bomby atomowej i Amerykanów; ale jest jedna rzecz, której nie czują już ani nie rozumieją — wolność. Intelektualiści na Zachodzie nie rozumieją już ani nie czują podstawowego faktu, że wolność nie jest w życiu społeczeństwa wartością dodatkową, przywilejem czy luksusem, lecz samą istotą życia zrzeszonego; nie rozumieją już ani nie czują że życie

zrzeszone, wspólnota polityczna, naród, ojczyzna, państwo (czy jak to zechcemy nazwać) nie zaczyna się w ogóle — jest życiem stadnym, a nie społecznym — bez wolności; i że wolność nie jest papierową klauzulą, lecz istniejącą realnie i materialnie wolną przestrzenią, którą ludziom powiązanych ze sobą udaje się ustanowić, by móc się w niej poruszać, by tworzyć w niej formy życia i autentycznego porozumienia.

Niechaj wiedzą młodzi Rosjanie, którzy chcą uwolnić swój kraj od strachu: właśnie dlatego że o tym zapomnieli, że wolność stała się znikczemniałym przyzwyczajeniem znikczemniając sam sens życia zrzeszonego, intelektualisci na Zachodzie są dziś w znakomitej większości znacznie bardziej niewolnikami od nich; mogą drukować w swoich gazetach mniej lub więcej prawdziwe relacje o tym co się dzieje w Rosji (czy w Chinach, czy w Wietnamie, czy w Boliwii); mogą redagować protesty przeciw nieprawościom i gwałtom, i masowo je podpisywać; ale nie ma w ich słowach siły, brak ich podpisom (choćby najślawniejszym) autorytetu, gdyż nie czuje się ani siły ani prawdy w ich przekonaniach. Czego najlepiej dowodzi fakt, że zdają się być niezdolni do piętnowania jednej nieprawości bez równoczesnego akceptowania innej odwrotnej, do występowania przeciw przemocy w jednym miejscu bez równoczesnego akceptowania jej w innym, do domagania się wolności dla siebie bez równoczesnego godzenia się na ucisk innych.

Tak wyglądają sprawy obecnie. Zmieniają się. Ale w oczekiwaniu na to że się zmieniają najlepszym sposobem złożenia hołdu młodym buntownikom rosyjskim będzie przypomnieć tym, którzy już nie pamiętają, czym była od 14 grudnia 1825 roku do dzisiaj nieprzerwana walka Rosjan o wolność; nieprzerwana (jak wiemy i dowiadujemy się codziennie z książek i ustnych opowiadań ocalałych) w najstraszniejszych nawet latach rewolucji i ucisku totalitarnego; o wolność przede wszystkim, cokolwiek mieliby o tym do powiedzenia sofiści „wolności konkretnych”.

Ta walka opierała się i opiera na wierze w słowo, której towarzyszy woła porozumienia się za wszelką cenę z innymi. Przypomnijmy co pisał Aleksander Herzen o wrażeniu, jakie zrobił w roku 1836 pierwszy ze słynnych *Listów filozoficznych* Piotra Czaadajewa: „Był to wystrzał, który rozległ się wśród ciemnej nocy; czy coś tęnęło i obwieszczało swoją zagładę, czy był to sygnał, wołanie o pomoc, zapowiedź świtu czy tego że on nie nastanie — wszystko jedno, trzeba się było obudzić... Na chwilę wszyscy, nawet senni i zahukani, drgnęli wystraszeni złowieszczym głosem. Wszyscy byli zdumieni, większość obrażona, jedynie około dziesięciu osób głośno i gorąco oklaskiwało autora... Wydawanie miesięcznika zostało natychmiast zakazane. Mikołaj I kazał Czaadajewa uznać za obłąkanego i wziąć od niego pisemne zobowiązanie, że nie będzie nic pisał. W każdą sobotę przyjeżdżali do niego lekarz i policmajster, badali go i składali sprawozdanie, to znaczy z rozkazu cara wystawiali co roku pięćdziesiąt dwa fałszywe zaświadczenia opatrzone własnymi podpisami...

W ciągu dziesięciu lat Czaadajew stawał gdzieś przy kolumnie, pod drzewem na bulwarze, w salonach i teatrach lub w klubie, i niby wcielone *veto*, żywy protest, spoglądał na wirujące przed nim i wpatrzone w niego twarze...”.

W ten sposób, w społeczeństwie które się budziło, wzrok pisarza zmuszonego do milczenia przemawiał nadal. Intelktualiści europejscy, którzy dziś tak bardzo interesują się lingwistyką, filozofią języka, semiologią, mogliby z pożytkiem poświęcić chwilę refleksji temu milczeniu, symbolowi tylu innych milczeń na które wciąż nie zwracają uwagi, pochłonięci bez reszty roztrząsaniem na temat wiekopomnych czynów i słów osobistości zajmujących przód sceny.

Nicola CHIAROMONTE

Protest i odpowiedź

W liście do redakcji *Litieraturnoj Gaziety* (Nr 52 z 27 grudnia 1967) Galina Sieriebriakowa zaprotestowała przeciw wydaniu przez nas w przekładzie polskim jej książki *Huragan*.

„Różne są na świecie przestępstwa. Do najbardziej haniebnych zaliczam ograbienie ludzkiej duszy. Tak właśnie postąpiło polskie wydawnictwo emigracyjne *Kultura* w Paryżu, wydając moją nieskończoną, niedopracowaną powieść *Smiercz*. Jest to powieść autobiograficzna. Staralam się w niej opowiedzieć o moim trudnym życiu w tym okresie naszej historii, na który padł cień naruszeń rewolucyjnej praworządności. Kilka lat temu, zapoznawszy z rękopisem powieści jedno z czasopism moskiewskich, postanowiłam jednak wstrzymać się od jej ogłoszenia drukiem. Przetworzenie dramatu osobistego w obrazy artystyczne, co nieuchronnie prowadzi do uogólnień, nakłada na pisarza ogromną odpowiedzialność, wymaga wyostrenia myśli i słowa, intonacji pełnego obiektywizmu. Po długich namysłach i konfrontacjach zrozumiałam, że nie udało mi się chwilowo uporać z tym zadaniem... Powtarzam, o losie tej powieści zadecydowałam sama. Sama wstrzymałam jej druk w czasopiśmie. Tym więcej zraniła mnie wiadomość, że rękopis powieści — potajemnie, po złodziejsku wywieziony zagranicę — został drukiem ogłoszony we Francji. Nasi nieprzyjaciele na Zachodzie lubią chwalić się swobodą twórczości, przy byle sposobności „współczując” pisarzom krajów socjalistycznych, pozbawionym jakoby tej swobody. Nie widzę potrzeby roztrząsać teraz czym jest swoboda twórczości i w jakim społeczeństwie jest ona naprawdę możliwa. Myślę jednak, że postępek wydawnictwa *Kultura* jest bardzo wymowną ilustracją swobody twórczości na burżuazyjną modłę. Jest to swoboda uchylania się od ogólnie — zdawałoby się — przyjętych zasad moralności, swoboda wkraczania w cudzy proces twórczy, ucinania go według własnego widzimisię. Swoboda deptania elementarnych praw autorskich... Nie żywię naiwnej nadziei, że moje oburzenie wytrąci zanadto z równowagi

panów z wydawnictwa *Kultura*. Zbyt głęboko, sądząc po wszystkim, przyswoili oni sobie obyczaje prasy sensacyjnej, by na ich twarzach mógł się pojawić rumieniec wstydu. Ale nie wątpię, że każdy uczciwy człowiek zrozumie mnie i podzieli moje oburzenie. Nikt nie ma prawa bez wiedzy pisarza decydować o losie jego rękopisów. Tak ja rozumiem swobodę twórczości; i tylko tak mogą ją rozumieć wszyscy przyzwyczajeni ludzie. Każdemu z nas, pisarzy sowieckich, brak jednej wyłącznie rzeczy: czasu. Żadne prowokacje i fałszywe nie mogą nam przeszkodzić w pracy dla dobra własnego narodu”.

Według imaginacyjnej rekonstrukcji Sieriebriakowej dzieje manuskryptu jej książki były następujące: udostępniony w bliżej nieokreślonym celu kilka lat temu redakcji jednego z czasopism moskiewskich; po namyśle wycofany przez samą autorkę; schowany przez nią chwilowo do szuflady z zamiarem dalszej „elaboracji artystycznej” w imię „pełnego obiektywizmu”; wykradziony z szuflady przez nieznaną sprawcę; „potajemnie, po złodziejsku” wywieziony zagranicę; dostarczony *Kulturze* i wydany w Paryżu bez wiedzy i zgody autorki w tłumaczeniu na język polski.

Prawdziwy przebieg wypadków był natomiast taki: po napisaniu *Huraganu* Sieriebriakowa rozpoczęła zabiegi o jego druk w jednym z czasopism moskiewskich; rzecz natrafiała na przeszkody, ale o zezwoleniu na druk zadecydował ostatecznie protektor autorki Chruszczow; skład w drukarni był gotów w przededniu upadku Chruszczowa; po upadku Nikity Siergiejewicza skład pośpiesznie rozsypano; ktoś zdołał ocalić od zniszczenia pewną ilość korektorskich odbitek szczotkowych, które utorowały sobie drogę na nieoficjalny rosyjski rynek czytelnicy, czyli zaczęły po prostu krążyć wraz z wieloma innymi tekstami zakazanymi; jedną z odbitek przemycono zagranicę, do *Kultury*; wydaliśmy istotnie książkę po polsku bez wiedzy i zgody autorki.

Naszą odpowiedź na protest Sieriebriakowej moglibyśmy ograniczyć do tego uściślenia faktów, gdyby nie okoliczność że sporo czytelników nie wie wciąż jeszcze co od pewnego czasu oznacza w Rosji formułka „bez wiedzy i zgody autora”. Cały epizod wymaga więc zaczepienia o szersze tło rosyjskiej sytuacji literackiej.

Pod koniec roku 1963 ukazał się w Monachium, nakładem *Towarzystwa Zarubieżnych Pisatielej*, zakazany w Rosji poemat Anny Achmatowej *Requiem*. Otwierało go krótkie oświadczenie wydawcy: „Otrzymaliśmy te wiersze z Rosji i drukujemy je bez wiedzy i zgody autorki”. Wydany w Monachium oryginał rosyjski *Requiem* był podstawą do wielu przekładów (Tekst *Requiem* jednocześnie otrzymała ze Związku Sowieckiego *Kultura*). W parę lat potem ukazała się w Paryżu, nakładem wydawnictwa *Piat Kontinentow*, przemycona z Rosji powieść Lidii Czukowskiej *Opustiały dom*. Poprzedzała ją identyczna formułka wydawcy „bez wiedzy i zgody autorki”; w ślad za oryginałem rosyjskim poszły niebawem liczne tłumaczenia na języki obce. Niemal równocześnie wielki wydawca mediolański Mondadori ogłosił (po rosyjsku i po włosku) otrzymany z Rosji pamiętnik Jewgienii Siemionowny Ginzburg *Krutoj marszrut*; i tu formułka była

podobna, i tu posypały się dalsze przekłady. Żadna z tych trzech autorek nie zaprotestowała (mimo niewątpliwych nacisków ze strony władz) przeciw „deptaniu elementarnych praw autor-
skich” i „haniebnemu przestępstwu ograbienia duszy ludzkiej”. Wszystkie trzy manuskrypty krążyły na podziemnym rosyjskim rynku czytelniczym, wszystkie trzy przemycono zagranicę gdyż nie mogły ujrzeć światła dziennego w Rosji. Zrobiono to by poszerzyć swobodę twórczości w Rosji, by postawić rządzących wobec alternatywy: albo pozwolicie wreszcie na druk takich książek w kraju gdzie zostały pomyślane i napisane, albo docie-
rać one będą okrutną drogą do rąk czytelników rosyjskich i ob-
cych. Podziemny rosyjski ruch czytelniczy jest formą walki o wolność słowa, przemysł i druk zagranicą kolportowanych w Rosji manuskryptów jest jego naturalnym przedłużeniem. Sie-
riebriakowa, jak wynika z jej protestu, nie ma ochoty figuro-
wać w podejrzanym towarzystwie Anny Achmatowej, Lidii Czu-
kowskiej i Jewgienii Ginzburg (nie mówiąc już o Pasternaku czy
Siniańskim i Danielu). To jej prawo, które przyjmujemy do wia-
domości. Ale od takiej postawy dość daleko do roli obrończyni
„ogólnie przyjętych zasad moralności”, a jeszcze dalej do mentor-
stwa na temat „prawdziwej swobody twórczej”.

Kultura od wielu lat śledzi pilnie i w miarę swych możliwości
wspiera aspirację pisarzy rosyjskich do przywrócenia prawdy
o przeszłości i rozprawienia się z dziedzictwem stalinizmu, uwa-
żając ją za ważną siłę napędową procesu zmian politycznych
w Rosji i w krajach Europy wschodniej. Nasze zainteresowania
i wysiłki mogą się podobać lub nie podobać, ale nie ma w nich
z pewnością „pogoni za sensacją”. Sieriebriakowa słusznie nie
spodziewa się że jej oburzenie „wytrąci nas z równowagi”, słusz-
nie też nie oczekuje pojawienia się na naszych twarzach „ru-
mienca wstydu”. Rumieniec wstydu bardziej przystoi pisarce
protestującej po dwudziestu latach cierpień w więzieniach i
łagrach przeciw tym którzy dali jej możliwość mówienia, a nie
przeciw tym którzy ograbili jej duszę zmusiwszy ją do milczenia.

REDAKCJA

Materiały do refleksji

Polityka *containment* przerodziła się w politykę „żandarma”. Innymi słowy, Ameryka interweniuje zbrojnie w przekonaniu, że mała wojna uchroni ją od wielkiej wojny. Podstawowy argument w debacie wietnamskiej brzmi: jeżeli dziś nie stawimy zbrojnego oporu Wietkongowi — jutro będziemy musieli walczyć z setkami milionów Chińczyków.

Na Zachodzie na ogół nie zdajemy sobie sprawy z wymiarów owej „żandarmeryjnej” polityki. Z książki Ronald Steel'a pt. „Pax Americana” (New York, The Viking Press) — czerpię następujące dane: W roku 1967 Stany Zjednoczone posiadały 700.000 żołnierzy w 30 krajach świata. Ameryka jest członkiem czterech regionalnych sojuszów obronnych, jest związana umowami o wzajemnej pomocy z 42 narodami, przynależy do 53 międzynarodowych organizacji oraz wspomaga stale gospodarczo i wojskowo ponad 100 narodów w różnych punktach globu.

Tej skali zobowiązania — a zwłaszcza wojna w Wietnamie uwarunkowują w coraz większej mierze wewnętrzny układ społeczno-gospodarczy w Stanach Zjednoczonych. Sen. Fulbright w przemówieniu wygłoszonym w dniu 13 grudnia ub. roku wyraził pogląd, że Ameryka przystosowuje swą gospodarkę do permanentnej wojny. Według danych przytoczonych przez senatora, przemysły i korporacje handlowe pracujące dla wojska zatrudniają 10 % ogółu siły roboczej Stanów Zjednoczonych. Zgrupowanie wojskowo-przemysłowe (*military industrial complex*) staje się poważnym czynnikiem wpływającym bezpośrednio zarówno na politykę jak i na gospodarkę Ameryki.

Mocarstwo, które jest związane paktami wzajemnej pomocy z 42 narodami świata — musi przyjąć „małe wojny” za zjawisko stałe. Każda „mała wojna” może oczywiście przekształcić się w średnią wojnę — krwawą i kosztowną typu wietnamskiego.

W tym miejscu musimy na chwilę odbiec od tematu by złożyć następujące wyjaśnienie. W liście do Redakcji (*Kultura*, gru-

dzień 1967) p. R. Gutowski wymówił prenumeratę naszego miesięcznika z powodu Wietnamu. W tym samym numerze *Kultury* w liście do Redaktora p. Adam Bardecki potępił nas za stanowisko w sprawie Wietnamu.

W londyńskich *Wiadomościach*, Nr 42(1124) ukazał się artykuł Stanisława Strzetelskiego w którym czytamy m.in.:

„Wraz ze zwycięską falą pragmatyzmu odżyły w nowym blasku styl i prawidła myślenia arcyministra oportunistu politycznego Machiavellego. W polskiej literaturze politycznej przykładem takiej odbrazowanej postawy są prace jednego z czołowych pisarzy emigracyjnych, Juliusza Mieroszewskiego. W swej świeżo opublikowanej książce *Polityczne Neurozy* pisze on: „... Argumenty moralne mobilizują zawsze ci, którzy ponieśli klęskę. Zwycięscy o moralności i etyce mówią niezmiennie rzadko”. I później: „Celem polityki jest definiowanie interesów państwowo-narodowych oraz szukanie dróg maksymalnego ich zaspokojenia i zabezpieczenia. Mieszanie norm politycznych i etycznych nie wychodzi na dobre ani polityce ani etyce”. Trudno o sformułowanie bardziej jasne, proste i pozbawione obłudy. Daleki od afirmowania ich jako pożądanych norm postępowania, przyznać muszę, że oddają one doskonale to, co nazwalismy duchem czasu w pierwszej połowie XX stulecia”.

W *Kulturze* jesteśmy również jak najdalsi od afirmowania polityki siły jako wszech-ludzkiego ideału. Osobiście, jestem jak najdalszy od aprobowania teorii Machiavellego. Lecz opisując i analizując przebieg gry szachowej nie można opierać się na prawidłach obowiązujących w tenisie. Politykę pragmatyczną można zrozumieć i ocenić tylko w ramach kategorii pragmatyzmu.

Moim pragnieniom odpowiadałby rząd światowy, likwidacja narodowych armii, powszechne rozbrojenie i zniesienie wszystkich granic. Może tak kiedyś będzie. Definicja polityki, przytoczona przez Strzetelskiego, nie jest wyrazem moich osobistych życzeń czy aprobaty tylko jest podyktowana obiektywizmem. Można ubolewać, że lwy nie odżywiają się szpinakiem i mordują niewinne gazy, niemniej obiektywny badacz analizując lwie obyczaje musi pogodzić się z faktem, że są to zwierzęta mięsożerne. W epoce w której nam żyć wypadło nie ma niestety rządu światowego — tylko są mocarstwa, które prowadzą politykę siły. Można nad tym ubolewać, lecz badacz nie może ubolewaniem i moralnymi kazaniami zastępować rzeczowej analizy.

W studium zagadnień politycznych włożyłem trud całego życia i w skromnej mierze czuję się zawodowo uprawniony do analizy i krytyki w tej dziedzinie. Nie czuję się natomiast uprawniony do rzucania klątw i moralnych potępień.

W Wietnamie ludzie giną nie tylko na skutek bombardowań amerykańskich. Wietkong od wielu lat dokonuje skrytobójstw, bestialskich mordów i likwidacji wsi z kobietami i dziećmi włącznie. Antykomuniści w Wietnamie z całą pewnością mają moralne prawo do bronięcia swojego życia i swoich przekonań.

W mojej ocenie, nie ma nic bardziej niemoralnego jak złożone zagadnienie moralne zredukować do kilku wiecowych slo-

ganów. To jest metoda, którą od 50 lat stosują komuniści. Sowiety zwalczają Izrael nie tylko politycznie lecz i potępiają go moralnie. W państwach totalnych moralność — podobnie jak wszystko inne — podporządkowana jest bieżącej taktyce politycznej.

Należy zawsze otwarcie potępić oczywiste zło, jak na przykład wyrok na Daniela i Siniawskiego. Jednak w sprawach złożonych, gdzie często słuszność walczy przeciwko słuszności i zło przeciwko złu i barbarzyństwo przeciwko barbarzyństwu — unikać trzeba uproszczeń. W takiej sytuacji wstrzymanie się od sądu kwalifikującego nie jest inderferentyzmem moralnym, tylko uczciwą przezornością.

Wróćmy do głównego toku naszych rozważań. Mówiliśmy o polityce „żandarma” Stanów Zjednoczonych. Każdą politykę ocenia się jej realnymi osiągnięciami. Na terenach Azji rezultaty są pozytywne — ponieważ Chiny nie zdołały rozszerzyć swojej sfery wpływów. Istnieją dane pozwalające żywić nadzieję, że z czasem powiedzie się pozyskać Japonię dla aktywnej polityki *containment* — co w znacznej mierze odciążałoby Amerykanów.

Równocześnie jednak w Europie zarysowuje się sytuacja „napoleońska”. W przeszłości Anglicy uważali za główny nakaz swojej polityki przeciwstawiać się skutecznie wszelkim próbom dominacji jednego mocarstwa na kontynencie. Ów postulat przejęli od Brytyjczyków Amerykanie i wzięli udział w dwóch wojnach światowych tylko w tym celu, by nie dopuścić do hegemonii Niemiec na kontynencie europejskim.

Rosja Sowiecka wyzyskała w ostatnich latach trzy następujące elementy międzynarodowej sytuacji:

I. Wojna w Wietnamie i zaangażowanie w Azji spowodowało nie tylko uwiad zainteresowań Europą lecz wytworzyło w Waszyngtonie przypuszczenie graniczące z pewnością, że ze strony Rosji nic nam nie zagraża. Wojujący rewolucjonizm reprezentują Chiny a nie Rosja. Osobiście skłonny jestem również przypuszczać, że ze strony Rosji wojna nam nie zagraża. Lecz jeżeli politykę imperialną można z sukcesem realizować bez wojny, tylko szalenie detonowałby wojnę.

II. Prezydent Roosevelt, jak wiadomo, był przeciwnikiem wszelkiego imperializmu i kolonializmu a w szczególności „nie kochał” imperializmu brytyjskiego. Jest wiele typów imperializmów. Można administrować i przygotowywać ludność do autonomii według tradycji brytyjskiej — można usiłować przekształcić Murzynów w czarnych Francuzów — można wreszcie ograniczyć się do dostaw broni i pomocy technicznej w zamian za bazy w strategicznie kluczowych punktach. Ten ostatni, najmniej kłopotliwy a najbardziej skuteczny typ imperializmu uprawiają Rosjanie. Bez przesady można stwierdzić, że sukcesorami imperializmów francuskiego i brytyjskiego nie są Amerykanie lecz Rosjanie.

III. Żadne państwo demokratyczne nie może oświadczyć, że zastrzega sobie prawo atomowego uderzenia prewencyjnego. Nie

zawsze ten, kto uderza pierwszy jest agresorem. Gdyby lotnictwo polskie zbombardowało Berlin w dniu 31 sierpnia 1939 r. aktem tym Polska nie stałaby się agresorem, ponieważ kampania niemiecka przeciwko Rzeczypospolitej była już postanowiona i wprowadzana w czyn. Podobnie w lecie ubiegłego roku, choć Izrael uderzył pierwszy — agresorem był nie Izrael tylko Egipt.

Państwa demokratyczne a przede wszystkim Stany Zjednoczone skazane są na strategię tzw. „drugiego uderzenia” — ponieważ wszystko inne można by określić jako agresję, a słowo to stanowi anatemię w słownictwie demokratycznym.

W związku z powyższym wypada podkreślić dwa punkty. Łatwo sobie wyobrazić sytuację w której uderzenie przewencyjne może być jedynym i niepowtarzalnym zabiegiem strategicznym gwarantującym nie tylko zwycięstwo lecz i ocalenie świata przed katastrofą. I punkt drugi. Kto może zaręczyć czy Rosja za lat 10 nie będzie dysponowała tak gigantycznym potencjałem atomowym, że kraj zaatakowany przez rosyjskie siły nuklearne stanie się niezdolny do odwetu?

Rozważmy przytoczone punkty bardziej szczegółowo. Hitler wyobrażał sobie, że opanowanie kontynentu musi oznaczać osadzenie w każdej stolicy europejskiej niemieckiego gubernatora. Wzorcem rosyjskiego imperializmu nie jest „generalna gubernia” tylko Finlandia.

Europa jest opasana trzema wielkimi wodami: Bałtykiem, Atlantykiem, Morzem Śródziemnym. Kluczową rolę w tej geograficznej dyspozycji odgrywa Morze Śródziemne. Siła ognia VI Floty Amerykańskiej jeszcze ciągle przewyższa siłę ogniową sowieckich jednostek śródziemnomorskich. Lecz cyfrowo — według ocen brytyjskich — Sowiety prześcignęły Amerykanów, ponieważ śródziemnomorska flota sowiecka liczy 55 jednostek a VI Flota tylko 50. Równocześnie Sowiety korzystają z baz nie tylko w Egipcie i w Syrii, lecz pertraktują również o bazy po-francuskie w Afryce północnej i po-brytyjskie w Adenie. Mers-el-Kebir w Algierii Francuzi opuszczają mimo, że zgodnie z umową mogliby dzierżyć tę bazę jeszcze 10 lat. Mers-el-Kebir jest jedną z najnowocześniejszych rozbudowanych baz morskich i posiada schrony i urządzenia podziemne jakich nie ma żaden port na Morzu Śródziemnym. Rosyjski mīt o „ciepłych morzach” realizuje się na naszych oczach. (Cyklowi tych zagadnień poświęciłem wnikliwy artykuł, opublikowany w kilku językach europejskich, mjr. E. Hinterhoff, doskonały komentator wojskowy).

Równoległe z umacnianiem się Sowietów w basenie Morza Śródziemnego — na kontynencie postępuje systematyczna demobilizacja NATO. Ciosem dla siły NATO było wycofanie 16 eskadr lotniczych francuskich oraz 6 brygad wojsk lądowych. Przewidziane są redukcje: brytyjskiej Armii Renu o 5.000 ludzi i Amerykańskiej VII Armii o 35.000 ludzi.

Nie znalazłem nigdzie wzmianki o redukcjach w armii sowieckiej stacjonowanej w Niemczech Wschodnich (22 dywizje). Lecz dlaczego Rosjanie mieliby wycofywać się z NRD? Nikt

tego od nich nie żądał, ani nie żąda. NATO redukuje swoje siły nie stawiając żadnych warunków.

Z powyżej naszkicowanego stanu rzeczy pewni komentatorzy wojskowi i polityczni wysuwają wniosek, że osłabienie NATO wzmacnia potencjalnie Niemcy. Jeżeli z kontynentu wycofują się Amerykanie i Anglicy — siłą rzeczy coraz poważniejszą rolę w NATO muszą odkrywać Niemcy. W takiej sytuacji będzie coraz trudniej odmawiać Niemcom broni atomowych — ponieważ obrona zachodniej Europy w znacznej mierze będzie spoczywała na ich barkach.

Powyższe rozumowanie w mojej ocenie jest całkowicie błędne. Wywianowanie Niemiec w broni atomowej byłoby najbardziej antysowieckim posunięciem jakie w Europie można sobie wyobrazić. Na antysowiecką prowokację tej skali mogłoby sobie pozwolić tylko bardzo potężne NATO i bardzo potężna Zachodnia Europa. W rzeczywistości flota sowiecka na Morzu Śródziemnym, bazy w Egipcie, w Syrii — a jutro w Algierii, w Adenie i w Zatoce Perskiej — to wszystko przypieczętowało podział Niemiec i całkowicie wyłącza możliwość przyznania Niemcom broni atomowych. Oddala również w nieskończoność ewentualne negocjacje w sprawie Berlina i kwestii niemieckiej — ponieważ Rosjanie są w tak uprzywilejowanej sytuacji, że wytargowanie od nich najmniejszego ustępstwa wydać się musi mrzonką.

Flota sowiecka na Morzu Śródziemnym, tysiące specjalistów sowieckich w Egipcie i w innych krajach Bliskiego Wschodu — to wszystko w moim zrozumieniu stanowi fragment europejskiej polityki sowieckiej. Nie można panować nad Europą z Bałtyku. Nie można panować nad Europą pociskami atomowymi, ponieważ Europejczycy nie wierzą w możliwość wojny atomowej na kontynencie. Jaką korzyść dla Rosji przedstawiałyby radioaktywne ruiny miast europejskich? Nad Europą panować można tylko konwencjonalnymi metodami i ortodoksyjną strategią. Ani Napoleon ani Hitler nie panowali na morzach. Rosjanie do swojej przewagi w siłach lądowych i powietrznych zdecydowani są dodać również przewagę w siłach morskich. Według źródeł amerykańskich Rosja z mocarstwa typowo lądowego przekształca się w pierwszoplanową potęgę morską. W następnych dekadach Rosjanie dysponować będą nie tylko łańcuchem baz, lecz i największą flotą na Morzu Śródziemnym. Wówczas operacja pełnego oskrzydlenia Europy zostanie ukończona. To co nie powiodło się zrealizować Napoleonowi i Hitlerowi — powiedzie się oczywiście Rosjanom. Nie twierdzę, że tak się stanie. Twierdzę natomiast, że do owego celu Rosjanie dążą z żelazną konsekwencją i twierdzę również, że nikt im w owym zbożnym dziele nie przeszkadza.

Jestem pewien, że Rosjanie — w przeciwieństwie do Napoleona i Hitlera — nie zamierzają zajmować zbrojnie Europy. Nie przewidują również wojny na kontynencie. Jeżeli powiedzie im się w pełni oskrzydlić Europę — nie będzie potrzeby jej zajmować, tak jak nie ma potrzeby zajmować Finlandii.

Terminy „zagrożenie”, „dominacja” itp. wymagają dziś nowych definicji. Europa zachodnia może kwitnąć gospodarczo, niemniej owo bogactwo staje się z każdym miesiącem trudniej przetłumaczalne na siłę polityczno-wojskową. Jeżeli przez „zagrożenie” rozumieć inwazję zbrojną — wydaje mi się, że Europa zachodnia nie jest zagrożona. Jeżeli przez „dominację” rozumieć stworzenie układu, który uniemożliwia dokonanie na kontynencie jakichkolwiek zmian bez zgody Rosji — dominacja jest coraz bardziej faktem dokonanym.

Czytelnik zauważy, że bez zgody Rosji nie można było niczego zmienić w Europie od końca wojny. To jest oczywiście prawda, lecz istotne w tym zagadnieniu są szanse uzyskania owej zgody. Szanse są funkcją równowagi sił. Przy stole obrad na sukces może liczyć tylko ta strona, która negocjuje z pozycji siły. Z chwilą kiedy Rosjanie rozbudują i zabezpieczą swój potencjał na morzu Śródziemnym i na Środkowym Wschodzie — nie tylko nikt nie będzie mógł niczego zmienić na kontynencie bez zgody Rosji lecz nikt nie będzie miał żadnej szansy owej zgody wytargować.

Podkreślałem wielokrotnie w poprzednich artykułach, że celem europejskiej polityki rosyjskiej jest bezpieczeństwo. Kreml uważa, że w tej sprawie nie można przesadzić. Rosjanie pragną stworzyć sytuację w której sama myśl zmiany *status quo* wydać by się musiała Europejczykom komiczna w swoim surrealizmie. Innymi słowy, pragną oskrzydlić Europę i stworzyć układ sił, który akceptację kontynentalnego *status quo* czyniłby rzeczą oczywistą i niepodlegającą dyskusji.

Bogata, technologicznie zaawansowana Europa Zachodnia potrzebna jest Rosji tak jak Hong Kong potrzebny jest Chinom. Lecz podobnie jak od strony Hong Kongu Chinom nic nie zagraża — tak Rosji od strony zachodniej Europy nie może również nic zagrażać.

Europejczycy ufają że amerykański „parasol atomowy” uchroni ich od wojny. Lecz istota problemu polega na tym, że ubezwładnienie Europy odbywa się bez wojny. Prawdopodobieństwo wojny oddala się od nas z każdym miesiącem.

Dane cyfrowe dotyczące uzbrojenia w ogólnym zarysie nie są tajemnicą i podawane są regularnie przez prasę światową. Wiadomo na przykład, że miasta europejskie znajdują się w zasięgu 750 atomowych rakiet sowieckich. Wiadomo, że w NRD stacjonują 22 dywizje sowieckie, wyposażone w najnowocześniejszy sprzęt jaki istnieje. Rosja posiada 77 okrętów podwodnych i 30 okrętów podwodnych w budowie. W Odessie kończy się budowę lotniskowców, które w najbliższych miesiącach z całą pewnością pojawią się na Morzu Śródziemnym.

Twierdząc, że widmo wojny oddala się od nas z każdym miesiącem — mam na myśli stale postępującą rozbudowę wojskowego potencjału sowieckiego wokół Europy Zachodniej. Ponieważ w swych planach Moskwa nie natrafia na żadne opory — należy wnioskować, że w niedalekiej przyszłości przewaga sowiec-

ka na obszarze europejskim będzie tak olbrzymia, że wojna w tym rejonie nie będzie propozycją realną w sensie czysto strategicznym.

Europejczycy myślą na ogół staroświecko i konserwatywnie. Przez podbój rozumieją inwazję. Gdyby ruszyły czołgi sowieckie na kontynencie powstałaby panika i chaos. Lecz flota sowiecka na Morzu Śródziemnym nie spędza nikomu snu z powiek. Zdobyć dominującą pozycję nie musi oznaczać inwazji. Wystarczy dany rejon oskrzydlić i stworzyć tego typu przewagę sił, by wszelki ewentualny opór przeciwnik uznać musiał za bezcelowy. Z chwilą gdy to się osiągnie inwazja jest zbędna.

Rosjanie są zbyt wielkimi realistami, by marzyć o sowieckich *gauleiterach* w każdej stolicy europejskiej. Ich celem jest zabezpieczyć *status quo* na kontynencie i uniemożliwić jego rewizję.

Choć ani Amerykanie ani nawet Niemcy nie proponowali nigdy rewizji *status quo* siłą — należy rzeczowo stwierdzić, że *de facto* nie istnieje inna metoda zmiany *status quo* tylko siłą. Nie mam na myśli działań wojennych. Lecz w negocjacjach tego typu decydującą rolę odgrywa nie legalizm, nie logika argumentów — tylko potencjały siły, którymi dysponują negocjatorzy.

Z chwilą gdy oskrzydlenie Europy i ubezpieczenie *status quo* zostaną w pełni osiągnięte — Rosjanie przystąpią do rozwiązania kwestii niemieckiej. Oczywiście w tej dziedzinie możliwe są tylko spekulacje. Sądzę, że Moskwa oprze się na NRD, którą postara się uatrakcyjnić. Przyłączenie Berlina i Szczecina wzmocniłoby wydatnie pozycję i status NRD. Berlin jest historyczną stolicą Niemiec a Szczecin jest wielkim portem, którego brak Niemiec-kiej Republice Demokratycznej. Operacja miałaby na celu wykazanie światu, że prawdziwe państwo niemieckie to NRD a nie Federalna Republika. Drugim celem byłoby podkreślenie tezy, że dla wszystkich Niemców z Bonn włącznie — droga do Moskwy wiedzie przez NRD i tylko przez NRD.

Oczywiście Rosjanie w stosunku do Amerykanów są na terenie Europy w niezmiernie uprzywilejowanej sytuacji. Od Europy nie oddziela ich Atlantyk i nie prowadzą kosztownej i krwawej wojny na drugim końcu świata. Od strony europejskiego Zachodu Rosji absolutnie nic nie zagraża. Na całym kontynencie nie ma jednego batalionu, który byłby gotowy maszerować przeciwko Moskwie. Więc czego Rosjanie się boją?

Proces, inscenizację, wyrok — Ginsburga i jego towarzyszy wytłumaczyć można tylko paniką.

Prasa komunistyczna w Anglii potępiła ów proces jako niezrozumiały. Na Zachodzie nikt tej paniki nie rozumie — ani komuniści ani antykomuniści.

Myślę jednak, że gdybym był członkiem klasy rządzącej w ZSSR również bałbym się Zachodu. Czy jest rzeczą możliwą zdemokratyzować Rosję i zachować nieuszczerplony jej *status quo* drugiego mocarstwa świata?

Paranoiczny lęk Rosjan przed Zachodem — nie w sensie militarnym, lecz w sensie wpływów kulturalno-społecznych — polega

na tym, że w Rosji istnieje głód wolności, którego nie można zasycić własnym rosyjskim produktem. Wskutek tego młodzi ludzie skłonni są sięgać po obcą wolność, opakowaną w kontekst obcej kultury i obcych wpływów społecznych i politycznych.

Na europejskim Zachodzie obserwujemy internacjonalizację kultury, zwłaszcza na poszerzającym się polu kultury masowej. Lecz to samo zjawisko w Rosji oznacza zupełnie coś innego. To jest import z innego świata, wrogięgo obozu.



Panuje chaos pojęć i definicji. Weźmy dla przykładu politykę *containment*. Z punktu widzenia amerykańskiego polityka *containment* na terenie Europy spełniła swoje zadanie. Pochód komunistyczny został zatrzymany. Lecz problemem Europy zachodniej nie jest dziś ani pochod komunistyczny, ani agresja komunistyczna, ani rewolucja. Problemem Europy jest zwichnięta równowaga sił i na ten problem polityka *containment* nie ma żadnej odpowiedzi.

W dniu 16 stycznia br. imperium brytyjskie dobiegło swego ostatecznego kresu. W dniu tym prem. Wilson przedstawił Izbie Gmin rządowy projekt drakońskich oszczędności. Anglia przestała być aktywnym sojusznikiem Ameryki w Azji i na Dalekim Wschodzie. Cięcia w budżecie ministerstwa obrony a przede wszystkim anulowanie zamówienia na 50 amerykańskich bojowych samolotów „F111” wpływają wydatnie na dalsze pogorszenie europejskiej równowagi sił. Ale po co mamy wydawać 400 milionów na nowoczesne samoloty zdolne do bombardowania Moskwy i Leningradu skoro wojny w Europie nie będzie. Sukces polityki *containment* obrócił się przeciwko nam, doprowadzając do niebezpiecznej erozji równowagi sił pomiędzy Europą zachodnią a Związkiem Sowieckim. Nie wydaje się również by odbudowa równowagi sił na terenie Europy była możliwa. Wyrzutniom sowieckich pocisków atomowych trzeba by przeciwstawić analogiczne wyrzutnie amerykańskie zbudowane na terenach Europy zachodniej. W Europie zachodniej nikt się na taki projekt nie zgodzi. W sumie wypada stwierdzić, że akceptujemy nie tylko *status quo* lecz i *Pax sovietica*, którego *status quo* jest symbolem.

Jednak na dalszą metę nie jestem pesymistą. Istnieje podstawowa sprzeczność w polityce sowieckiej. Rosjanie pragną oskrzydlić Europę i dominować na kontynencie by raz na zawsze zapewnić sobie bezpieczeństwo od strony Zachodu. Chcą być w Europie i chcą w tej Europie odgrywać czołową rolę, lecz równocześnie pragną utrzymać „sowieckiego człowieka”, w całkowitej izolacji i nieskażonej ideologicznej czystości.

Rosjanie dominują nad Europą — lecz wewnątrz Rosji dominuje Europa nad społeczeństwem sowieckim. Dorasta europejskie pokolenie Rosjan, które nie chce dzielić odpowiedzialności ze starszym pokoleniem za zbrodnie przeszłości.

Rosja weszła do Europy — w moim przekonaniu na zawsze.

Siłą militarną Rosjanie zgnieliby Europę szybciej niż Hitler. Lecz pokoju z Europą nie wygrają. Rosjanie akceptując pokój godzą się *de facto* na powolną przegraną. Nie ulega bowiem najmniejszej wątpliwości, że wpływy kultury zachodniej są nieporównanie potężniejsze od wpływów kultury sowieckiej. Można stwierdzić obiektywnie, że liberalna prasa na Zachodzie staje się rzecznikiem inteligencji rosyjskiej. Nie tylko popiera, protestuje i broni, lecz w pewnej mierze dostarcza również ochrony. Odważny bojownik, jak dr Paweł Litwinow, staje się natychmiast znaną osobistością na Zachodzie i gdyby któregoś dnia zniknął z Moskwy — zauważono by to do kilku godzin. Oczywiście władze sowieckie mogą aresztować go, wysłać do łagru — lecz nie mogą tego uczynić w tajemnicy i bezkarnie. Aresztowanie Litwinowa wywołałoby bowiem nową falę protestu w prasie zachodniej. Zarysowuje się wolno front solidarności intelektualistów i inteligencji zachodniej z inteligencją rosyjską. To jest zjawisko o dużym znaczeniu politycznym, ponieważ w znacznej mierze uniemożliwia sowieckiej tajnej policji popełnianie aktów bezprawia — tajnie. Dzięki kontaktom z Zachodem ważne dokumenty przedostają się zagranicę i w rezultacie społeczeństwo sowieckie dowiaduje się o procesie Władymira Bukowskiego czy Ginsburga i towarzyszy. W ten sposób kłamliwe sprawozdania prasy sowieckiej o tych procesach zostają zdemaskowane i ferment w kołach inteligencji rosyjskiej ulega dalszemu pogłębieniu.

Bez samochwalstwa należy stwierdzić, że ów front solidarności z inteligencją rosyjską zapoczątkowany został przez *Kulturę*, która pierwsza zaprezentowała światu pisma Daniela i Siniawskiego.

A jak wygląda kulturalna kontrofensywa oficjalnych czynników sowieckich? W Londynie wychodzi po angielsku sowiecki „Digest”. Poziom intelektualny tego miesięcznika wydawanego w bogatej oprawie graficznej — jest czymś nieprawdopodobnym. Trzeba przeczytać kilka numerów by uwierzyć własnym oczom. Można stwierdzić co następuje: *Sowiety rezygnując z siły — rezygnują ze wszystkiego, bo niczego innego nie mają*. Dalszy, ewolucyjny rozwój sytuacji będzie konsekwencją powyższego prostego faktu.

W sferze polityki siły wydaje mi się, że europejski *balance of power* może być odbudowany tylko poza Europą. Rosji odpowiada zaangażowanie Ameryki w południowo-wschodniej Azji a jeszcze bardziej życzeniom Moskwy odpowiadałaby wojna amerykańsko-chińska.

Z punktu widzenia globalnej polityki Stanów Zjednoczonych nie ma zagadnienia niemieckiego — jest tylko zagadnienie Europy. Podobnie nie ma zagadnienia wietnamskiego jest tylko problem południowo-wschodniej Azji a w szczególności Chin.

Amerykanie będą mogli podjąć rozmowy z Moskwą w sprawach europejskich, gdy będą mieli szansę wytargowania pewnych ustępstw. Zaś szanse te będą mieli wówczas, gdy na terenach azjatyckich, przy pomocy Japonii — a może Japonii i Indii — zbudują nowy system bezpieczeństwa co może potrwać długo.

Europie w tym krytycznym okresie zagraża tylko jedno niebezpieczeństwo a mianowicie fałszywie pojęty „europeizm”, głoszący że Europa jest problemem wyłącznie Europejczyków. Wówczas wrócilibyśmy do „sytuacji monachijskiej” z tą różnicą, że rolę Trzeciej Rzeszy grałaby tym razem Sowiecka Rosja.

Juliusz MIEROSZEWSKI

«Litieraturna Gazieta» o «Kulturze»

W numerze z 7 lutego br. *Litieraturnej Gaziety* pt. *Ciemna gra pana Jerzego Giedroycia* ukazał się artykuł Janusza Kolczyńskiego, „doktora nauk prawnych z Warszawy”, poświęcony *Kulturze* i jej redaktorowi.

Główna teza artykułu głosi, że *Kultura* jest organem wywiadu amerykańskiego. O wartości zawartych w nim informacji niech świadczy twierdzenie, że wszystkie drukowane w *Kulturze* rękopisy zza żelaznej granicy są „od pierwszej do ostatniej stronicy” falsyfikatami sfabrykowanymi na Zachodzie. „Doktor nauk prawnych” liczy zbyt zuchwale na ignorancję czytelników *Litieraturnej Gaziety*, którzy, częściowo przynajmniej, są lepiej poinformowani w tej materii.

Innym charakterystycznym, *świadomym* kłamstwem jest twierdzenie że *Kultura* drukowała czy wydawała utwory Tarsisa.

Najważniejszym jednak dowodem zależności polskiego miesięcznika od wywiadu amerykańskiego jest dla autora artykułu fakt, że *Kultura* „nigdy nie miała odwagi” temu zaprzeczyć. Jest to gruby argument, poniżej poziomu moskiewskiej *Gaziety*. Nawet gdy w prasie amerykańskiej rozeszły się pogłoski o subwencjonowaniu z funduszy CIA kilku czasopism europejskich, nikt nie wymienił w tym kontekście *Kultury*, a na prostowanie wszystkich kłamstw propagandy warszawskiej redaktor *Kultury* nie ma czasu ani miejsca. Numer polskiego miesięcznika liczy ostatecznie tylko 160 stronic.

Pewną nowością jest, że ta nieudolna propaganda, zarezerwowana dotąd dla gadzinówek warszawskich, zaczęła ukazywać się także na łamach *Litieraturnej Gaziety*. Większość jej czytelników dowie się zapewne w ten sposób po raz pierwszy o istnieniu naszego pisma i być może nie okaże przy tej okazji łatwowierności, jaką zdaje się im przypisywać „doktor nauk prawnych z Warszawy”. Dziękujemy za niespodzianą reklamę.

P. H.

Cisi i Gęgacze czyli Bal u Prezydenta

O P E R A

Od niemal dwóch lat krąży po Warszawie, i cieszy się ogromnym powodzeniem, „opera” pod tytułem Cisi i Gęgacze. Za temat do niej posłużyły wypadki związane z Memoriałem Trzydziestu Czterech. Protestujący pisarze to „gęgacze”, tropiący ich agenci UB to „cisi”. Z biegiem czasu przybyły nowe arie, które łączą się z innymi aktualnymi wydarzeniami — ze schizmą Mijala, z ordziem biskupów polskich, z obchodami Tysiąclecia etc. etc. „Opera” ma więc charakter zbiorowej pieśni ludowej (czy raczej studenckiej), odbijającej w jakiś sposób ducha czasów. Przemawia w niej młode pokolenie polskie, zdeptane terrorem, zniciertpliwione, zawiedzione, zalienowane. W obecnej atmosferze PRL utwór tego typu jest czymś w rodzaju klapy psychicznej bezpieczeństwa, daje możliwość „odegrania się” — nie przebierając w słowach — na wszystkich świętościach, prawdziwych i fałszywych. W gruncie rzeczy mamy tu do czynienia ze swoistym i bardzo znamienym dokumentem.

Mimo że „opera” nigdy nie wyszła poza obręb „prywatka” i nie było podstaw do wszczęcia akcji z oskarżenia publicznego, o jej autorstwo został oskarżony Janusz Szpotański. (W chwili gdy piszemy te słowa, toczyła się przeciw niemu — po rocznym pobycie w więzieniu — rozprawa przy drzwiach zamkniętych i Szpotański został skazany na trzy lata więzienia). O krążeniu i wykonywaniu tekstów z Cichych i Gęgaczy UB wiedziało od dawna, a pełne ich nagranie znaleziono u aresztowanej uprzednio i skazanej na trzy lata więzienia Niny Karsow. Zarówno tekst znaleziony u Niny Karsow, jak i tekst podany niżej, są zapisami „oper” w wykonaniu dość przygodnych grup młodych ludzi, śpiewających chóralnie i solo nieprzyzwoite arie przy akompaniamencie brzęku kieliszków. Niniejszy zapis zawiera spo-

re luki, spowodowane niemożnością uchwycenia słów w momentach bardziej hałaśliwych. W wielu miejscach interpretacja tekstu jest niepewna. Wydaje się, że przy różnych okazjach śpiewano różne arie bez prób łączenia ich z resztą „oper”. Przytaczamy je pod koniec zapisu w kolejności zupełnie przypadkowej. Ustalenie tożsamości osób występujących w „operze” nie jest trudne, wszelkie wyjaśnienia i odsyłacze byłyby więc zbyteczne.

REDAKCJA

UWERTURA

Jeśli chcesz mieć różowy balet,
Wygodną chatę, wózek, szkło,
Nie licz na żadną z twoich zalet,
Lecz wstąp czym prędzej do M.O.
Gdy kurczy się ogólna pula
I socjalizmu gaśnie blask,
Wtedy na Cichych się wybula,
Aby ściszczały ludu wrzask.

AKT I. HYMN CICHYCH (na melodię „Hej strzelcy wraz”)

Hej, baczność Cisi! Śledzić ludzi pióra!
Dziś już zza węgła nam nie grozi wróg!
Dziś naszym wrogiem paryska „Kultura”,
Więc jej kontaktów w kraju śledzić ruch!

Więc idź i śledź i to co trzeba słysz!
A gdy już wiesz, to śmiały donos pisz!

Nas nie powstrzyma nawet konstytucja,
Aby Gęgarcza odlakować list!
Bo naszym świętym prawem rewolucja,
Groźniejszy list dziś, niżli kuli świst!

Więc idź... itd.

Gdy Gęgacz kontakt nawiąże z „Kulturą”,
Natychmiast chwyta gęsie pióro swe
I łypiąc okiem groźnie i ponuro,
Straszliwy paszkwil pisze na KC!

Więc idź... itd.

Ostatnio wielką rozpętali burzę,

Na nogi cały postawili rząd!
Stosunki mają aż na samej górze
I szerzą w KC reakcyjny trąd!

Więc idź... itd.

Rozbili nawet nasze ministerstwo,
Ażeby wrogi propagować ruch,
Ale zostało stare koleżeństwo —
Gdzie dawniej jeden, tam dziś siedzi dwóch!

Więc idź... itd.

Hej, baczność Cisi, coś się złego święci,
Gęgacz morderczy znów szykuje cios!
Jeśli nie ujrzą go nasi agenci
Żałosny może być Cichego los!

Więc idź... itd.

Aby spokojnie Jaroszewicz młody
Mógł mercedesów mieć przynajmniej trzy,
I aby Cichy od swej skromnej skody
Spokojnie mógł otwierać sobie drzwi.
Na bój! Na bój!
To obowiązek nasz!
Co wiesz, co znasz, ojczyźnie swojej dasz!
Więc w Snob-café, gdzie wróg ma swe KC
Dla mas, dla mas, pełnimy wierną straż!

ARIA CICHEGO POETY (na mel. „Niechaj góry wysokie”)

Gdy pulomiot pluł w borach,
Gdy się cień snuł po torach
I faszysta podnosił łeb świński,
Gdy jesiennym wieczorem z towarzyszem majorem
Konferował towarzysz Dzierżyński,
Wówczas w trop za tym cieniem
Z cichym szedł doniesieniem
Bezpieczniacki poeta Mandalian.
Nie zawiódł klasowy go nos,
Rymowany niósł donos,
Że się kułak buntuje — kanalia.
„Towarzyszu majorze!
Kułak zakopał zboże,
A we dworze ukrywa się hrabia.
Niechaj chłopcy wyruszą,
Niech kułaka przyduszą,

A hrabiego załapią na wabia!"
Bo bezpieczeniacka służba nie družba,
W niej się hartuje człowiek jak stal!
Czyha faszysta-sabotażysta,
Więc broń repetuj i w serce pal!
„Towarzyszu majorze,
W mieście jest jeszcze gorzej,
Bo tam szumi inteligencja!
Nawet w Partii co chwila
Ktoś się w prawo odchyła,
Socjał-zdrady podnosi łeb żmija!
„Na fabrykach sabotaż,
W POP-ach wroga robota,
Reakcyjne w krąg słychać szeptanki!
Szczercząc kły wróg klasowy
W górę wznosił gadzią głowę
I za żółte zagłada firanki!"

Ach, trudna praca jest bezpieczeniaka,
Choć się hartuje w niej człek jak stal,
W powietrzu wisi straszliwa draka,
Więc w sercu zbiera gorycz i żal!
Przyszedł mroczny październik,
Popsuł szyki cholernik!
Zwiesił głowę poeta i płacze,
Zawiódł klasowy go nos,
Odrzucono mu donos,
W krąg gęgają beztrosko Gęgacze!
Ach, ciężka dola jest bezpieczeniaka,
Kopaniom w nery już nastał kres!
Zrehabilitowano kułaka, także AK i PPS!
Na swej skromnej chałturze
Nasz poeta się chmurzy,
Bowiem skrzydeł nie może rozwinąć.
Wprawdzie nabył moskwicza,
Co dzień balet zalicza,
Lecz świetności czas dawno już minął!
Ach ciężkie jest życie chałturzysty,
Gdy w piersi żądza donosów wre!
Próżno dokoła szukać faszysty,
Gdy podupadło dawne UB!
Ale wtem — niespodzianka!
Patrzy: czyżby łapanka?
Aż się kłębią stalowe mundury!
Słychać strzałów łoskoty,
Słychać pałek łomoty,
To Gołędzin studentom łoi skórę!
Ach, piękne jest życie bezpieczeniaka
Gdy powracają minione dni!
Już słyszy głosy: szykuj donosy
I do Pałacu Mostowskich mknij!

Od razu w swoim żywiole,
Codzień donos gryzmolę
I choć nie jest już w rymy oprawny
Lecz pułkownik mnie chwali,
Nawet awans mi dali
I powoli znów staję się sławny!
Już ustały kul świsty,
Teraz groźne są listy
I pokątne gęganie Gęgaczy.
Codzień mknę więc do „Snoba”
By się im przypodobać
I co knują ukradkiem zobaczyć.
„Ach, panie pułkowniku!
Będzie znów wiele krzyku,
Bo szykują nam spisek Gęgacze!
Wielki bał urządzają,
Mnóstwo gości spraszają,
Niech pan bał ten na oku mieć raczy!”
Ach piękne życie ma dzisiaj Cichy,
Mknie do kawiarni, pędzi na bał!
Więc hulaj dusza, drogi Andriusza!
Tak się hartuje człowiek jak stal!

PIEŚŃ PUŁKOWNIKA CICHYCH (na mel. *Horst Wessel Lied*)

Gaz-rurkę wznieś! Szeregi mocno zwarte!
Patrz, w „Snobie” już Gęgaczy szemrze tłum!
To społeczeństwo wciąż jest krnąbrne i uparte
Najwyższy czas przyłożyć kilka gum!
Więc wolny szlak chłopcom z Gołędzinowa!
Więc wolny szlak temu co pałkę ma!
Gaz-rurkę wznieś i śmiało wal po głowach!
Za-mordo-brania już nadchodzi czas!
A gdy spod pały Gęgaczy krew wytryśnie,
I w nerę weźmie się wojskowy but
Jutrenka wszędzie znów w ludowej nam ojczyźnie
I wnet nastąpi gospodarczy cud!
Więc wolny szlak chłopcom z Gołędzinowa!
Więc wolny szlak gierojom z Kabewu!
Najwyższy czas zapełnić cele Mokotowa
I ku wolności wieść w kajdanach lud!

ARIA CICHEGO MECENASA

Jestem słynnym adwokatem, jam palestry chluba.
Gdy masz do czynienia z katem to się do mnie udaj!

Niejednego przecie zbira co mu groził stryk,
Argumentów swoich siłą obroniłem w mig!
Chociaż Mazurkiewicz wdział śmiertelne wdziano,
Lecz profesor Tarwid żyje z swą kochanką.
Chodzisz stale w chwale spowity i sławie
Przez sądowe sale wielki Mieczysławie!
Nawet książę włoski, choć zawistnik, woła:
„Mieciu, jesteś boski, nisko chylę czoła!”
Lecz ja stwierdzić muszę na wszystko bez względu:
Sławy mej tytułem są sprawy z urzędu!
Ach, z urzędu sprawy, z naszego urzędu,
Ja w nich nie popełniam najmniejszego błędu!
Trudną specyfikę mają owe sprawy,
Z góry wyrok znamy, przestępstwa nie mamy!
Już nie jeden klecha lub dowódca z AK
Ani się obejrzał jak nań wyrok zapadł.
Choć biskup Kaczmarek urwał się spod stryka,
Ale tuzin innych wszak nóżkami fika!
Po więziennych lochach w chwale oraz sławie
Spacerujesz dumnie wielki Mieczysławie!
Nawet sam Podlaski co był kapo w getcie
Mówił „Towarzyszu, wyście geniusz przecie!”
Więc raz jeszcze muszę stwierdzić to bez względu:
Sławy mej tytułem są sprawy z urzędu,
Ach sprawy z urzędu, z naszego urzędu,
O mojej renomie wiecznie świadczyć będą!

ARIA CICHEGO REPORTERA

Przyznaj Mieczysławie, żeś jest tylko zerem,
W porównaniu ze mną — cichym reporterem!
Chodzisz cicho w sądzie w czarnej todze swojej
A ja społeczeństwo podbijam „Przekrojem”.
Ty przestępców bronis, tych co siedzą w kiciu,
A ja ich piętnuję w „Prawie oraz Życiu”.
Kapitana MO musisz słuchać stale,
Ja artykuł piszę o milicji chwale!
Już współpracy z tobą urząd nasz zaniechał,
A mnie raz za razem pokazują w TV!
Na twój temat różne są na mieście śmichy,
A o mnie plotkują żeś kochanką Wichy
A ja na to tylko mówię tra-ra-ra-ra,
Bom nie jest kochanką Wichy lecz Moczara!
Zrozum Mieczysławie — zmieniły się czasy,
Nowi ludzie dostęp mają dziś do kasy
Generalny twój się skończył prokurator,
Teraz inni ludzie trzęsą krajem za to.

I to bez ogródek wyznać zaraz wolę
Tyś z Różańskim przekwitł — jam weszła z Kąkolem!

PIEŚŃ MŁODEGO CICHEGO NOWOCZESNEGO (na mel.
„O mnie się nie martw”)

Ja jestem cichy lecz nowoczesny, nie żaden tępy żłób,
Miłośnik rocka i Coli-Coca a nade wszystko dup!
Mnie nie zabawi już Nowa Huta ni sześćioletni plan
Lecz kiedy dziwka ciągnie mi druta to wtedy frajdę mam!
Sprzedałem sorty, nabyłem skuter, wszak mam 20 lat,
Tu zahandluję, tu zadekuję, okazji każdej rad.
Ćmiąc papierosa zsiadam ze swej osy, życie to wielki pic,
Przechodzi dziwa, biodrami kiwa, o rany co za cyc!
Zagajam słodko z mety „Bardotko, czy się przejechać
chcesz?”

A ona na to „Nie rwij na chatę, lecz mnie do *Hybryd* bierz!”
Tańczymy w tłoku twista i roka, a potem mały chlup,
Już skuter warczy, babka na tarczy na jedenocny ślub.
O nic się nie martw, spokojna głowa, ja sobie radę dam,
Zjem i wypiję, życia użyję i prześpię się nie sam!
Dziś nie ta era, kiedy frajera strzygło się w ZMP,
Współczesny Cichy to nie są śmichy, on dobrze wie jak jest.
Taki Ostrowski czy inny Pstrowski to dla mnie zwykły chuj
Dziś dla mnie wzorem, życia motorem jest Rzeszotarski wuj!

WIELKA PIEŚŃ O ROTMISTRZU (na mel. „Gdy naród
do boju...”)

Gdy naród na placu olbrzymim się zbierał
I wznosił Gnomowi wiwaty
Pan Rotmistrz powstając od partii pokera,
Rzekł kumplom: Czas nastał, rebiata!
O cześć ci, przezorny Rotmistrzu,
O cześć ci, boś wielka jest głowa,
Tyś pojął że twoich to nadszedł czas ziszczeń
I wiedzy swej wiary dochował!
Gdy naród szedł tłumnie na wolne wybory
Posłusznie na Gnoma głosował,
Pan Rotmistrz wypływał połknięte brylanty
I forda w PKO kupował.
O cześć ci, Rotmistrzu wspaniały,
O cześć ci za rozum głęboki
Tyś pierwszy zrozumiał historii kawały
I pierwszy szedł z duchem epoki.
Gdy ruszył Gołędzin, gdy poszły w ruch pałki,

I krew się na placach połała
Pan Rotmistrz pięćsetką, miast gminnej zapałki,
Hawańskie cygaro zapalał.
O cześć ci, Rotmistrzu wspaniały,
Boś pojął istotę swych czasów:
Choć klasy społeczne wykańcza socjalizm
To tworzy też sam nową klasę.
Gdy drzewa wolności już Gnom obdarł z liści
By ustrój chwiejący podpieścić,
Pan Rotmistrz urządzał różowe balety
Dla rządu i pana premiera.
O cześć ci, Rotmistrzu przezorny,
Boś przejrzał istotę tej sprawy:
Im bardziej pod jarzmem gnębiony lud jęczy,
Tym bardziej dwór pragnie zabawy.
Gdy zbrakło na rynku zwyczajnej kiełbasy
I masła zabrakło, i chleba,
Pan Rotmistrz gromadził dolarów zapasy,
Bo dewiz nam przecież potrzeba.
O cześć ci, Rotmistrzu przemysłny,
O cześć ci, boś tęga jest głowa!
Tyś pierwszy oznajmił swym kumplom: „To myśmy,
Chłopak, jest Polska ludowa!”
Gdy Gnom pod bezpieczeństwo udał się opiekę
I cicha nastała epoka,
Pan Rotmistrz pod Pałac Mostowskich zajechał
Swym foldem, bo on jest swój chłopak.
O cześć ci, zaradny Rotmistrzu,
O cześć ci, żeś taki życiowy
Gdy ciche donosy przynosisz bezpiecze,
To ścisza się urząd skarbowy.
Gdy Gnom nam oznajmił, że równość i wolność
Mieć może dwa procent narodu,
Pan Rotmistrz się dawno oderwał od sprawy
Od dawna już poszedł do przodu.
O cześć ci, Rotmistrzu wspaniały,
O chwała przemysłnej twej głowie
Tyś pojął, że służba jest dziś kapitałem
I służyć poszedłeś rządowi.

KOŃCOWA TRANSPOZYCJA I. HYMNU CICHYCH

Hej, naprzód Cisi pod Rotmistrza wodzą,
Śmiało ruszajmy na Gęgaczy bal!
Dziś rozbawieni, wkrótce się zatrwożą,
Kiedy kajdanków twarda łyśnie stal.
Na bal, na bal, do prezydenckich sal!
Już znasz, już wiesz, pod klucz ich śmiało bierz!

A K T II.

HYMN GĘGACZY (na mel. „*Nie masz kobiet w naszej chacie*”)

Nie masz Cichych w naszej chacie,
Wolny nasz gęgaczy stan
Śmiało gęgaj miły bracie
Politycznych żądaj zmian.
Wszak to dziejów jest reguła
Że tyranów gubi lęk
Śmiało rządzi pan Gomuła
Lecz przeraża go nasz gęg.
Pozamykał nasze kluby,
Wtrącił w lochy kilku z nas,
Lecz się nie martw bracie luby
Już się kończy. Gnoma czas.
Nas nie strwożą knuta świsty
Nas nie strwoży kajdan brzęk
Dalej bracia, piszmy listy
Niech usłyszysz świat nasz gęg.

ARIA GĘGACZA NESTORA

Raz pewien lord, nazwiska już nie pomnę,
Być może Rutherford, być może H.G. Wells,
Odkrycie zrobił, dziś już wiekopomne:
W naturze zawsze pro i anty jest.
A więc na przykład, gdy jest bicz w naturze,
To kontrę wnet mu daje anty-bicz.
Aby wyvodu już nie ciągnąć dłużej,
Powie: Natura to po prostu brydź.
Natura ma więc zawsze swoje anty,
Które jej kontrę da w postaci nic.
Tak Piłsudskiemu kontrę dał Korfanty,
A Korfantemu kontrę — Rydz!
I dziś wewnętrzną śledząc politykę,
Zasadę w niej odnajdziesz również tę —
Wszak Gnom państwowej nawy jest sternikiem
A opozycję dzierży anty-Gnom...
Na słońcach dwóch przeciwne stają bogi!
Na jednym stoi Gnom, na drugim widzisz mnie.
Za sobą ma on lufy i wyłogi.
A ja za sobą mam ojczyzny dwie!
I tak niezmiennym wciąż wynikiem
Nasz tytaniczny pojedynek trwa: —
Ja piszę wiersz — on cofa mi klinikę,
Ja piszę list — on anty-listy dwa.

Natura ma więc zawsze swoje anty,
Na tym polega jej brydżowy plan.
Gdy był Piłsudski był też i Korfanty,
A gdy jest Gnom musi być Antoine!

PIOSEKA SWIECKIEGO ARCHANIOŁA (na mel. „Wesołe
jest życie staruszka”)

Wesolutkie są me smutki,
Bo już mam rozumek krótki
I sklerozę że aż hej,
Więc się śmieje staruszkę, śmieje!
Wesołe jest życie ramola
I sprzyja mu PRL
Gdy słabnie intelekt i wola
Socjalizm osiąga swój cel!
Wszystkim przecież jest przyjemnie
Że tak łatwo wmówić we mnie
Że jest dobrze choć jest źle
Bo już nie kojarzę, nie!
Wygodnie starego piernika
Na fotel prezesa jest wnieść
Choć uwiad mu oczki zamyka
Tak lubi bajdurzyć i pleść!
Kopnął Jana Piotr, atoli
Jan wykrzyknął „Dupa boli!”
Czym popełnił wielki błąd
A ten błąd się bierze stąd
Ból dupy to onomaford,
Jak wszelkie zdarzenie lub stan.
Mniemając że dupa go boli
Strasliwie pobłądził nasz Jan.
Zasady pansomatyizmu
Prowadzą do ateizmu
Bo jeśli byłby Bóg
To czy by pozwolić mógł
Na „Traktat o Dobrej Robocie”
I cały logiczny ten szmelc
Wynikło już z tego sto pociech
Natalia Adamiec i Pelc.

WIELKA ARIA AMORKA

Już w całej kamienicy opinię mam fatalną
I z przerażeniem na mnie patrzy się nocny stróż
Bo tłumy zalotników do bramy nocą walą

„Ach otwórz, otwórz, otwórz”, więc oka ani zmruż.
Gorszą się w kamienicy mniej efektowne panie
I o mej reputacji wciąż rozprawiają źle
Lecz jakie ma znaczenie to ich ujemne zdanie
Przy mojej wielkiej gracji i aparycji mej.
„Amorek, ach Amorek” — wciąż męski woła chór —
„Dosięgnął nas Amorek zatrutą strzałą swą!
Amorek, ach Amorek, tyś jest miłości cud,
Ach pozwól nasze serca u twoich złożyć stóp”.
Opędzić się nie mogę, więc wolną daję drogę,
Cóż zrobić mam na Boga, gdy we mnie taki sex (bis)
Geograf Bazewicz olbrzymie strosząc wąsy
Z ochotą ze mną ruszał w miłości dzikie płasy.
Profesor Tatarkiewicz straszliwy robiąc tik
Nerwowo ściągał spodnie i w mych objęciach nikł
I Kołakowski Leszek lubieżny miał uśmieszek
Bo myślał sobie „Grzeszek popełnić z nią bym rad!”
Katolik nawet Stomma wykrzyknął „Cóż za comma!
Niż raj lepsza sodoma!” i w me objęcia padł.
Matejko i Lizlejko, Moniuszko i Kościuszko,
To wszystko przewalało się przez moje łóżko,
I Nowak i Chodak i coś tu wreszcie dodać
Tak działa sex (bis)
Lecz w całej kamienicy to mówią nie bez racji,
Milczenia przy tym robiąc gest,
„Ach, ona jest nie tylko królową sex-appelu,
Królową konspiracji ona także jest!”
Wieczorem gdy się zmierzcha, lub pod osłoną nocy
Staruszków tajemniczych dwóch do mnie skrada się.
Olbrzymie białe brody na wietrze im łopocą,
A z piersi się dobywa tłumiony cichy gęg.
Cóż ich tak do mnie pędzi? Czy może zdrożna chuć?
Ach nie, to anarchiści co spisek idą knuć!
Obalić pragną reżym a potem państwo znieść
I w swoje białe brody mordercze bomby wpleść.
„Amorek, ach Amorek!” — staruszków gęga dwóch —
„Ach upadłby bez ciebie groźny anarcho-ruch!”
Wychodzę wnet na miasto, szeleści sukni ryps,
Pod suknią zaś szeleści ukryty zmyślnie gryps.
Spotkanie tajne w „Snobie” z Gęgaczy grupą mam,
Lecz depczą mi po piętach agenci cisi dwaj.
Więc poczekajcie chwilę, agentów zaraz zmylę
I wyprowadzę w pole wyborem mylnych tras.
Pojadę do Otwocka, z Otwocka wprost do Płocka,
A z Płocka zaś do Kocka i w Grójcu zmylę ślad!
Czekając drżą Gęgacze, że się przeciąga zbyt,
Lecz potem błogosławią Amorka wielki spryt.
Amorek, ach Amorek, tyś jest natury cud,
Amorek, ach Amorek, ty masz talentów w bród!
W miłości pełna gracji, chytrości — w konspiracji,

We wszystkim równie prędką — czy to fizyczna chętką,
Czy polityczny czyn (bis)

PRZERAŻONEJ ARIA MUMII

W wytrawnej cichej chatce wiodę żywocik mój,
Przyjmując na herbatce upadłych dziewcząt rój.
Gdy zgasił czas urodę, gdy róż policzków zgasł,
To wtedy serca słodycz na miejscu jest w sam raz.
Me życie, które cnoty stanowi teraz wzór
Ogląda co sobota grono Koryntu cór.
Uprawiać dobroczynność to humanizmu szczyt,
Lecz wzniosła ma powinność nuży mnie czasem zbyt.
By się rozerwać nieco, przybyłam do tych sal
Sądząc, że dobroczynny odbędzie się tu bal...
Ach, z przerażeniem widzę, że popełniłam błąd!
Tu knuje się intrygi, tu sarka się na rząd!
Swą pozytywną pracę wystawiam tym na szwank
Wnet wkroczy tu policja, by wrogi ująć gang!
I jak się wytłumaczę, ja oraz drogi Jan?
Podstępni nas Gęgacze wciągnęli w niecny plan.

WIELKA ARIA KANAPOWA STRZELCZYKOWSKIEGO (na mel. „*Oniegin, skrywat' ja nie stanu*")

Na cierpień padam otamanę,
W socjalizm wierzyć nie przestanę.
Choć wszyscy weń zwątpili w krąg,
Ja nie opuszczę jednak rąk!
Grozi nam dehumanizacja,
Gdzie spojrzeć demoralizacja
Nazbyt obfity zbiera plon.
Zamiast wstępować pod sztandary
Niegdyś ofiarna polska młodź
Nie w czwórki łączy się, lecz w pary,
Odczuwa tylko chuć i chuć!
Marksizmu stanę się podporą
Choć wokół wszystkich diabli biorą,
Ja na kanapie będę trwał
I pisał słynne *mémoires*.
Działalność wielką wnet roztoczę,
By konsumpcyjny zwalczyć wzór
Z Czerwińskim M. i z P. Beylinem
Stworzymy bohaterski wzór.
Chociaż zabrakło Gottesmana,

Została jednak otomana,
Więc najsmutniejszą robię z min.
Nie wpadam jednak w zbyt ni spleen
Bo jestem zaangażowany
Na pluszu mojej otomany.
Widzicie ten bolesny gest?
Jam Chrystus socjalizmu jest!
I kiedy Atlantykiem płynę,
Lub spieszę się na plac Pigalle,
To zawsze mam tragiczną minę
I serce me rozsadza żal.
Niech dowie cała się lewica
Jak czuwa PPS-dziewica
W Warszawie, Laskach, Chamonix
Na otomanie wiernie tkwi.
Na cierpień padam otomanę
W socjalizm wierzyć nie przestanę
Chociaż weń zwątpił Krzywy Krąg
Ja nie opuszczę przecież rąk!

ARIA GĘGACZA-TROCKISTY

Białe gnidy na czerwonej szmacie
Chcecie tylko żłopać naszą krew!
Fałszywymi głosami gęgacie,
Stracie w portki gdy Gnom zmarszczy brew!
Do swej tłustej przyssani chałtury
Podnosicie nieustanny wrzask
Że zagraża nam kryzys kultury,
Że dobrobyt jest zgubny dla mas!
Wy szlachetni wolności obrońcy
Gdy wolności zagraża de Gaulle!
W czasie nocy bezsennych cierpiący
Nad wyzyskiem strasznym w Standard Oil!
Alienacji was straszy wilkołak,
Trancendencji przeraża was brak,
Melancholia osmuca wam czoła,
Gdy żegnacie się smętnym „Good luck!”
Lecz choć stale tak bardzo cierpicie,
Swoją pluszową dźwigając wciąż krzyż,
Niezwykle się sprawnie kręcicie
By załatwić wyjazd à Paris!
Wnet się dla was znajdują diety,
Kredytu udziela wam bank,
Zaś w Paryżu za małą swe miny
Też niejedną wyłudzicie frank.
Wy doprawdy nie macie już czoła,
Bo czy wesz może odczuwać wstyd?

Nawet Gnom, co nasz kraj zgnoić zdołał,
Nie dał nigdy zgnoić takich gnid!

ARIA WILHELMINIEGO

A ten skąd się bierze?
Pewnie autor spił się,
Zrobił błąd w operze.
Lecz ja bym nie radził
Sądzić tak pochopnie,
Przecież do kariery
Wiodą różne stopnie!
Podczas okupacji
Było bzdurą czystą
Będąc Wilhelminim
Pogardzić volkslistą!
Ja ten błąd zrobiłem
Pod Gęgaczy wpływem,
Bo Gęgaczem byłem
Trafem nieszczęśliwym...
Naukowe spory
Pod Carnapa godłem
Niepotrzebnie potem
Z samym Grubym wiodłem.
Głowę mi skołował
Głupi wasz Prezydent!
Nic z tego nie miałem
Posad ni dywidend!
Lecz kiedy epoka
Cichych nowa przyszła
Znów się pojawiła
Kochana volkslista.
Za donosem donos
Śmiałym pisząc piórem
Anim się obejrzał
Jak zaszedłem w górę.
Wtem „Wilhelminiego” —
Gnom zakrzyknął — „daj tu,
Bo chcę mu powierzyć
Kulturelle Zeitung”
Ale w cichej szmacie
Cicha siuchta działa,
Cicho mi podsrywa,
Robiąc ze mnie wała.
By się więc podlizać
I zasłużyć KC
Muszę opracować
Donos na Gęgaczy.

A żem empirysta
Jest z usposobienia,
Na ten bal przyszedłem
Robić spostrzeżenia.

II. HYMN CICHYCH (na mel. „*Piechota, ta szara piechota*”)

Nie nosim mundurów, lecz modny nasz strój,
Pagonów ni złota nie nosim
Lecz w cichym szeregu kroczymy na bój
Donosić, donosić, donosić!
Nie mamy już dawnych zakazanych mord
Choć serca wciąż mamy sobacze
Dziś Cichy sprzedaje mundurowy sort
Wygląda więc inaczej, ach inaczej.
W ubranku z cedetu, w koszulce z PKO,
Szeleszcząc wytwornym ortalionem
Wkraczają do kawiarni, na bale, do kło
Ta ciche, te smutne bataliony.
Już huczy muzyka, już toczy się bal
Beztrósko gęgają Gęgacze,
A jutro niewczesny ten skończy się żart,
Niejeden z Gęgaczy zapłacze!
Bo Cisi się wdarli podstępnie w ten dom
I cicho się skryli w gości kupie,
Za chwilę o wszystkim już dowie się Gnom,
Nogami ze złości zatupie.
O świecie Gęgacze usłyszają: puk, puk!
I wsiądą w więzienne karetki,
A Cichych kapitan za cichy swój trud
Otrzyma order i setki.
Nie nosim mundurów lecz modny nasz strój
Szeleszczą wytworne ortaliony
To w cichym szeregu ruszają na bój
Te ciche, te smutne bataliony.

II. ARIA ROTMISTRZA

Aresztuję was, panowie!
Zapach buntu tutaj czuć!
Przewróciło wam się w głowie,
Zaczynacie spiski knuć!
Urządzacie huczne bale,
Bałamucić chcecie młodź —
Czyż nie lepiej robić balet
I w Sztafecie sycić chuć?

Zamiast strzelać wielką gaffę
I narażać się na wstyd,
Czyż nie lepiej w którąś z afer
Ulokować cały spryt?
Na coś pisać głupie listy
I smalone duby pleść
Kiedy żywot chałturzysty
Jakże jest przyjemnie wieść!
Gdyby szarpiąc państwa dochód,
Każdy z was przy żłobie trwał
Miałby teraz i samochód
I etaty dwa w TV.
Zamiast w zwartej chodzić grupie
I dolarków ciuć stós
Przyjdzie smętnie kisnąć w ciupie —
Oto jest frajera los!

ARIA PREZYDENTA GĘGACZY

Nim rozednieję mam tę nadzieję
Wprowadzę w życie ideę swą
Nim się połapię w strasznej pułapie
Będzie się młotał bezsilny Gnom.
Dziś pisać listy to absurd czysty
Gdy Cichy łamie pieczęci lak
O wiele głębsze są me pomysły,
Które wyjawi wam trzeci akt...
Nie ciesz się wcale że w kryminale
Będziesz zamkniętych Gęgaczy mieć
Bo wtedy właśnie rzecz się wyjaśni
Żeś się w mistrzowską zaplątał sieć.
Do kryminału pełna zapału
Niechaj podąża gęgacza brać
Będzie Gnom w szale darł włosy z głowy
Jeżeli jeszcze ma z niej co rwać!

A K T III.

PIEŚŃ GĘGACZY W CELACH

Jakże miło, przyjaciele,
Jest w Gęgaczy siedzieć gronie!
Nawet mroczny loch jaśniej
I weselej łańcuch dzwoni!

Chciał nas żywcem Gnom pochować,
Straszną nam zgotować dolę,
A tymczasem nam na głowach
Zapłonęły aureole!
Nawet gdy masz rozum krótki,
Alboś starym jest piernikiem
Polityki gnomiej skutkiem
Żywym stajesz się pomnikiem!
Dalej bracia, jęczmy śmiało,
Niech nas słyszy Polska cała!
Sami się okryjem chwałą.
Z Gnoma zaś zrobimy wała!

LAMENT WIĘZIONYCH UBEKÓW (na mel. „Chorału”)

Za cóż nas, Gnomie, karzesz więzieniem?
Czyż gęgaliśmy beczelnie, czyż
Przywłaszczyliśmy społeczne mienie
Że dzwigać musim ubecki krzyż?
Przecież to myśmy w znoju i pocie
Kalecząc nogi o wraźną kość,
Naszej ojczyzny wznosili progi,
A dziś okrutny spotkał nas los!
Za cóż tak, panie, karzesz Fejgina —
Wszak w wiernej służbie z bólu aż mdlał!
Spróbuj przez cały dzień kopać nogą
Lub jaja wroga miażdżyć na miał!
Za cóż doświadczasz tak Rożańskiego,
Tysiące nocy wszak zarwał on
Aby wydeptać z wroga podłego
Że bratobójczą podnosił dłoń.
Humanitarnym względem kierowan,
Dlaczego właśnie karać chcesz nas?
Wszak nera twardsza była niż noga,
A pięść wraźną miażdżyła twarz!
Jakże niesłuszną jest twoja kara,
Jak straszny wyrok, co na nas spadł!
Wolno cyniczna chodzi ofiara,
A w celi jęczy niewinny kat.
Jeśliś na ojców mękę nieczuły
Może cię wzruszy sieroty los
Panna Różańska w TV się tuła,
Fejginek z bólu krzywy ma nos!
Bez swoich ojców czułej opieki
Marnieją dziatki, drogi nasz skarb,
Do łask nas przywróć i do bezpieki,
O racz wysłuchać ubeków skarg!

PIOSENKA KAPITANA ŻANDARMERII

Jam kapitan żandarmerii,
W żandarmerii chłopcy dzielni
Chłopcy dzielni że aż ha, ale najdzielniejszy — ja!
Jak dębczaki rosłe chłopcy,
Drżysz gdyś im klasowo obcy!
Wycisk dadzą ci aż ha, lecz największy wycisk — ja!
Pełni krzepy i tężyzny
Biją chłopcy dla ojczyzny
Lecz nim zbiją hejże-ha, biorę w ręce sprawę ja!
Tu przesłucham, tam przebadam,
Kopnę w nerę, bólu zadam
Jęczy agent USA, gdy prowadzę sprawę ja!
Gdy przekroczyć plan wycisku,
Sam minister dłoń mi ściska
Gra muzyka, w oku łza, bo się łatwo wzruszam ja
W dwuszeregu chłopcy karni
Także się należy dar im
Baczność i do nogi broń! A ja ściskam chłopcom dłoń
Robotniczo-chłopskie syny
Potem idą na dziewczyny
Dzielnie jebią chłopcy, ha! lecz największy jebak — ja
Czy pannica, czy gamratka
czy rozwódka, czy mężatka
Błyszczą dziarsko epolety
Oglądają się kobiety
Cóż za piękny żandarm, a! A to właśnie jestem ja!
I tak sobie człowiek rośnie
W socjalizmu cudnej wiośnie
Muszą rosnąć chłopcy, ha! lecz najbardziej muszę ja!

II. ARIA CICHEGO MECENASA

Na Cichych ciche to zlecenie
Przychodzę do was na widzenie
Szczęśliwy mnie sprowadza traf,
Bom wielki spec od cichych spraw.
Choć czas metody przyniósł zmianę
I nery nie są już kopane
Nie trzeszczy już pod butem kość,
Lecz wciąż jest paragrafów dość
By każdy bzdet i każde tchnienie
Określić jako przewinienie
Bo Mały Kodeks Wielkich Kar
Roztacza wciąż upojny czar.
Bezczelny gęg klientów moich
Podstawą zachwiać mógł ustroju

Za winę tę w rejestrze kar
Szukajmy więc najwyższych miar!
Choć kiwa na was już kostucha,
Lecz macie szanse zgnić w łańcuchach
Gdy w skrusze opuściwszy skroń
Ucałujecie Gnoma dłoni
Jest główną linią mej obrony
Nie drażnić gdy jest rozdrażniony
Czym prędzej musisz przyznać się
I wyznać, że robiłeś złe
Im bardziej przejmiesz się swą winą,
Im gęściej z oczu łzy popłyną,
Im srożej swój potępisz błąd,
Tym lepiej usposobisz sąd.
Do skruchy nużę więc Gęgacze!
Od dzisiaj ćwiczcie w celach płacze!
Bo tylko strumień szczerych łez
Odroczy szybki życia kres!

II. ARIA STRZELCZYKOWSKIEGO (na mel. „*Miłość ci
wszystko wybaczy*”)

Partia wam wszystko wybaczy,
Smutek zamieni wam w śmiech
Potępcie list wasz, Gęgacze,
Wyznajcie, że to był grzech
Choć ją przeklniecie w rozpacz
Gdy płynie z ocz skruchy łza,
Partia wam wszystko wybaczy,
Wraz z partią wybaczę wam ja!
A teraz szybko do Chamonix
W Alpy na narty i śnieg
Z Mont Blanc zobaczę co mi
Przyniesie wypadków bieg
Partia wam wszystko wybaczy
tak jak wybaczam wam ja
Żegnajcie biedni Gęgacze,
Śpieszę na pociąg, pa, pa!

ARIA HEROLDA (na mel. „*O, Tannenbaum*”)

Hej bacność, straż, prezentuj broń!
Gnom przybył do więzienia!
Gospodarz nasz ma jasną twarz,
Jest pełen uniesienia.
Nie Moczar to, nie Kliszko to,

Lecz Gnom w swym majestacie
 Jest z nim tak źle, że prawie chce
 Powtórzyć znów Październik!
 Słyszycie? Dźwięczy historii dzwon,
 Godzinę bije wielką!
 Gęgacze wstać! Najwyższy czas
 Znów nabić was w butelkę!

WIELKA ARIA GNOMA (na mel. „Marsz Mierosławskiego”)

Pokój wam niosę i pojednanie,
 Wnet brama więzień otworem stanie
 Bracia Gęgacze, nie czas na dąs!
 Ustrój nasz wielki przeżywa wstrząs,
 Plenią się wokół szaje i gangi
 Rozłamem grozi grupa Katangi
 Demograficzny nadciąga wyż,
 Na starym sporze położmy krzyż!
 W ekonomiczny wpadł kraj korkociąg
 Wszystko wysysa straszny rurociąg
 A czego wessać nie zdoła wschód
 Stanowi w kraju spryciarzy łup.
 Na cóż pogłębiać straszliwy kryzys?
 Bracie Gęgaczu, rozchmurz swą fizys!
 Niechaj nas wspólny połączy cel:
 Obrona żłobu i PRL.
 Gdy po raz pierwszy ustrój się walił,
 Wyście mu przecież poparcie dali.
 Gdy dziś powtarza się stary test
 Powtórzcie znowu szlachetny gest!
 Ja — stary matoł, ty — stary piernik,
 Wspólnie zrobimy nowy październik.
 Za nami ruszy roboczy lud
 I gospodarczy stanie się cud.
 Złączmy się bracia we wspólnym pochodzie
 Z Gnomem na czele! Z Melem na przodzie!
 Cichy z Gęgaczem, z ofiarą kat
 A błogosławi nam Związek Rad!

FINALNA ARIA GĘGACZY (na mel. „Boże, coś Polskę...”)

Gnomie coś Polskę przez tak długie lata
 Wtrącił skutecznie w bez wyjścia kabałę
 Nie myśl, że znowu zrobisz z nas wariata
 Wziąć się nie damy na stare kawały!
 Chociaż skleroza żre mózgowę korę,

Pracuje jeszcze osłabiona głowa.
 W celach ze starczym zaprzem się uporem,
 Będziem blokadę robić Mokotowa!
 A gdy nie będzie wolnych miejsc w więzieniach,
 Bo w każdej celi siedzi tłum Gęgaczy
 Gdzie będziesz sadzał młode pokolenia?
 Wnet policyjny ustrój się zawali!
 Z Golędzinowa skapcanieją chłopcy,
 Pałki z zwiotczącej wypadną im ręki,
 Jakże im bowiem gości brać pod obcas,
 Gdy przepełnione nawet Ostrołęki?
 Cichy pograży się w mrocznej prostacji
 I wkrótce stanie się Cichego cieniem.
 Nikt nie postawi mu nawet kolacji,
 Bo śmiesznie będzie grozić już więzieniem.
 Nawet Gaz-rurka, choć taki witalny,
 Popadnie w chandrę i zwątpi w gaz-rurkę
 I dnia pewnego bankiet pożegnalny
 Wyda w swej willi i odkręci kurek!
 Jeżeli nawet geniusz Salomona
 Z pustego dzbana nie naleje wina,
 Tym bardziej będzie ponad siły Gnoma
 Wsadzać do paki gdy wolnych miejsc nie ma!
 I tak się cały ustrój ten zawali
 Bo prawnej sankcji nawet mu nie stanie.

ORATORIUM „GNOM” (fragmenty (na mel. „*Kiedy ranne...*”)

*Fragment oratorium wykonany przez więźniów
pod batutą naczelnika więzienia*

To nie ranne wstają zorze,
 Jenó wstał gospodarz nasz
 Ponad ziemie, ponad morze,
 Rzuca blaski jasna twarz!
 Uroczysty, promienisty,
 Pewnie nowe ma pomysły,
 Pewnie miał proroczy sen
 Jak podwyżkę zrobić cen.
 Jaki rześki, jaki świeży
 Wstał z pościeli dziś nasz wódz!
 Do KC pręciutko bieży,
 By rządzenia podjąć trud.
 „Prędzej” — klaszcze na Namiota —
 „Bo mi myśl ucieknie złota,
 Sekretarzu, prędzej pisz
 Jak załatwię wyż i niż!”
 I już niskie czoło marszczy,

By do pracy zmusić mózg,
Słysząc odgłos sapki starczej,
Słysząc wody w głowie plusk.
Wtem genialny pomysł błyska:
„To śmiertelność jest zbyt niska,
Ach, od dawna tom już czuł!
Krzywa zgonów idzie w dół!
Kiedy wszystko rośnie wokół —
Ludność, ceny i MO,
Musi wzbudzać to niepokój,
Że wciąż skarbca widać dno.
Teraz rzecz się prosta staje.
Że zbyt wolno wymierają,
Teraz mamy jasny cel:
Więcej zgonów w PRL!
Hej, staruszkule emerycie!
Zbyt wesoły jest twój los.
Musisz sobie skrócić życie,
By ogólny podnieść wzrost.
PRL jest młodym krajem
Starość państwu nic nie daje
Ciebie nic nie czeka już,
Więc czym prędzej kładź się wzdłuż!
A gdy znikną źli renciści —
— Sekretarzu, prędzej pisz —
To przedpole się oczyści,
A my nasz wpuścimy wyż.
Gdy wydajność jest do kitu
Wiek obniżę emerytów —
Mniejszy będzie płacy koszt,
Za to jaki zgonów wzrost!
Ale to jest, sekretarzu,
Mego pisma tylko pół,
Bo zapewnić nieboszczykom
Teraz trzeba minimum.
Gdy wśród żywych cię nie starnie
W grobie dam ci wyrównanie
Lecz że dziś jest drogi grób
Więc na raty wpierw go kup!
Zapamiętaj to, młodzieży,
Że choć dziś ze śmierci kpisz,
Wkrótce możesz w ziemi leżeć,
Więc się do spółdzielni wpisz.
Na Powązkach i na Bródnie
Jest o miejsce coraz trudniej
Chcesz pochować swoje ciało
Składaj forszę na PKO.
Lecz się na tym nie urywa,
Sekretarzu, wielki plan:
Gdy wystrzeli zgonów krzywa,

Gdzie pochować tyle ciał?
Liczyć z tym na kwaterunek
Kiepski byłby to rachunek
Choć byś zmniejszył normę stóp,
Ciężko będzie wciąż o grób
Lecz i na to ja mam radę
Bom gospodarz wielki przecie
I od dziś budować każę
Krematorium Tysiąclecia!
Choć byś wielkie spalił ciało,
Miejsca zajmie bardzo mało
Sekretarzu, szkoda słów,
Jam najtęższa z polskich głów!"
I uśmiechnął się jak słońce
Dobroczyńca nasz i wódz,
On co troszczy się bez końca
Jak urządzić polski lud.
Wreszcie znalazł rozwiązanie:
Mądre, trafne oraz tanie
Choć nie będzie raju w kraju,
Wkrótce wszyscy będziem w raju!

BALLADA O CUDZIE NA WOLI

Gdy wszystko czerwona zatarła nam pleśń
I w sklepach zabrakło już soli,
Po mieście cudowna rozeszła się wieść:
Kiełbasę sprzedają na Woli!
Słuchajcie, słuchajcie co powiem ja wam
Są cuda w epoce Ochaba,
Na Woli z kiełbasą znajduje się kram,
Zwyczajna sprzeda ją baba.
Już kroczy na Wolę olbrzymi tłum bab
I patrzcie, ach patrzcie! W oddali
Za miłym kościółkiem — Sowiński tam padł —
Straganu majaczy się zarys.
Ach skończy się nędza! Ostatni dziś raz
W kołysce dziateczki zakwilą.
Gdy jutro poranny obudzi się brzask,
Kiełbaski dostaną pół kilo!
A baba wciąż waży kiełbasę i wciąż
„Kupujcie bo tanio!" tak woła.
A może to wcale nie baba lecz mąż,
Lecz mąż opatrności to zgoła?
Ach, niech was nie myli wydatny ten biust,
Ni kształty obfite podwiki,
Bo oto spod wiejskich zawojów i chust

Znajome błyskają wąsiki!
To on jest! On żyje? Nie zabił go Gnom!
I właśnie przybywa z Tirany
Nasz ojciec kochany, nasz zbawca! Nasz wódz!
Dla zmyłki za babę przebrany.
Lecz oto wódz wstaje, już ręką dał znak,
Że usty przemówi złotymi
I w ciszy cudowny rozlega się głos:
„Źle dzieje na polskiej się ziemi!
Do władzy zdradziecki dziś dorwał się Gnom
Wróg ludu i sługus kułaków
Ostatnią złotówkę wyciska z was on
I czyni z was zgraję żebraków.
Cóż z ludu zostało zdobyczy i praw
Krom nędzy, krom trosk, krom katuszy,
A Gnom dzisiaj pyszny i próżny jak paw
W szampanie się kąpie po uszy.
W niełasce dziś Berman, w niełasce dziś Minc,
A Mijał podstępnie wygnany.
Reakcja się śmieje cichaczem he, he!
I dźwięczą Sicińskich kajdany.
O ludu roboczy, by dodać ci sił
W tej walce nierównej, z Tirany
Najświeższej broszury przywiozłem pięć ton
Zaszytej we flak kiełbasiany.
Odpowiedź dlaczego zdradziecki jest Gnom
I źle robotniczej jest klasie,
A także uchwały KC KPP
Zawarte są w każdej kiełbasie.
W ten sposób pod okiem policji i władz
Prawdziwy socjalizm się szerzy
Ja daję wam program, uchwały i plan,
A wy mi złotówki w ofierze.
Lecz pora się rozstać, bo zapiął już kur
Niech żyje socjalizm i Stalin!
Z pieniędzmi z utargu ogromny wziął wór
I zniknął bohater w oddali.

PIOSENKA IRENY DZIEDZIC (z aktu II.)

Jaki śmieszny jest Gnom,
Jaki mały jest Gnom,
Jaki jest ten nasz Gnom maciupeńki.
Chociaż buzię ma złą
Lecz pozory to są
On po prostu jak ptaszek je z ręki.
I pomyśleć że był czas
Że taki ktoś mógł przerażać nas

Ach, to po prostu nie do wiary!
Jaki śmieszny jest Gnom
Kiedy buzię ma złą
I z wściekłości aż tupie nóżkami!
Kiedy krzyczy „To gwałt!
Na cóż wam tyle aut?”
I porządek chce robić z gangami.
I pomyśleć był czas,
Gdy taki ktoś mógł przerażać nas
Ach, to po prostu nieporozumienie!
Jaki stary jest Gnom,
Jak rączyny mu drżą,
Gdy nas starczym zanudza bredzeniem.
On mnie wzrusza do łez,
Ach, nie mówcie jak jest,
Niechaj żyje staruszek złudzeniem.
I pomyśleć że był czas
Gdy taki ktoś był przywódcą mas
Ten naród jest potwornie głupi
Czy w ogóle jest Gnom?
Czy pozory to są,
Czy to nie jest po prostu nasz wymysł?
Wydmeń wargi i: Dmucha!
Rozwiął się niby duch
Tylko siebie dokoła widzimy.
I pomyśleć że taki długi czas
Za rzeczywistość brał go każdy z nas!
Potężna jest sugestii siła!
Gnom się rozwiął jak dym,
Do cholery więc z nim!
Niechaj szampan zaszumi nam w głowie!
Niech wesoły grzmi gwar
Niechaj rusza rząd par

Poloneza czas zacząć, Panowie!

PIEŚŃ CZERWONYCH (z aktu II.)

Do jasnej cholery
My chcemy opery!
Operę, operę nam daj!
Niech dzwonią ordery,
Niech pędzą humbery
Czerwony niech złoci się raj!
Niech skończą się głędy,
Już renty, procenty
O dupę czas potłuc i kwita

Socjalizm w sam raz dla ciemnych jest mas
A dla nas rycerska jest kita!
Niech boją się chamy
Na chamów my sramy
Cham jesteś bydlaku, to cierp!
Ten kraj jest dla szlachty
Co z Tuły i Krachty
Na tankach przywiozła swój herb.
Zabawą wesołą utwórzmy więc koło
I Gnoma otoczmy pierścieniem
Hej, nasza różyczko z mizerną twarzyczką
Czas skończyć z tym wiecznym bredzeniem.
Niech zaczną się bale
Niech jarzą się sale
Muzyka, muzyka niech brzmi!
Zostanie wszak po nas pustynia czerwona,
Lecz dzisiaj, panowie — to my!

LAMENT WYSOKIEGO DYGNITARZA

W sekrecie, towarzyszu, powiem wam:
Nie bawią mnie idee już ogromne!
W szwajcarskim banku małe konto mam
Że o londyńskim nawet już nie wspomnę.
Mieszkanko nieźle mam w Alei Róż
Na Szucha zaś rozkoszną garsonierę,
Przed oknem luksusowy stoi wóz
I wrastam już powoli w lepszą sferę.
Małżonka, z domu Blikle, damy wzór,
Kobieta piękna i niepospolita.
Co czwartek literacki u nas żur,
Na którym sama zbiera się elita.
W Oxfordzie kształci się mój starszy syn,
A młodszy jeździ konno i poluje.
Radziwiłł Krzysztof bywa w domu mym
I z lekka żonę moją emabluje.
I nagle — proszę was — on robi wrzask,
Że ktoś do kogoś listy pisze!
A cóż ja z tym wspólnego mogę mieć?
Ja o tym wcale nie chcę słyszeć!
Przez ośli upór towarzysza G
W kabałę niebywałą wpadam!
Spotykam Leszka, wołam „Leszku cześć!”
A on mi, proszę was, nie odpowiada!
I w jakim — proszę was — powiedzcie mi —
I w jakim mnie on postawił położeniu!
Mnie co do Kotta mówię „Mon cheri”
A ze Słonińskim jestem po imieniu!

Że sam nie bywa, żonę klempę ma,
Że nikt nie pragnie znać go z lepszej sfery
Ze złości na margines też nas pcha,
Chce nas wyeliminować, do cholery!
Ja służę partii już 20 lat
I różnie, towarzyszu, tam bywało.
Tu człek zarządzał, ówdzie troszkę kradł
I nawet w nery się kopało!
Lecz dziś — powiedzcie sami — kiedy ślad
Tych czasów już zaciera się w pamięci,
Człek z każdym w zgodzie żyć by rad,
A on nam znowu zachachmęcił!
Ach, po cóż robić taki wrzask i szum
Jak byśmy byli zagrożeni?
A cóż mi zrobi literatów tłum
Kiedy ja nagan mam w kieszeni?
Rozumiem, że gdy któraś z łap
Niepowołanych sięga do koryta,
To trzeba po tej łapie: Trach!
Koryto dla nas jest i kwita!
Lecz kiedy wszystkich trzyma się za pysk,
Gdy się jak było naród doi
To ja się pytam: Jakiż on ma zysk
Że poobraża gości moich?

WIELKA ARIA GNOMA (z aktu III.)

Już z Rzymu popłynął zdradziecki ten głos,
Chcą klechy zgotować straszliwy nam los.
Lecz ja, lecz ja czuwam na straży
I zaraz wam winnych pokażę.
To nie jest orędzie ni zgody to gest,
Lecz nóż wbity w plecy po prostu to jest.
A kto, a kto maczał w tym palce?
Adenauera to są słuźalce!
Profesor Halecki, ten socjalizmu wróg
On Związek Radziecki by sprzedał gdyby mógł.
Lecz że, lecz że tego nie może
Granice chce sprzedać na Odrze.
A ja się zapytam: Jakiż jest tego cel —
Obrona religii, czy zguba PRL?
Ja nie, ja nie, ja nie przebaczę!
Kiedy to są podłe judasze!
Przywilej niejeden dał im PRL
O trzy koma siedem po wojnie wrósł kler
Lecz zamiast być wdzięczni nam za to
Podburzać przeciw nam chcą NATO.
Kardynał się myli, że za nim jest lud,

Na szczęście się myli i Cichych jest w bród
Ja nie, ja nie, ja nie przebaczę
Pałami ich zaraz uraczę
A obraz cudowny co wzburzać miał lud
Plandeka przykryje i skończy się cud.
Bo ja, bo ja mam władzę
I z każdym wnet sobie poradzę.

nowość !

**ZOFIA
ROMANOWICZOWA
ŁAGODNE OKO BŁĘKITU
POWIEŚĆ**

CENA : We Francji Frs. 10.00

W Anglii Sh. 18/-

W U.S.A i innych krajach \$. 2.00

**Książka do nabycia we wszystkich
polskich księgarniach lub u Wydawcy :**



LIBELLA

12, RUE SAINT-LOUIS-EN-L'ÎLE · PARIS IV

Bielmo na oku

Niedawno dotarł do moich rąk okazały siedmusetstronicowy tom pod tytułem „Literatura ukraińska. Wypisy”. Wyboru dokonał, wstępami i komentarzem opatrzył Marian Jakóbiec. Objasnienia językowe sporządziła Tatiana Hołyńska-Baranowa. Warszawa, 1963. Państwowe Wydawnictwo Naukowe.

Tekst książki jest dwujęzyczny: utwory poetyckie i proza w ukraińskim oryginale, komentarze w języku polskim. Całość podzielona jest na sześć części: poezja ludowa; literatura staroruska okresu kijowskiego; literatura ukraińska wieków XIV-XVIII; literatura od końca XVIII wieku do roku 1861; literatura lat 1861-1917 i wreszcie „radziecka” literatura ukraińska. Dwudziestu siedmiu pisarzy, przeszło sto trzydzieści utworów.

W krótkim słowie od autorów czytamy, że

„książka niniejsza ma spełnić dwa zadania: udostępnić polskiemu czytelnikowi wybrane teksty literatury ukraińskiej w oryginale oraz poprzez wstępy i komentarze w języku polskim wprowadzić w najelementarniejsze zagadnienia historii tej literatury. Przy doborze tekstów wzięto pod uwagę zarówno ich obiektywne wartości ideowo-artystyczne, jak też stopień popularności wśród szerokich rzesz społeczeństwa ukraińskiego”.

A nieco dalej:

„Książka przeznaczona jest dla studentów filologii słowiańskiej i innych kierunków filologicznych uniwersytetu, jak też dla szerszych kół czytelnich interesujących się literaturą ukraińską”.

Niestety, po dokładnym przejrzeniu wyboru i uważnym przewertowaniu komentarzy muszę stwierdzić, że okazały tom swego zadania nie spełni, przeciwnie — zdezorientuje czytelnika, pokazując mu literaturę ukraińską w postaci mocno zredukowanej i zniekształconej. Dotyczy to przede wszystkim wieku XX, ale nie tylko. Najwidoczniej, zadecydowały owe „obiektywne wartości ideowo-artystyczne”, czyli sprawdziany polityczne obowiązujące w Związku Sowieckim.

Nie mam, oczywiście, najmniejszego pojęcia, w jakim stopniu odpowiedzialność za wybór i komentarze spada na samego Mariana Jakóbca, a w jakim na uwiecznioną na odwrocie strony tytułowej redaktorkę Annę Osieniecką. Najprawdopodobniej działano tu kolegiąlnie i praca przed zatwierdzeniem jej do druku musiała przejść przez niejedno sito. Tak czy owak teksty zostały dobrane i skomentowane według najgorszych wzorów „radzieckich”.

Interpretacja historii narodu ukraińskiego, stanowiącej tło dziejów piśmiennictwa, jest ściśle taka, jaka obowiązuje w sowieckiej historiografii oficjalnej. By nie rozwódzić się nad tym dłużej, ograniczę się do zacytowania paru zdań otwierających komentarz do ostatniej i najbardziej skandalicznej części „Radziecka literatura ukraińska”.

„Rewolucja październikowa — pisze Jakóbiec — umożliwiła narodowi ukraińskiemu realizację najszczytniejszych marzeń pokoleń: zdobycie wolności narodowej i społecznej. Po wiekach zmagania naród ten mógł wreszcie w sposób nieskrępowany przystąpić do rozbudowy własnej narodowej kultury. Dzień 25 grudnia 1917, w którym obradujący w Charkowie pierwszy ogólnoukraiński zjazd rad ogłosił powstanie Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, był równocześnie początkiem nowej epoki w dziejach ukraińskiej literatury” (str. 573).

Że był początkiem nowej epoki, trwającej po dziś dzień, to prawda. Tylko że ta nowa epoka zamiast wolności narodowej i społecznej przyniosła najstraszliwszą niewolę i ucisk kulturalny.

Autor wypisów stosuje systematycznie metodę całkowitego lub w najlepszym razie częściowego przemilczania. Wielu autorów, których nie powinno zabraknąć w żadnej antologii, w ogóle nie ma, a niektórzy nie są nawet wspomniani z imienia. I z reguły chodzi o sprawdziany nie artystyczne, lecz polityczne.

Tak na przykład, w czwartym dziale stwierdzamy ze zdumieniem nieobecność Pantelejmona Kulisza, postaci kluczowej dla literatury ukraińskiej XIX wieku. W wypisach go nie ma, natomiast zjawia się na jedną chwilę w komentarzu do okresu między końcem XVIII stulecia i śmiercią Tarasa Szewczenki. Mówiąc nawiasem, Kulisz młodszy od Szewczenki o pięć lat, przeżył go o trzydzieści sześć i swoją twórczością wyszedł daleko poza wspomniany okres.

„Kulisz — notuje Jakóbiec w komentarzu — należy do najpłodniejszych ukraińskich pisarzy. Przez długi czas uchodził za bezpośredniego następcę i dziedzica lutni Szewczenki, przejął jego styl i system wierszowy. Pracował też w dziedzinie etnografii, historii, publicystyki i krytyki. Zagubiony w zawikłanych stosunkach społecznych i politycznych swego kraju, przerzucił się z jednej skrajności w drugą i najczęściej marnował swój nieprzeciętny talent w polemikach. Reakcyjne i nacjonalistyczne tendencje w jego twórczości ujawniły się nieco później, zwłaszcza w poemacie *Ukraina* i w głośnej powieści *Czarna Rada*.

Wszystko to nie przeszkadza Jakóbcowi twierdzić, że Pantelej-

mon Kulisz należał do obozu, który „stronił od życia i ciążył ku mistyce”. Publicysta polityczny i historyk, który w przeszłości zawsze szukał dydaktycznych analogii z współczesnością, oskarżony, że „stronił od życia”! A cóż to za dialektyka i z jakiego piekła rodem?! Wymowny przyczynek stanowi opinia o powieści Kulisza „Czarna Rada”, określona jako „reakcyjna i nacjonalistyczna”. Kulisz uznał umowę perejaśławską i jej konsekwencje, to jest związanie się z Rosją, za historyczne nieszczęście Ukrainy, i to wystarczyło, by go potępić jako reakcyjnego nacjonalistę. I za karę nie umieszczono go w wypisach.

Taras Szewczenko, którego pominąć było niesposób, zapatrywał się na Perejaśław identycznie, co więcej, ustosunkował się zdecydowanie negatywnie do Bohdana Chmielnickiego, głównego autora ugody z Moskwą. Odpowiednie utwory autora „Kobzarza” zostały z wypisów starannie wyeliminowane, by nie dopuścić się obrazy „starszego brata”. A w ogóle wybór poezji Szewczenki jest niedobry. Nacisk został położony na wiersze i poematy najbardziej tkwiące w ludności, brakuje najpiękniejszych liryków i utworów religijnych, między innymi wspaniałych parafraz biblijnych psalmów. Pewnie, skoro uznało się Szewczenkę przede wszystkim za poetę rewolucyjno-postępowego, jak tu było podkreślać jego „reakcyjną” religijność!

Akcentów antyrosyjskich (nie tylko antycarskich) nie udało się uniknąć całkowicie, bo też byłoby to niemożliwością, ale uczyniono wszystko, by ich ostrze stępić jak najbardziej. Nie tylko u Szewczenki. W następnym, piątym dziale ten sam los spotkał Iwana Franko i Łesię Ukrainkę. Strony poświęcone utworom Franki zagwożdżono społecznikowską prozą, a na przykład arcydzieło pisarza, poemat „Mojżesz”, został pominięty. O wierszach antyrosyjskich szkoda w ogóle mówić!

Z bogatej twórczości dramatycznej Łesi Ukrainki zamieszczono w wypisach fragmenty z „Leśnej pieśni” i „W katakumbach”. Natomiast dramat bodaj najciekawszy, „Bojarzyni”, nie został nawet wymieniony. I nie bez kozery, gdyż w formie pozbawionej wszelkiej publicystycznej łatwizny, autorka postawiła historyczny problem Ukraina-Moskwa w sposób najzupełniej sprzeczny z tradycją perejaśławską: „Wolimy pod cara moskiewskiego!...”

Na domiar wszystkiego Jakóbiec w komentarzu robi z Ukrainki marksistkę, choć w rzeczywistości była pozytywistką, grubo podwatowaną swoistym romantyzmem, kimś w rodzaju naszej Konopnickiej.

Im dalej w las, tym więcej drzew. Tu — im dalej, tym gorzej. W ostatnim dziale, zatytułowanym „Radziecka Literatura Ukraińska”, dzieją się już same cudeńka. Wspomniany jest „głośny pisarz” Wołodymyr Wynnyczenko, dowiadujemy się, że „wybitną rolę w rozwoju ówczesnej ukraińskiej prozy odegrał Mykoła Chwyłowy”, w przelocie pada nazwisko Jurija Janowskiego, ale w wypisach ich nie ma. W wypisach prozę „radziecką” reprezentują Hołowko, Rybak, Kozłaniuk, Honczar... Naprawdę wybit-

nych pisarzy jedynie wymienia się, i to przeważnie półgębkiem, zaś pod tekstami mającymi dać czytelnikom pojęcie o ukraińskiej prozie współczesnej, widnieją nazwiska soc-realistycznych grafo-manów i pół-grafo-manów.

Gdy Jakóbiec przechodzi do omówienia ukraińskiego teatru po roku 1920, ma tylko tyle do powiedzenia, że przez dłuższy czas ograniczał się on do mieszczańskiej komedii i melodramatu. „Nowe elementy — informuje — wprowadził do tej dramaturgii dopiero Ołeksander Kornijczuk. Pierwsze jego sztuki zaczęły się ukazywać na scenach w roku 1928”. Po czym jako drugiego godnego uwagi dramaturga wymienił Iwana Kocerhę. Dwaj oficjalni piewcy sowieckiej „ojczyzny”, dwaj przysięgli grafo-mani.

A właśnie w tymże roku 1928 objawił się dramaturg prawdziwie wielkiej miary w osobie Mykoły Kulisza. Gdy jego „Patetyczna sonata” ukazała się w rosyjskim przekładzie na scenie teatru Tairowa, krytyka moskiewska jednogłośnie uznała Kulisza za najwybitniejszego dramatopisarza w Związku Sowieckim. Ale już zbliżał się okres terrorystycznej rozprawy z kulturą ukraińską i wszystkie utwory Kulisza z wymienioną „Patetyczną sonatą”, znakomitym „Ludowym Małachijem” i „Miną Mazajło” na czele, znalazły się na indeksie. Sam Kulisz zginął przy końcu lat trzydziestych w którymś z północnych obozów koncentracyjnych.

Sztuki Kulisza wystawiane były przez awangardowy teatr „Berezil”, prowadzony przez genialnego reżysera i reformatora, Łesia Kurbasa, który nie tylko wyprowadził ukraińską sztukę teatralną z etnografizmu, ale z miejsca postawił ją na najwyższym europejskim poziomie. Była to prawdziwa rewolucja bez precedensów. Rosyjscy znawcy uznali niektóre inscenizacje Kurbasa, np. „Króla Edypa” i „Makbeta” za niewątpliwe arcydzieła. Kurbas także zginął w obozie koncentracyjnym, mniej więcej w tym samym czasie, co Mykoła Kulisz; „Berezil” został zlikwidowany znacznie wcześniej.

Otóż ani o Kuliszu ani o Kurbasie nie ma w komentarzu Jakóbca żadnej wzmianki. Po prostu nigdy nie istnieli. Nie istniał jeden z największych fenomenów w życiu kulturalnym Ukrainy przy końcu lat dwudziestych i na początku trzydziestych. Natomiast istniał, pożałuj, Boże, Kocerha, istniał Kornijczuk. Nie wyobrażamy sobie, żeby Jakóbiec nic nie wiedział o Kuliszu i „Berezilu”. Ale przemilczał, musiał przemilczeć z dobrze wiadomych powodów.

A więc tak: w dziale prozy nie ma Wynnyczenki, Janowskiego, Chwyłowego, Ostapa Wyszni, Pidmohylnego, Kosynki, Sienczenki, Antonienki-Dawydowicza... Nie ma najlepszych, decydujących o poziomie prozy ukraińskiej w owym okresie. W dziale dramatu nie ma Kulisza i Kostia Burewija, znowu najwybitniejszych, a właściwie jedynych, naprawdę liczących się. A co z poezją?

Jakóbiec zamieścił utwory pięciu poetów: Tyczyni, Rylskiego, Sosiury, Bażana i Małuszki. Oficjalnie ustalonej hierarchii stało się zadość. Ci, którzy swego czasu uznani zostali za „nacjonalis-

tycznych reakcjonistów", świecą nieobecnością. Jakóbiec wymienia ich w komentarzu lakonicznie i ostrożnie, nie precyzując co się z nimi stało. Czytelnik tych wypisów nie dowiaduje się, że Zierow, Fytypowycz, Draj-Chmara, Sawczenko, Zahuł, Slisarenko, Szkurupij, Bobynskij, Johansen, Woronyj, Płużnyk i inni zginęli w obozach koncentracyjnych, że Chwyłowij popełnił samobójstwo, że Falkiwszkyj, Włyśko, Kosynka, Burewij zostali rozstrzelani. Jakóbiec nieśmiało wspomina, że „w wyniku fałszywych oskarżeń wielu utalentowanych i szczerze oddanych socjalizmowi pisarzy pozbawiono możliwości pracy, wolności lub życia”, ale nazwisk tych, których życia pozbawiono, nie wymienia. Lista byłaby zbyt długa.

Ale i tę piątkę poetów, którzy dostąpili zaszczytu wprowadzenia do wypisów, potraktowano w sposób fałszujący ich oblicze artystyczne. Dotyczy to przede wszystkim Tyczyny i Ryłskiego. Pawło Tyczyna wdarł się do literatury ukraińskiej rewelacyjnym zbiorem „Słoneczne klarnety”. Było to autentyczne objawienie: ludowość, ale nie etnograficzna, muzyczność, ale nic z łatwej śpiewności, czuły liryzm, ale podmyty potężnym nurtem tragicznych wydarzeń. A Jakóbiec w swoim komentarzu coś tam gaworzy, jakoby „Słoneczne klarnety” tkwiły całkowicie w atmosferze symbolizmu, i dodaje ni w pięć ni w dziewięć, że „znaczny wpływ na obrazowość i język jego poezji wywierała Łesia Ukrainka”, co jest oczywistym nonsensem.

Tyczynę w pewnej chwili zaproszono do GPU i zaproponowano mu przestawienie się na tory „społecznego zamówienia”. Ponieważ nie miał najmniejszej chęci do wyprawy „na białe niedźwiedzie”, przyjął propozycję. Jednocześnie skończył się poeta i zaczęła się administracyjno-partyjna kariera ex-poety. Jakóbiec zamieścił w wypisach czternaście wierszy Tyczyny. Bardzo zabawnie wypadł ten wybór. Z okresu szczytowego rozwoju poetyckiego — „Słoneczne klarnety”, „Złoty rozgardiasz”, „Pług”, „Zamiast sonetów i oktaw” — Jakóbiec wybrał wiersze najsłabsze, uzupełnił grafomanią „produkcyjną” okresu całkowitego upadku i zaprezentował polskim czytelnikom: — Oto „wielki poeta ukraiński”...

Niewiele lepiej obszedł się Jakóbiec z Maksymem Ryłskim.

„Na początku lat trzydziestych — oświadcza — nastąpił przełom w twórczości poetyckiej Ryłskiego. Zerwał wówczas z postawą chłodnego obserwatora życia, stał się pisarzem programowym, starając się nie tylko dać wyraz przemianom zachodzącym w kraju, ale też być tych przemian współuczestnikiem. Zachowując i doskonaląc swój dawny język poetycki i styl, związał się z literaturą realizmu socjalistycznego”.

Ach, jak to pięknie brzmi — to „związanie się z literaturą realizmu socjalistycznego”! Jakóbiec nie powiedział tylko jednej drobnej rzeczy. Mianowicie, że Ryłskij stał się soc-realistą po kilkudniowym pobycie w kijowskim GPU, gdzie mu przypomniano, co się stało z jego przyjaciółmi z tej samej kijowskiej grupy „neoklasyków” — Zerowym, Fytypowyczem, Draj-Chmarą.

Tyczyna skończył się po kilku zaledwie latach, Rylskij wytrzymał nieco dłużej, młodszy od nich Mykoła Bażan załamał się pod terrorem w szczytowym momencie swej kapitalnej twórczości poetyckiej. Jakóbiec obszedł się z Bażanem może najbardziej okrutnie. Z jego najlepszych utworów zamieścił w wypisach tylko jeden, a prawie całą resztę poświęcił wierszom napisanym już po żalosnej kapitulacji poety. I niech polskiego czytelnika tej książki nie zwiedzie kilka fragmentów z cyklu „Mikiewicz w Odessie”. Są tam niezłe zwroty, nawet całe strofy, przypominające dawnego, młodego Bażana, ale to już nie jest dynamiczna poezja lat dwudziestych, zapowiadająca świetne odrodzenie ukraińskiego baroku w nowoczesnym, dwudziestowiecznym ujęciu.

Doprawdy, to bardzo przykro napisać: w wydanej w Polsce antologii zmaltretowano Tyczynę, Rylskiego, Bażana... Czy musiał ich Jakóbiec maltretować aż tak bezlitośnie? Chyba wykazał zbyt wielką gorliwość. Chyba mógł wprowadzić do wypisów więcej autentycznej poezji, a mniej soc-realistycznej grafomanii. Nie jestem pewny, czy mam prawo wypowiadać się tak kategorycznie. Może to nie jego własna inicjatywa, może mu narzucano, zmuszono — trudno mi przesądzać. Ograniczam się do stwierdzenia, że wymienionych trzech poetów ukraińskich w wypisach sponiewierano, ukazując ich twórczość, z pewnymi wyjątkami, w najgorszym świetle, a jednocześnie informując o nich fałszywie w komentarzach.

Krótko mówiąc: ktoś, kto by po raz pierwszy poznał współczesną poezję ukraińską z omawianych wypisów, powziąłby opinię, z gruntu nieprawdziwą, że jest ona na bardzo niskim poziomie, niezależnie od kilku dobrych wierszy. I trudno oprzeć się wrażeniu, że wynikało to z ogólnie powziętego planu, że ma tu pełne zastosowanie znane rosyjskie powiedzenie: *Чтo i трибoвaлoс' dаkаzаt'* — co właśnie należało udowodnić.

Pisarzy ukraińskich tworzących na Zachodzie, czy to na terenie Rzeczypospolitej Polskiej czy na emigracji, w wypisach nie ma w ogóle, poza dwoma czy trzema króciutkimi wzmiankami. A więc na stronie 576 Jakóbiec notuje:

„W latach dwudziestych zaznaczyło się także duże ożywienie ruchu literackiego na ziemiach Zachodniej Ukrainy i na emigracji. Spośród poetów nie związanych z ideologią socjalizmu wymienić tu należy Jurija Łypę i Jewhena Małaniuka (ur. 1897), autora licznych zbiorów liryk i poematów, znanych i tłumaczonych przed wojną w Polsce”.

Nieco dalej:

„Najwybitniejszym powieściopisarzem ukraińskim, przebywającym poza granicami Związku Radzieckiego, nie związanym z ideologią socjalizmu, był wówczas Bohdan Łepkyj, profesor historii literatury ukraińskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim, autor tetralogii pt. „Mazepa” („Motria”, „Nie zabił”, „Baturyn”, „Połtawa”).

Zabawne jest to stałe podkreślanie: „Nie związany z ideologią socjalizmu...”. Pewnie, że nie związany. I nie zakneblowany. A czy nie lepiej byłoby napisać wyraźnie, że wymienieni pisarze to jawni i zdecydowani wrogowie komunizmu i Rosji?

Na stronie 578 jeszcze jedna lakoniczna wzmianka: „W literaturze ukraińskiej poza granicami ZSRR czołowe miejsce zajął wówczas Ułas Samczuk, autor wielkiej, tłumaczonej też częściowo na język polski powieści 'Wołyń' (1932-1937)”. To wszystko. Razem cztery nazwiska, choć należałoby wymienić co najmniej kilkanaście.

O literaturze emigracyjnej po roku 1945 już ani słowa — temat byłby zbyt niebezpieczny. Z identycznych powodów w „ludowej” Polsce nie wolno pisać o emigrantach, a jeśli, to fragmentarycznie i półgębkiem, albo w tonie oszczerzym.

Szczytów mimowolnej bzdury dosięga Jakóbiec, gdy odważa się pisać o roku 1939.

„We wrześniu... gdy hitlerowskie Niemcy zawładnęły Polską, ziemie zachodnioukraińskie zostały zajęte przez Armię Radziecką i połączyły się z Ukrainą Radziecką. Zjednoczenie wszystkich terytoriów zamieszkałych przez ludność ukraińską miało wielkie znaczenie dla rozwoju ukraińskiej kultury i literatury”.

To wielkie znaczenie polegało na tym, że wszyscy pisarze ukraińscy, jak który mógł, puciekali ze Lwowa przed „wyzwoleńczą Armią Radziecką”. Oczywiście, z wyjątkiem garści komunistycznych grafomanów — bo byli i tacy — jak wymienieni przez Jakóbca Tudor, Hawryluk, Hałan *et consortes*. Ci którzy uciec nie zdołali, poszli do Zamarstynowa, a następnie pojechali zwiedzać okolice podbiegunowe.

A oto dla kompletu kilka zdań, dotyczących strasznych lat przymusowej kolektywizacji, masowego głodu i eksterminacji większości ukraińskich twórców i działaczy kulturalnych:

„Wszystko, co było w kraju silne i zdrowe, stanęło we wspólnym froncie pracy. Do współudziału w realizacji zadań pięciolatek zostali również powołani pisarze, artyści, działacze kultury. Heroika tej pracy znalazła wyraz również w ówczesnej ukraińskiej poezji, prozie i dramaturgii. Niestety, proces nacisku administracyjnego na działaczy kultury, który przejawiał się zwłaszcza pod koniec lat trzydziestych, spowodował obniżenie wartości radzieckiej literatury ukraińskiej”.

Śliczne! Zwłaszcza ten eufemizm „nacisk administracyjny” na określenie rozstrzeliwań i łagrów wzbudza podziw dla delikatności autora.

Równie pięknie wypadł opis pierwszych lat po drugiej wojnie światowej.

„Zdawało się — melancholijnie grucha Jakóbiec — że po zwycięstwie literatura ukraińska podniesie się na niebywałe dotąd wyżyny. Sprzyjały temu nastroje mas, ogólnie uniesienie patriotyczne, zapał w odbudowie kra-

ju, odzycie wielkich tradycji narodowej ukraińskiej historii i kultury. Niestety, hamulec w rozwoju tej literatury okazały się odgórne dyrektywy z lat 1946-48, dotyczące rzekomych przejawów nacjonalizmu lub kosmopolityzmu w niektórych utworach artystycznych, w pracach krytycznych i historyczno-literackich na Ukrainie... Świadectwem dojrzałości i siły pisarzy ukraińskich było to, że mimo tych przeszkód zdolali napisać i ogłosić utwory, które zdobyły sobie zasłużoną sławę również poza granicami Ukrainy”.

Po czym wymienia kilka pozycji, przeważnie wręcz żałosnych w swej bezradności artystycznej. To ma być świadectwo dojrzałości i siły! Doprawdy, nie wiadomo kto tu kpi, a kto o drogę pyta.

W całej książce, niezależnie od epoki, Jakóbiec położył nacisk na elementy ludowe, etnograficzne (hajdawery i haftowana koszula), znowu w zgodzie z oficjalną tendencją sowiecką, redukując do minimum nastawienie okcydentalizacyjne. *Ad fontes!* — wołał niegdyś Mykoła Zerow, a wtórzył mu po swojemu Chwyłowyj. Do źródeł! Chodziło o źródła grecko-rzymskie, ale także o zachodnio-europejskie, ku którym rwała się okaleczona zmaltretowana Ukraina intelektualno-artystyczna owych lat. Tym straszniejsze spadły na nią represje. Tu tkwił zasadniczy problem ukraińskiej sprawy i tym samym główne przyczyny rozpetanego terroru. Jakóbiec o tym nawet nie wspomina.

Można by do omawianej książki zgłosić mnóstwo innych pretensji. Oceny artystyczne są przeważnie chybione. Łesi Ukraince jako poetce, Jakóbiec przyznaje najwyższe miejsce tuż po Szewczence i France. Znowu nonsens. Poetką była dość słabą, swoją wielką pozycję zawdzięcza dramatom.

Poemat Szewczenki „Hamalija” otrzymał ni stąd ni zowąd tytuł „Gamalej”. Chodzi nie o postać historyczną, lecz fikcyjną, więc skąd to, wątpliwe zresztą, spolszczenie? Już nie chcę zbyt ostro upominać się o pominiętych polskich tłumaczy Szewczenki na liście podanej przez Jakóbca. Że niżej podpisanego nie wymieniono — zgoda, to już i tradycja i konsekwencja — ale dlaczego pominięto Jastrzębca-Kozłowskiego, który przełożył po mistrzowsku około trzydziestu utworów autora „Kobzarza”? Za to Jakóbiec wymienił Iwaszkiewicza. Tu nikt nie protestuje, gdyż należy szanować aktualne autorytety.

Reasumując, wypada powtórzyć to, co napisałem na wstępie: obraz literatury ukraińskiej jest w tych wypisach zarazem zredukowany i zniekształcony. Autor wyboru i komentarzy jednym okiem zezuje, a na drugim ma bielmo. Zaś kierunek zezu też nie trudno ustalić: jest to kierunek na Moskwę i Leningrad, zamiast na Kijów i Charków.

Józef ŁOBODOWSKI

Literatura węgierska 1967

W jedenaście lat po powstaniu, które wstrząsnęło podstawami całego bloku sowieckiego i położyło kres węgierskiej wersji stalinizmu, na Węgrzech szerzy się na nowo niepokój i podnoszą się głosy niezadowolenia. Trudno porównywać jednak dzisiejsze nastroje z owym, pełnym podniecenia, wyczekiwaniem z pierwszych miesięcy 1956 roku gdy wszystko nabrało nagle jakiejś siły rozpędowej i ludzie wiedzieli, że sytuacja zmienia się na lepsze. Po ośmiu latach nieodpowiedzialnych rządów Rakosi'ego witano wówczas z zadowoleniem każdą zmianę. Dzisiaj, po jedenastu latach panowania Kádara, które było na początku okrutnie bezwzględne a potem stawało się stopniowo coraz bardziej liberalne — ludzie są zmęczeni. Mimo, że w ciągu kilku pierwszych lat reżym Kádara zatruwała atmosfera strachu i nieufności zrodzonych w epoce Rakosi'ego, a następnie w ciężkich chwilach gdy tłumiono rewolucję 1956 roku, gdzieś koło roku 1962 Kádár postanowił, w oparciu o swego możnego protektora Chruszczowa, przyjąć „łagodną” linię postępowania. Amnestia z roku 1963, wyraźne podnoszenie się stopy życiowej (nastąpiło tu zahamowanie w roku 1965), często powtarzany slogan: „kto nie jest przeciwko nam, ten jest razem z nami”¹, wszystko to sprawiło, że Kádár zaczął uchodzić, nawet w oczach przeciwników reżymu komunistycznego, za postać dobroduszną i popularną. Tym niemniej „miodowe miesiące” w stosunkach między Kádarem a masami dobiegły końca w 1965 roku, gdy stało się rzeczą jasną, że Węgry nie zdołają, o ile nie przeprowadzą daleko idącej reformy gospodarczej, utrzymać obecnej stopy życiowej i, co więcej, dadzą się prześcignąć innym państwom Europy wschodniej w coraz to ostrzejszym współzawodnictwie o zdobywanie rynków zachodnich. Reforma (nazwano ją na Węgrzech Nowym Mechanizmem Gospodarczym) była koniecznością i zaczęto wprowadzać ją po raz pierwszy w 1968 roku: oznacza ona podwyżkę premii za wydajność, wzrost różnic w wysokościach płac, mniejszą pewność w utrzymaniu się na zajmowanym stanowisku i niemałą liczbę bezrobotnych. Pociągnie ona również za sobą zmniejszenie pomocy dla domów wydawniczych kontrolowanych przez państwo, oraz z konieczności obniży dochody pisarzy. Wszystko to wywołuje pewną nerwowość wśród Węgrów: z wyjątkiem elity technicznej, nikt nie wierzy w powodzenie reformy (czyż dała ona, w ostatecznym rozrachunku, pozytywne wy-

1. Mało osób wie, że Kádár zapożyczył ten slogan z artykułu Tibora Méray, który ukazał się w węgierskim piśmie emigracyjnym *Irodalmi Ujság* (Paryż).

niki w Czechosłowacji?). Konserwatywne skrzydło partii będzie ją na pewno sabotować, wiele rzetelnego wysiłku pójdzie na marne, i mimo że pozycja Kadara opiera się na solidnych podstawach, nikt nie może przewidzieć do jakich konfliktów dojdzie w łonie partii w wypadku niepowodzenia reformy. Ludność przyzwyczała się do życia na pewnym poziomie i obawia się zmian na gorsze. Pomijając już fakt, iż reforma jest pożądana z punktu widzenia gospodarczego, sądzę osobiście, że będzie ona raczej błogosławieństwem niż przekleństwem z punktu widzenia politycznego — zbyt wielu Węgrov przywykło do samozadowolenia i przywiązało się do *status quo* żyjąc z pożyczek hojnie udzielanych po 1956 roku przez ZSSR i inne kraje „zaprzyjaźnione”. Zainteresowanie problemami technicznymi oraz niepewność psychologiczna towarzysząca reformie mogą wskrzesić niezależny sposób myślenia w szeregach partii i biurokracji państwowej, co wydaje się pilnie potrzebne.

Moralisci i moralizujący satyrycy

Na szczęście najlepsi pisarze węgierscy oraz młodzi socjologowie i historycy nie patrzą przychylnym okiem na ową narodową (o ile jest ona narodowa) skłonność do samozadowolenia. W ostatnich latach zaatakowano ją najcelniej w powieści. „Nowa fala” interesujących powieści pozwala przypuszczać — jak stwierdza jeden z krytyków — że „wiara w odrodzenie powieściopisarstwa węgierskiego nie jest pozbawiona podstaw”.

W ubiegłym roku nakręcono film na podstawie krótkiej powieści Tibora Cseres’a *Zimne dni*. Spotkał się on z gorącym uznaniem zagranicą; wyświetlano go również w Polsce.

W książce swej Cseres sięga pamięcią do wydarzeń trzech pamiętnych dni z roku 1942, gdy okupacyjne wojska węgierskie przeprowadziły szereg zbrojnych akcji w mieście Ujvidék (Nowy Sad), masakrując setki Serbów i Żydów węgierskich. *Ten jedyny poważny akt okrucieństwa* dokonany w czasie wojny przez armię węgierską i policję zaskoczył boleśnie Węgry natychmiast po zbrodni; jej główny organizator, Feketehalmy-Czeydner, stanął już wówczas przed sądem i skazany został przez trybunał węgierski na karę więzienia². Tym niemniej, ponieważ ani w czasie wojny, ani po wojnie, nie można było przeprowadzić rachunku sumienia, wielką zasługą książki Cseres’a i doskonałego filmu było obudzenie właśnie tych wspomnień. Autor dokonał obrachunku z przeszłością zwracając uwagę na fakt, że pod naciskiem okoliczności nawet zwykły żołnierz (który *nie* jest faszystą) zdolny jest do popełnienia czynów o przerażającym okrucieństwie. Film wywołał zacieklą dyskusję — wiele osób poddawa-

2. Niemcy ułatwili następnie Feketehalmy’emu ucieczkę do Niemiec, lecz po zakończeniu wojny przekazano go władzom jugosłowiańskim, które skazały go na śmierć przez powieszenie.

ło w wątpliwość historyczną autentyczność tych wydarzeń, inni uważali, iż „nie należało wyciągać na wierzch całego tego błota” — lecz bez wątpienia osiągnął zamierzony cel, to znaczy podważył popularną legendę o niewinności Węgrów w czasie wojny.

W oczach Polaków, którzy mieli tak szerokie doświadczenia wojenne i posiadają tak bogatą literaturę wojenną, uchodzić może na rzecz zdumiewającą to, że tego rodzaju tematyka stała się modna na Węgrzech dopiero od kilku lat; doświadczenia wojenne Węgrów były jednak tak odmienne, tak pełne nierozwiązalnych sprzeczności, że większość pisarzy nie umiała jak dotąd lub nie śmiała poruszać tych zagadnień. W tym sensie powieść *Piąta pieczęć* młodego Ferenca Santa jest otwarciem nowych perspektyw; opowiada on historię zwykłego, niepozornego człowieka, który wznosi się na wyżynę świętości znosząc upokorzenia w czasie ostatnich dni panowania dzikiego terroru faszystowskiego na Węgrzech w 1944 roku.

Problemy i rozwiązania *Piątej pieczęci* są odbiciem swoistego egzystencjalizmu domowego chowu, który ujawnił się również w ostatniej powieści Santa *Zdrajca*. Książka ta przenosi nas w czas wojen husyckich i składa się z samych dialogów i dyskusji między czterema wyimaginowanymi postaciami w ciągu jednej bezsennej nocy. Są to: ksiądz, chłop, student na służbie Habsburgów i sfanatyzowany żołnierz husycki. Santa stara się przedstawić argumenty rozmówców w taki sposób (po czyjej stronie jest prawda?), by sam czytelnik wyrobił sobie zdanie o wadze poszczególnych poglądów; wydaje się jednak, że większą sympatią darzy raczej starego chłopca, niż dwóch zaciekle przeciwników „ideologicznych” czy księdza hedonistę. W przekonaniu Santa prawda jest zawsze względna i wiąże się nierozłącznie z własnym doświadczeniem; zaangażowanie polega na służeniu własnej prawdzie a nie na narzucaniu jej innym; „Historia” nie udzieli przecież rozgrzeszenia za wszystkie grzechy popełnione w jej imieniu. W pewnym momencie Vaclav, żołnierz husycki, przytyka nóż do gardła autora usiłując zmusić go do przyjęcia *jego prawdy* lub prawdy jego wrogów. Tego właśnie Santa nie chce zrobić. Przemoc nie rozwiąże nigdy problemów, które tkwią w skomplikowanych stosunkach ludzkich, w dążeniu do obiektywnej prawdy.

Tibor Déry, chyba najbardziej znany obecnie autor węgierski zagranicą, nie ogłosił żadnej nowej powieści w ubiegłym roku. Jego ostatnie duże dzieło *Ekskomunikator* było wydarzeniem literackim w 1966 roku. Jest to historia świętego Ambrożego opowiedziana w stylu (ostatnio bardzo modnym) ironiczno-kronikarskim. Wiadomo, że Déry jest wielbicielem Tomasza Manna i nie jest rzeczą wykluczoną, że *Święty grzesznik* Manna pchnął go do podjęcia tego rodzaju tematu. Chociaż jednak styl Manna oscyluje między rewerencją a ironią, jego opowieść — mimo partii groteskowych — skończyłaby się tragicznie gdyby nie cudowna interwencja Boga, która przemienia pokutę Grigorssa w tryumf Gregoriusa. W powieści Déry’ego natomiast brak atmos-

fery tragedii: jest to dzieło wyrafinowanego, satyryzującego moralisty lub moralizującego satyryka, który nie umie odnieść się z powagą ani do Ambrożego, ani do Cesarzy i biskupów, ani do cudów czy ideologicznych pretekstów uzasadniających zbrodnie polityczne. Déry zagląda tu za kurtynę historii i przenosi technikę naszej epoki do czasów wielebnego Biskupa z Mediolanu. Równie prawdziwe byłoby twierdzenie odwrotne — unowocześnia on bowiem swe postacie, każąc im przemawiać bardzo specyficznym językiem: długie, okrągłe tyrady w podniosłym stylu kończą się zazwyczaj taką czy inną gruboskorną uwagą we współczesnym żargonie węgierskim. Wydarzenia opisane w książce obejmują synody i proces wytoczony spiskowcy, który zamierzał rzekomo zamordować świętego Ambrożego; są to znakomite parodie zebrań i konferencji partyjnych z lat 1950-tych, oraz procesów politycznych przeciwko trockistom, titoistom i tym podobnym zdrajcom. Nie jest to może najlepsza książka Déry'ego, lecz napewno najbardziej inteligentna.

W ubiegłym roku ogłoszono w Budapeszcie w dwóch tomach zbiór opowiadań Déry'ego. Zbiór ten (*Theokritosz Ujpesten*), który zawiera tak politycznie znaczące opowiadania jak *Poza ceglaną ścianą* i *Niki*³, był równoznaczny z pełną rehabilitacją Déry'ego jako pisarza. Nie żeby poszedł w zapomnienie jego pobyt w więzieniu. O okresie tym Déry mówił otwarcie w niedawnym wywiadzie ogłoszonym w miesięczniku literackim *HID* (*Most*) wychodzącym po węgiersku w Jugosławii. Odpowiadając na pytanie dotyczące „obecných stosunków między partią a pisarzami”, Déry odmówił zajęcia wyraźnego stanowiska: „Usiłuję dzisiaj — powiedział — wyłączyć z moich myśli możliwości pisanía w służbie idei”. Déry, który liczy obecnie ponad siedemdziesiąt lat, spędził więcej czasu w więzieniach komunistycznych niż w więzieniach Horthy'ego i ma dosyć wszelkich walk politycznych: marzy tylko o tym, by go pozostawiono w spokoju.

Zwolennicy Lukacs'a i grupa Valóság

Gdy Déry przebywał w więzieniu literackie pisma węgierskie nie mówiły o nim wcale lub, wspominając go, dorzucały zwykle sztycherce określenie: „rewizjonista”. W tym samym okresie, Georg Lukacs, wielki przedstawiciel węgierskiej i europejskiej filozofii marksistowskiej, był przedmiotem gwałtownych ataków ze strony dawnych uczniów i nowych wrogów. Czasy zmieniają się jednak i we wrześniu 1967 roku doszło do niebywałego wydarzenia, gdyż Lukacs został ponownie przyjęty do szeregów węgierskiej partii komunistycznej, której był członkiem założycielem zarówno w 1919 jak w 1956 roku. Ponieważ pełnił funkcje ministra w pierwszym rewolucyjnym rządzie utworzonym przez

3. *Niki* wyszła po polsku z przedmową Herlinga-Grudzińskiego, Instytut Literacki, 1959.

Imre Nagy, grupa Kadara odebrała mu legitymację partyjną, którą zwróciła mu dopiero teraz. Czy oznacza to, że Lukacs został w pełni zrehabilitowany?

Nie oznacza to na pewno rehabilitacji politycznej; chodzi tu raczej o pewnego rodzaju pojednanie między Lukacs'em a obecnym programem partii. Ponieważ Lukacs cieszy się ogromnym uznaniem zarówno na zachodzie jak i na wschodzie, jego ponowne przyjęcie do szeregów partii zwiększa raczej prestiż reżymu niż jego własny. Z drugiej strony zawieszenie broni zawarłe między autorem *Die Theorie des Romans* a partią wzmocniło pozycję jego zwolenników, którzy głoszą często bardzo nieortodoksyjne idee na łamach teoretycznego marksistowskiego czasopisma jugosławiańskiego PRAXIS. Ciekawym faktem związanym z powrotem Lukacs'a na łono partii było całkowite przemilczenie przez prasę węgierską tego wydarzenia, które mogło pociągnąć za sobą różne konsekwencje ideologiczne; wiadomość o przygarbieniu Lukacs'a przez reżym podał zachodowi włoski dziennik komunistyczny *L'Unità*⁴.

Na wzmiankę zasługuje — poza zwolennikami Lukacs'a, których wpływy docierają tylko do stosunkowo nielicznego środowiska intelektualnego w Budapeszcie — grupa młodych socjologów, ekonomistów i krytyków, która skupia się w okół miesięcznika *Valóság* (*Rzeczywistość*). Socjologię zaczęto uznawać na Węgrzech jako ważny dział naukowy dopiero cztery czy pięć lat temu, lecz od owej chwili rozwinęła się ona szybko pod energicznym kierownictwem Andrasa Hegedusa⁵ *Valóság* nie jest pismem *par excellence* socjologicznym, ale drukuje wiele artykułów związanych z naukami społecznymi i wchodzi często w zatarg z władzami, które piętnują jego obiektywizm uchodzący w oczach dogmatyków za „opieszałość w odrzucaniu poglądów burżuazyjnych”. Mimo, iż kilku byłych uczniów Lukacs'a drukuje swe artykuły w *Valóság*, pismo to głosi koncepcje znacznie szersze niż rewizjonizm marksistowski, gdyż większość jego współpracowników orientuje się doskonale we własnych dziedzinach zainteresowań, unika tendencyjności i nie obnosi się ze swym apriorycznym przywiązaniem do marksizmu. Pisują oni o maszynach elektronicznych, o problemach demograficznych lub o strukturalizmie, odwołując się w minimalnym stopniu, albo w ogóle nie, do marksizmu. Gdybyśmy chcieli kierunek ten uznać za rewizjonistyczny, to należałoby go chyba nazwać „rewizjonizmem ekspertów”; albo też można by go po prostu uznać za

4. *Népszabadság*, dziennik Węgierskiej Partii Komunistycznej ogłosił ostatnio interesujący i długi wywiad z Lukacs'em, który wyraźnie oświadczył, że mimo tego, że jest ponownie członkiem partii (w czasie trwania rozmowy cały czas zwracano się do niego per „Towarzyszu”) jego polityczne i estetyczne poglądy są wyraźnie odmienne od oficjalnej linii partii. W związku z tym jego rozmówcy doszli do niezwyklej konkluzji: zgodzili się, by nie zgadzać się z poglądami Lukacs'a.

5. Były Premier, obecnie kierownik działu badań socjologicznych przy węgierskiej Akademii Nauk.

dowód, że wschodnioeuropejskie kraje komunistyczne powracają powoli do normalnych warunków (przynajmniej w zakresie dostępu do danych naukowych).

Tabu i zakazy

Z punktu widzenia wolności druku najlepszym okresem w literaturze był rok 1963. Potem sporo pisarzy musiało czekać — czasami aż cztery lata — na wydanie ich książek, napisanych w latach sześćdziesiątych; tak było, na przykład, z *Korytarzami* Gyuli Hernadi'ego. Książka ta miała co prawda pewne zabarwienie polityczne, ale powieść Miklosa Mészöly'ego *Śmierć atlety*, którą spotkał ten sam los, była pozbawiona wszelkich akcentów politycznych. Rzecz znamienna, ukazała się ona *najpierw* w tłumaczeniu francuskim, a dopiero potem po węgiersku i doprawdy trudno zrozumieć dlaczego władze przeciwstawiły się tak długo jej ogłoszeniu.

To, że istnieją polityczne tabu nie było tajemnicą dla nikogo na Węgrzech; mimo, że pisarz nie jest obowiązany obecnie do opatrywania Związku Sowieckiego na każdej nieomal stronie przymiotnikami „wielki” i „pełen chwały”, zbyt otwarte krytykowanie osiągnięć i działalności Rosji jest rzeczą ryzykowną. W wywiadzie, o którym mówiliśmy wyżej, Déry wspomniał o swej krótkiej noweli ogłoszonej w zbiorze w 1945 roku i wycofanej z druku zaraz potem dlatego, że „przedstawił w niej w sposób niewłaściwy” dwóch żołnierzy Armii Czerwonej. Do tej chwili nie zniesiono jeszcze zakazu jej ponownego wydrukowania. Podobny wypadek wydarzył się młodemu poecie i pisarzowi Sandorowi Csoori, którego doskonałe opowiadanie poświęcone życiu na wsi węgierskiej *Deszcz błota* (*Íszapeső*) zostało gwałtownie zaatakowane i ocenzurowane za opis żołnierza rosyjskiego, który gwałci w czasie wojny kobietę węgierską. Utalentowany pisarz Istvan Örkény, którego sztukę *Rodzina Tot* powitano jako pierwszy udany eksperyment „teatru absurdu” na Węgrzech, wydał ostatnio zbiór krótkich opowiadań⁶. Jest to doskonała książka, lecz nie zawiera noweli pod tytułem *Kawiarnia nad Niagarą* (ujęta w stylu Kafki, daje ona obraz psychologicznych nastawień z okresu smutnych lat pięćdziesiątych), która ukazała się w druku kilka lat temu w jednym z tygodników. Nie potrafię powiedzieć czy usunęła ją cenzura, czy też sam autor nie zgodził się na jej ogłoszenie w zbiorze. Wojna, okres Rakosi'ego, powstanie z 1956 roku należą do tematów „drażliwych”; pisarze mogą je poruszać lecz muszą podchodzić do nich z „właściwym nastawieniem”, zachowując ostrożność i umiarkowanie; dlatego też przypominają często narciarzy w zjeździe slalomowym.

6. Nowela Örkény'ego pod tytułem *Modlitwa* ukazała się w *Kulturze* Nry 7-8, 1967.

Poza politycznymi, istnieją także tabu stylistyczne i społeczne. Kłatwy, które rzuca się na modernizm w sztuce i w literaturze, są obecnie mniej groźne, lecz modernizm przyjmuje się z dużo większymi zastrzeżeniami niż w Jugosławii czy w Polsce. Młodzi węgierscy „moderniści” mogą nawet, całkiem legalnie, wysyłać swe manuskrypty zagranicę — do HID w Nowym Sadzie czy do *Magyar Műhely* w Paryżu. To ostatnie pismo zaczęło wychodzić w 1962 roku i zawarło ciche porozumienie z władzami w Budapeszcie — powstrzymuje się od poruszania zagadnień politycznych, a wzamian za to otrzymało zezwolenie na wysyłkę kilkuset egzemplarzy do bibliotek publicznych na Węgrzech i do wybranej grupy czytelników. O ile poziom intelektualny tego miesięcznika paryskiego jest raczej wysoki, i o ile poszczycić się on może wydaniem kilku wartościowych numerów poświęconych znanym węgierskim poetom jak Weöres, Kassak czy Milan Füst⁷, o tyle wpływy jego na Węgrzech są ograniczone właśnie dlatego, że zrezygnował z odgrywania bardziej aktywnej roli politycznej. HID jest potencjalnie bardziej niebezpieczny, gdyż drukuje nie tylko poetów surrealistycznych, lecz także tłumaczenia esejów takich pisarzy jak Kołakowski (zakazany całkowicie na Węgrzech), Jaspers i Zamiatin; wyzwanie więc jakie rzuca obejmuje nie tylko zagadnienia z dziedziny estetycznej, lecz również filozoficznej i politycznej.

Pięcioramienna kobza

To poeta Gyula Illyés porównał poezję węgierską do „pięcioramiennej kobzy”. Porównanie z tym dziwnym instrumentem muzycznym nawiązuje do faktu, że poza dziesięcioma milionami mieszkańców Węgier od trzech do czterech milionów Węgrów przebywa zagranicą: około 1.800.000 w Transylwanii, która należy do Rumunii, po pół miliona w Słowacji i w Jugosławii, a reszta na zachodzie, w diasporze. Nie tylko same Węgry, ale także owe inne „ramiona” posiadają własną literaturę. Mimo, że elita intelektualna węgierskiej mniejszości w Jugosławii (wydaje ona HID) jest zdumiewająco czynna, najpotężniejszym odgałęzieniem, poza Węgrami, jest bez wątpienia zachód.

Emigracja węgierska wydaje cztery pisma kulturalno-literackie, z których najbardziej popularnym jest paryski *Irodalmi Ujsag*; z działalnością pisma tego kojarzono w swoim czasie przygotowania do rewolucji z 1956 roku. Większość pisarzy i czytelników tego wydawnictwa rekrutuje się właśnie z uchodźców,

7. Zarówno Kassak jak i Füst zmarli w 1957 roku. Był to tragiczny rok dla kultury węgierskiej; poza wyżej wspomnianymi autorami zmarli również w tym samym czasie kompozytor Zoltan Kodaly, poeta Aprily i pisarz Ervin Sinko. Najpoważniejszym dziełem Sinko, który był profesorem węgierskiej literatury na uniwersytecie w Nowym Sadzie, jest jego dziennik moskiewski z lat 1935-37, który wyszedł pod tytułem *Powieść o powieści*.

ktorzy przybyli na zachód zaraz po powstaniu, lecz od czasu do czasu ukazuje się w nim jakieś nowe nazwisko, najczęściej uchodźcy świeżej daty. Od 1960/61 roku spora liczba węgierskich pisarzy i artystów, którym udało się uzyskać paszport i wyjechać na zachód, postanowiła nie wracać do kraju; wśród nich najbardziej znani są dramaturg Julius Hay i powieściopisarz Tibor Tardos. Mówi się, że Hay napisał nową sztukę, która odmalowuje ponurą atmosferę jaka panowała na Węgrzech w 1957 roku; jest rzeczą jasną, że nie można by wystawić jej w Budapeszcie.

Nie znaczy to żeby inni artyści nie *wracali* na stałe do kraju; i tak na przykład w 1962 roku dwaj powojenni emigranci, byli wydawcy miesięcznika *Latóhatar* w Monachium, powrócili na Węgry. Tym dwóm byłym współpracownikom Radia Wolna Europa udało się otrzymać od władz zgodę na kontynuowanie miesięcznika na Węgrzech; miał być propagandową przynętą dla uchodźców „nastawionych przychylnie do osiągnięć nowych Węgier”. Liczono na współpracę takich znanych węgierskich pisarzy emigracyjnych jak Zilahy, Cs. Szabo i Hatar, lecz rachuby te okazały się złudne. *Latóhatar* wychodzi w dalszym ciągu w Budapeszcie i od czasu do czasu zwraca się z przyjaznymi słowami pod adresem „dobrych emigrantów”: jeden z czołowych pisarzy węgierskich nazwał go „organem urzędu bezpieczeństwa” i mało kto czyta go na zachodzie. Warto zaznaczyć, że rząd węgierski finansuje nie tylko ów miesięcznik literacki, lecz także trzy inne pisma (dwa z nich wychodzą po angielsku), których celem jest doprowadzenie do „pojednania” między Węgrami żyjącymi zagranicą a nową węgierską rzeczywistością. Najpoważniejsze z nich, *New Hungarian Quarterly*, przynosi — i dlatego lektura jego może być pożyteczna — wiele cennych informacji na temat społeczeństwa i życia kulturalnego na Węgrzech; poza tym daje znacznie szerszy wybór materiału niż wiele innych pism wychodzących na Węgrzech.

Jeżeli chodzi o węgierskie piśmiennictwo emigracyjne, to wniosło ono sporo w zakresie „literatury obozowej” i wspomnień więziennych. Niektóre z tych książek wyszły tylko po angielsku, lub pisane były przez autorów bezpośrednio po angielsku, na przykład taka zabawna rzecz jak *Moje szczęśliwe dni w piekle Faludy'ego*⁸, lub wspomnienia Ignotusa i Paloczi-Horvatha. Wydaje mi się jednak, że najlepsza w tej kategorii jest książka Vincent Savarius'a (Bela Szasz), która po węgiersku nosi pełen sarkazmu tytuł *Bez żadnego przymusu*, a po francusku *Volontaire à l'échafaud*. Savarius, który był przed wojną komunistą, spędził okres wojenny na emigracji, w Południowej Ameryce. Po powrocie do kraju powierzono mu stosunkowo wysokie stanowisko w administracji państwowej, lecz wkrótce potem zaaresztowano go pod zarzutem, że prowadzi działalność wywrotową. Ponieważ był w przyjaznych stosunkach z László Rajk'iem,

8. Książka ta wyszła również po francusku pod tytułem *Les beaux jours de l'enfer*, Les Editions John Didier, Paryż (przyp. tłumacza).

organizatorzy procesu chcieli wykorzystać go jako głównego świadka przeciwko Rajk'owi. Ale Savarius-Szasz był człowiekiem upartym i — mimo bicia i tortur — nie powiedział ani słowa; w rezultacie skazany został na karę więzienia, a wypuszczono go na wolność w okresie odwilży. Książka jego nie tylko zawiera dokładny opis własnych doświadczeń, lecz „analizuje” także sprawę Rajk'a w świetle bezpośrednich i przekonywujących dowodów. Wielka szkoda, że książki tej (należy ona w Budapeszcie do „tajnych” *best-seller'ów*) nie przetłumaczono dotąd na polski.

Przechodząc do czysto literackich osiągnięć emigracji, należy stwierdzić, że na czoło wysuwa się poezja liryczna, że istnieje kilku dobrych eseistów i bardzo niewielu utalentowanych powieściopisarzy. Węgierska poezja emigracyjna nie może się poszczycić poetami tej miary co Wierzyński lub Miłosz, lecz pomijając tak znakomitego eseistę jak László Cs. Szabo i wirtuoza języka węgierskiego (przypominającego zresztą Sterne'a) Victora Hatar'a, mam wrażenie, że conajmniej pół tuzina młodych poetów wytrzymuje porównanie z najlepszymi utworami ogłaszany mi na Węgrzech przez ludzi w tym samym wieku. Największym zbiorowym osiągnięciem emigracji węgierskiej jest bez wątpienia *Anthologie de la Poésie hongroise* (Seuil 1962), którą wydał fanatyczny miłośnik i niestrudzony propagator kultury węgierskiej, László Gara. Powodzenie, jakim cieszyła się ta antologia, było osobistym tryumfem Gara i jego współpracowników; żadnemu komiwojażerowi kulturalnemu z Budapesztu nie udałooby się nigdy nakłonić takiej ilości wybitnych poetów francuskich do współdziałania przy realizacji projektu o tak wielkim zasięgu. Mówiąc nawiasem, podobna antologia Jeleńskiego zawdzięcza wiele przykładowi dokonania Gara.

Budowanie pomostu?

W 1963 roku reżym Kadara podjął ostrożne próby w celu zbliżenia z emigracją. Wybrano jednak — jak się wydaje — złą metodę, a może po prostu rzecznik tej polityki był zanadto skompromitowany w oczach emigracyjnej elity intelektualnej. Dwa lata później Géza Hegedűs wystąpił na łamach jednego z pism budapesztańskich z sugestią by nawiązać „dialog” między krajem a emigracją; określił on jednak cele i formę tego dialogu w sposób tak ogólnikowy, że o całej sprawie zapomniano. Tym niemniej, zagadnienie odżyło znowu głównie dzięki działalności pewnych kół i klubów dyskusyjnych na emigracji. Warto wspomnieć o trzech tego rodzaju klubach: Koło Szepsi Csombor w Londynie, Konferencje Ewangelickie (odbywają się one co roku, zawsze w innym kraju) i Koło Mikes Kelemen w Holandii. Klub Mikesa postanowił zaprosić kilka osób z Budapesztu na konferencję w 1967 roku. W rezultacie na zebranie przybyła mieszana grupa „delegatów” z Węgier. Wygłosili oni przemówienia i brali czynny udział w dyskusji, a po powrocie do Budapesztu

tu krytyk Béla Abody ogłosił artykuł wyrażający w sposób ostrożny uznanie dla działalności Klubu Mikes Kelemen'a i wysuwający propozycję kontynuowania dialogu rozpoczętego w Holandii. O ile wiem, był to pierwszy wypadek by tygodnik budapesztański uznał autonomiczne istnienie elity kulturalnej na uchodźstwie i jej pokrewieństwo myślowe z elitą intelektualną na Węgrzech. Stanowi to odchylenie od oficjalnej polityki; nie jest jednak wykluczone, że Abody wypowiedział swoją własną opinię, która nie koniecznie musi się pokrywać z opinią węgierskiego KC. Tym niemniej fakt że *można* było artykuł taki wydrukować stanowi dowód, iż nastąpiła pewna zmiana na lepsze w oficjalnym stosunku do emigracji z 1956 roku. Przyszłość pokaże, czy ta próba nawiązania poważnej dyskusji między „postępowym” skrzydłem uchodźstwa a „liberalnymi komunistami” na Węgrzech da jakieś rezultaty.

George GÖMÖRI

(Przełożył z angielskiego Paweł Zdziechowski)

CANADIAN • REVUE CANADIENNE
D'ÉTUDES
SLAVIC
STUDIES SLAVES

A QUARTERLY JOURNAL DEVOTED
TO RUSSIA AND EAST EUROPE

JOURNAL TRIMESTRIEL CONSACRÉ AUX
ÉTUDES RUSSES ET EST-EUROPÉENNES

ANNOUNCING — CANADIAN SLAVIC STUDIES

A new bilingual quarterly specializing in Slavic and East European Studies — past and present. The journal publishes contributions in the field of the humanities and the social sciences by scholars from North America and Europe. Book reviews and bibliographies, as well as articles and notes, are featured in each issue.

Published by *Loyola College*, Montreal.

Subscription rates: \$ 6.00 for teachers and institutions; \$ 4.50 for students.

All communications should be addressed to:

Editor-in-Chief
Canadian Slavic Studies
Loyola College
Montreal 28, Canada.

Kolekcja malarstwa emigracyjnego

Jeden z moich przyjaciół malarzy, zdolny, ambitny i zawsze rewolucyjny, opowiedział mi kiedyś w Egipcie pewne wydarzenie. Podarował on mianowicie własne dzieła swojemu bratu, który był pułkownikiem i wykładowcą w wyższej szkole wojskowej w przedwojennej Polsce. Pułkownik udekorował obrazami brata swoje mieszkanie. Jakież było zdziwienie malarza gdy ten z okazji jakiegoś wystawnego obiadu, wydanego przez pułkownika, dla wybitnych osobistości, przyjechał także na tę ucztę i od razu zauważył brak swoich obrazów na ścianach.

Zaintrygowany malarz spytał pułkownika, co się stało z jego obrazami?

— Edziu — odpowiedział zawstydzony brat — ja wiem że ty jesteś zdolnym artystą i toleruję twoją sztukę, ale nie będąc pewnym czy moi goście będą tego samego zdania, postanowiłem poodejmować twoje obrazy ze ścian i tymczasowo schowałem je pod łóżko. Rozumiesz — ciągnął pułkownik — nie chciałem dostarczać powodów do uszczypliwych drwin i szyderstw.

— Pamiętaj! — dokończył Edzio opowiadania — jeśli się szanujesz jako malarz, nigdy nie rób nikomu prezentów z własnych prac. Jeżeli ktoś naprawdę lubi twoją sztukę i zapragnie mieć twój obraz — to na pewno zrobi wysiłek, aby go kupić. W przeciwnym razie możesz komuś przysporzyć kłopotów.

Ta historia przypomniała mi się, gdy zaproponowano mi abym ofiarował jakąś pracę do tworzącej się Kolekcji Sztuki Polskiej na Obczyźnie, która będzie przekazana Polskiemu Ośrodkowi Społeczno-kulturalnemu w Londynie.

Gdy z kolei dowiedziałem się, że inicjatywa stworzenia kolekcji wyszła od plastyków — poczułem coś w rodzaju zażenowania. Zupełnie szczerze myślałem czy naprawdę ktoś pragnie mieć w kolekcji właśnie moje dzieło? i co za bezczelność ze strony plastyków pchać się z własnymi kiczami do wspañiałych lokalów organizacj społecznych.

Nie miałem pewności czy ten akt nie jest stawianiem sobie pomnika przedwcześnie?

Rzecz nabrałaby zupełnie innego charakteru, myślałem, gdyby inicjatywa zapoczątkowania zbiorów wyszła od społeczeństwa.

Tymczasem, taki obrót sprawy dowodzi z jednej strony obojętności polskiego społeczeństwa na plastykę, a także ukazuje niepokój plastyków z powodu tworzenia w próżni, bez oparcia o środowisko, co w gruncie sprowadza ich działanie do wysiłku indywidualnego, który pozostaje akcją prywatną. Gospodarze kraju naszego osiedlenia w gruncie rzeczy nie zajmują się polską twórczością na emigracji, a emigracyjna społeczność ciągle uważa sztukę za luksus, na który nie może sobie pozwolić.

Tyle na temat co by było gdyby...

Konkretnie sprawa przedstawia się zupełnie pozytywnie. Dwudziestu czterech polskich plastyków zamieszkałych w Wielkiej Brytanii ufundowało kolekcję sztuki, składającą się z 24 dzieł, która w dniu 12 grudnia 1967 roku została oficjalnie przekazana Polskiemu Ośrodkowi Społeczno-kulturalnemu na 9 Princes Gardens w Londynie. Ta data łączy się z okazją przejęcia przez Polski Ośrodek Biblioteki Polskiej w 25-tą rocznicę jej założenia. Tak więc grupa polskich plastyków w Wielkiej Brytanii aktem przekazania ufundowanej przez siebie Kolekcji Sztuki Polskiej na Obczyźnie — Polskiemu Ośrodkowi Społeczno-kulturalnemu w Londynie zapoczątkowała akcję w pewnym sensie współdziałania polskich artystów ze społeczeństwem emigracyjnym, a ściślej mówiąc z czołową polską organizacją społeczno-kulturalną, zapewniając sobie w ten sposób miejsce w historii.

Nareszcie prywatny wysiłek artysty nabiera znaczenia osiągnięcia społecznego.

Historia pokaże czy to wydarzenie będzie powodem do narodowej dumy.

Przyglądając się tej kolekcji bliżej, rozpoznajemy od razu znamiona i cechy charakterystyczne tej sztuki, która towarzyszy naszej emigracji od początku.

Młódzież zgrupowana wokół osoby prof. M. Szyszko-Bohusza, w ciągu 25 lat przekształcona w artystów, manifestuje swoje istnienie bezpretensjonalnie i rzetelnie.

Ten godny podziwu wysiłek niesfornych nazwyczaj indywidualistów zapowiada pozytywną robotę na przyszłość. Zrobiony jest początek. Czas pokaże jak zrozumieliśmy w tym momencie sens sztuki.



Im więcej wiemy o sztuce, tym więcej musimy się o niej uczyć.

Ludzie coraz bardziej zdają sobie sprawę z tego, że życie bez prawdziwej treści wewnętrznej jest po prostu drwiną. Staramy się pokryć tę prawdę sztucznie. Robimy wysiłki, robimy gesty, łudzimy się.

Gdy nasze życie wewnętrzne jest ubogie lub nie istnieje wca-

le, chcemy być znani w świecie zewnętrznym, pragniemy sławy. Znaleźnienie bogactw wewnętrznych jest rzeczą trudną. wymaga to raczej samotności, a człowiek który pragnie sławy boi się być sam, gdyż zależy od ludzkich pochlebstw i opinii.

Starałem się zawsze odgadnąć jaka siła zmusza tysiące młodych ludzi, by poświęcić się sztuce, stać się artystą? Skąd czerpią moc przetrwania w momencie, gdy marzenia i wizje budowane na niewiedzy zawodzą, kiedy nadzieje na rezultaty okazują się fałszywe, kiedy doświadczą, że ambicje i pożądania prowadzą nieodwołnie do zawodów, rozczarowań i utrapień.

Jaką wartość posiada sztuka dla człowieka? Spotykamy się z przekonaniem i to nawet wśród samych artystów, że sztuka apeluje do naszej strony wyższej i że z tej racji poprzez sztukę jesteśmy pociągnięci ku Dobru i ku Bogu.

Padre Angus, dominikanin, pokazuje mi swój fresk w jednej z kaplic kościoła San Giovanni w Rzymie, nad którym pracuje i mówi: „Moim marzeniem jest osiągnięcie zbawienia, ale gdyby można było dojść do tego przez malarstwo, byłbym tym bardziej szczęśliwy”. Jeden z największych yogów, Schivapuri Baba, zmarły w roku 1963 w wieku 147 lat, który osiągnął najwyższy stopień perfekcji na jaki stać człowieka, który w momencie olśnienia dostąpił łaski widzenia Boga-Absolutu, jak sam mówił było to rodzajem przeżycia, czy doświadczeniem Boga, trwającym zaledwie ułamek sekundy — otóż ten światły i święty człowiek, znający świat przez podróże, które zajęły mu czterdzieści lat życia, znający najtęższe umysły naszych czasów i wszystkie wielkie religie, zapytany oto czy przez sztukę zbliżamy się ku Bogu, odpowiedział, że sztuka może dać pojęcie o nieskończonej piękności Boga, ale od piękna do Boga jest bardzo daleko.



O wiele łatwiej jest znaleźć wskazówki jak zostać dobrym artystą, niż jakie są jego zadania i miejsce we współczesnym społeczeństwie.

Wszyscy zgadzają się na jedno, że przez wieki istniała jedyna droga zostania artystą — droga trudna.

Oto co zaleca Ben Shahn swoim studentom z okazji otwarcia roku szkolnego w Harvard.

„Nie istnieje wiedza, która nie byłaby ci przydatna w przyszłości, lecz zanim wstąpisz na Uniwersytet, pracuj jako robotnik. Weź pracę przy kopaniu kartofli, albo pracuj jak wysmarowana olejem mała, w garażu, reperując samochody. Ale jeśli pracujesz w polu nie omieszkaj obserwować jak wygląda pole, ziemia i wszystko czego dotykasz — tak! nawet kartofle. W garażu doświadczaj zapachu benzyny, smarów i palącej się gumi. Maluj naturalnie, ale jeśli odkładasz pędzle na pewien czas, nie zaprzestawaj rysować. Przysłuchuj się z uwagą rozmowom i ucz się z nich i bierz na serio wszystko co jest prawdziwe. Nie patrz nigdy z góry na nikogo i na cokolwiek jako na coś, co nie jest

warte zanotowania. W szkole i poza szkołą czytaj i formułuj opinie. Czytaj Sofoklesa i Eurypidesa i Dante'a i Prousta. Czytaj wszystko co możesz znaleźć o sztuce z wyjątkiem recenzji. Czytaj Biblię i Hume'a, czytaj wszystkie rodzaje poezji i poznaj wielu poetów i artystów. Uczęszczaj do Szkoły artystycznej, albo lepiej do dwu albo trzech szkół, albo zapisz się na kursy wieczorowe o sztuce, jeśli to konieczne. I maluj i maluj i rysuj i rysuj. Poznaj wszystko: fizykę i ekonomię, logikę a szczególnie historię. Znaj przynajmniej dwa języki poza swoim własnym. Ale w każdym razie poznaj francuski. Patrz na obrazy i więcej obrazów, patrz na wszystkiego rodzaju wizualne symbole, nie obawiaj się lubić obrazy naprawdę lub ich nie lubić szczerze, lecz jeśli ich nie lubisz odrzuć je ze świadomością.

Nie pogardzaj żadną szkołą w sztuce ani Pre-Rafaelitami ani Hudson River School ni też niemiecką Szkołą Rodzajową. Dyskutuj i rozmawiaj w kawiarniach i przysłuchuj się wszystkiemu. Słuchaj Bramsa i Broobecka aż po włoską godzinę w radio. Słuchaj przemówień politycznych, a nawet rysuj mówców.

Zwiedzaj wszystkie muzea, galerie i pracownie artystów. Jedź do Paryża, Madrytu, Rzymu, do Rawenny i Padwy.

Zatrzymaj się w kaplicy Sykstyńskiej, w Kościele Santa Maria del Carmine we Florencji.

Rysuj i maluj i ucz się pracować w różnych technikach. Próbuj litografii, aquatintę i silk screen. Dowiedz się wszystkiego o sztuce co tylko możesz i miej własną opinię".



Znałem wielu studentów ze szkół artystycznych, artystów, którzy robili wszystko co zalecał Ben Shahn. Jakież było moje zdziwienie, gdy po latach spotkałem niektórych z nich rozgoryczonych i zawiedzionych, jako nauczycieli rysunków w szkolnictwie lub jako kelnerów i kierowców ciężarówek.

Ben Shahn nie dał im wskazówek: PO CO? i W IMIĘ CZEGO? mają pracować.

W epokach minionych artysta wiedział dobrze po co tworzy. To dopiero parę ostatnich pokoleń artystów, nędzarzy i szaleńców stanęło przed tym dylematem i odkryło cały świat sztuki natchnionej nową dla nas hierarchią wartości. Odtąd każde nowe pokolenie artystów jeśli pragnie kontynuować sztukę poważnie musi znaleźć dla siebie odpowiedź na pytanie w IMIĘ CZEGO?

Tak jak nie możemy znaleźć szczęścia, które by trwało wiecznie i doświadczamy jedynie radości i smutku na zmianę, tak wydaje mi się, że znalezienie odpowiedzi na to pytanie, jedynej i aktualnej po wszystkie czasy, jest niemożliwością.

Prawda objawia się nam tylko od przeżytku do przeżytku.



Pamiętam momenty w życiu, gdy jako chłopiec bywałem na-

wiedzany przez dziwne czucie, które wypełniało moje najgłębsze istnienie. Wydawało mi się wtedy, że jestem bliski posiadania jakiegoś dziwnego skarbu, bez rozmiarów, bez kształtu i substancji, który był tuż obok, a jednak nieuchwytny.

Podobne uczucie miewam czasami w chwilach kompletnego zagłębienia się w pracy malarskiej. Wydaje mi się, że to dzięki tym nadzwyczajnym stanom, artysta może kontynuować swoją pracę do końca, zupełnie bezinteresownie i nie oglądając się na sukcesy. W tych wyjątkowych momentach spotkań na granicy świata materii i ducha, spotkań nieodczownych dla warunków tworzenia, być może leży tajemnica energii twórczej, która powoduje, że praca artysty jest możliwa nawet dzisiaj.

Arnold Toynbee w jego „Study of History” dochodzi do konkluzji, że zmuszeni jesteśmy wierzyć w to, że historia ludzkości jest kierowana przez Miłosierną Siłę (*Merciful Power*), pochodzącą od Boga, a która objawia się nam przez Świętych, Proroków i założycieli wielkich religii świata.

Teza Malraux, że źródłem wszystkich sztuk z wyjątkiem współczesnej, było przeżycie religijne, nabiera w tym świetle głębo-kiego sensu. Jak to się stało, że sztuka współczesna zbuntowała się przeciw cywilizacji z której wyrosła?



Rozwój życia i myśli w nowoczesnej Europie zniszczył koncepcję życia wewnętrznego, według której *vita contemplativa* stała wyżej niż *vita activa*.

Przepaść między wewnętrzną i zewnętrzną działalnością ludzką, zapoczątkowana w dobie Renesansu i Reformacji, dobiegła szczytu. Miłość czynów przetwarzających świat rzeczy a nie dusze ludzkie dochodzi do absurdu. Człowiek coraz bardziej ulega pokusie wygodnego urządzania się na ziemi. Jego życie duchowe zostało zdławione aktywnościami zewnętrznymi, absorbując dużą część ludzką, tylko w zakresie ambicji zysku.

Nawet dzieła sztuki w rękach spekulantów stają się jedynie towarem do robienia pieniędzy.

Artysta już w dziewiętnastym wieku został zepchnięty na najniższy szczebel drabiny socjalnej. Z tej sytuacji było tylko jedno wyjście, uczynienie ze sztuki protestu przeciw społeczeństwu. W ten sposób znaleźliśmy się w zabawnej rzeczywistości, jaka zapanaowała dzisiaj.

Obserwujemy, że nigdy jeszcze nie istniało tak wielkie zainteresowanie sztuką. Nigdy przedtem nie było tak wielkiego pędu do inwestowania w dzieła sztuki. Nigdy przedtem znajomość sztuki nie odgrywała tak ważnej roli w wykształceniu. Nigdy w historii sztuki nie było tak wielu kiepskich artystów i adeptów sztuki. Nigdy przedtem nie było tak wiele dobrych i złych książek na temat sztuki. Nigdy sztuka nie była tak świetnym interesem i nigdy nie przyciągała tak wielu spekulantów.

Ceny obrazów osiągają astronomiczne sumy „Aristotle” Rem-

brandta sprzedany na licytacji w Nowym Jorku w 1961 roku osiągnął sumę dwu milionów trzystu tysięcy dolarów. Równocześnie jesteśmy świadkami takich absurdów jak wystawienie w Tate Gallery ordynarnego zlewu z dwoma kurkami. Identyczne zlewy znajdują się w każdym publicznym wychodku i nikt ich nie podejrzewał że mogą uchodzić dzisiaj za dzieło sztuki (a może za dzieło antysztuki?).

Wyczyny czołowych „artystów” z *Happening Movement*, którzy prześcigają się w pomysłach paradoksalnych, świadczą o wynaturzeniach i są zapewne rozpoznawalnymi symptomami naszej śmiertelnie chorej epoki. Bo jak można zrozumieć i wytłumaczyć taki wyczyn kiedy jedna z paryskich galerii została pewnego dnia wypełniona od podłogi po sufit ordynarnym śmieciem i odpadkami z opróżnianych (*dustbin*) skrzyń ze śmieciami mieszkańców Paryża? Czy podobne wyczyny można zakwalifikować jako wyraz epoki? Chyba przesada.

A jednak przecież równocześnie do tych wynaturzonych i historyzujących przejawów płynie nurt zdrowy. Istnieją zastępy plastyków poważnych, ideowych entuzjastów, pracujących bez rozgłosu i sukcesów i dla tych samotnych świętych sztuki malarzkiej czas stanął a raczej przeszli oni z pojęcia czasu w *Eternity*. Powiedzenie *businessmen*’ów „Czas to pieniądz” nie znajduje pokrycia w pracy artysty. Ileż przepracowanych godzin, dni tygodni, lat całych poświęca artysta zupełnie bezinteresownie dla znalezienia *Qualities*, tych jedynych wartości duchowych, które w jakiś sposób przyczyniają się do tego, że możemy poczuć się CZŁOWIEKIEM wspanialszym i ważniejszym niż przypuszczamy.

Mało kto zgaduje jakie trudności piętrzą się przed dzisiejszym artystą. I kiedy stajemy przed obrazem to lubimy o nim mówić, obojętnie dobrze czy źle. Obraz jest czymś, o czym lubimy myśleć — ponieważ przedstawia rzecz, o której każdy opowiada absolutne nonsensy. Nawet w wypadku, gdy obraz naprawdę lubimy i podoba nam się i gdy wierzymy w dzieło i gdy czujemy, że jesteśmy znawcami, że posiadamy odpowiednie kwalifikacje mówienia o przedmiocie — popełniamy błędy, nie dosiegamy głębi tajemnicy twórczości.

Im więcej ktoś mówi o obrazie, w przekonaniu że naprawdę zrozumiał, tym bardziej zdradza prawdę, gmatwa ową jedyną więź łączącą dzieło sztuki z artystą w momencie tworzenia.

Zygmunt TURKIEWICZ

Kronika paryskiego anty-prowincjonalisty

„Nosi włosiennicę, ale co do kroju
grymasi zawsze”.

Stanisław Jerzy Lec

Gdy mój przyjaciel — młody historyk sztuki (klasyczny i to bardzo), przybył z Rzymu po raz pierwszy do Paryża, oświadczył mi: „zdziwisz się jak Ci powiem, że zwiedziłem Luwr w ciągu trzech godzin”, wcale się nie zdziwiłem. (Był zdecydowanie rozczarowany moim brakiem uprzejmości dla tak wielkiego wysiłku non-komformizmu). Smutno w Paryżu, pusto w Paryżu. W wypucowanych na biało siedemnastowiecznych budynkach podaje się paryskiej publiczności zapleśniałe staroświeckie zakąski w rodzaju „Vingt ans d'acquisitions du Musée du Louvre” (Musée de l'Orangerie des Tuilleries). Już sam tytuł tej wystawy jest niemodny, nudny. Nuda, może jeszcze gorzej — prowincjonalizm, polany sosem dziewiętnastowiecznych przyzwyczajęń muzealnych. Historycyzm, muzealnictwo. Kultura w konserwie. Tymczasem dochodzą wieści o wielkich wystawach w Amsterdamie i Londynie, o dużej retrospektywie nowej Ecole Paris-New York i nawet mała wystawa Ecole de Nice w Nicei (wspaniały szok anty-estetyzmu „spalonych powierzchni” obrazów Yves Kleina) wydaje się większym wydarzeniem niż retrospektywa Theodora Rousseau w Luwrze.

W smutnym bajorku paryskiej krytyki, niedorośle entuzjastki¹ podniecały się wystawą sztuki rosyjskiej w Grand Palais², skacząc z radości, że pokazano jednego Malewicza, jednego Kandynskiego i dwa rysunki Wrubla. Aż strach pomyśleć, że nikt nie odważył się napisać przerażającej prawdy o tym prawdziwym fiasku artystycznym. Może należy jeszcze raz powołać się na mądrość mistrza Leca: „Nie znając obcego języka, nie zrozumiesz milczenia cudzoziemców”.

Wystawę obejrzałem. Niestety. Składa się ona z trzech zupełnie odmiennych tematyką i systematyką organizacyjną części. W pierwszej sali wystawiono wspaniałe zabytki sztuki stepowej. Mistrzowska ekspozycja zdradzała rękę francuskich archeologów. Następujące po tym średniowieczne ikony otwierały bajeczny świat sztuki bizantyjskiej, subtelność kolorytu szkoły moskiewskiej z przełomu piętnastego i szesnastego wieku wprowadzała

1. Wcale nie przesadzam — proszę rzucić okiem na recenzje z *Nouvel Observateur*, listopad 1967.

2. *L'art russe des scythes à nos jours. Les trésors des musées soviétiques*, grudzień 1967.

nas w delirium kosmogonii i mistyki teologów kościoła prawosławnego. Synteza delikatnych odcieni zieleni i żółci z „marzeniem idealnej, dwupłaszczyznowej perspektywy” przypominała początki renesansu tokańskiego: Fra Angelica, Sassettę. Chcąc dowiedzieć się czegoś więcej o oglądanych ikonach, miałem nieostrożność zajrzeć do katalogu, zapominając o tym, że jest on dziełem ludzi, dla których sztuka chrześcijańska jest wciąż pod osłoną „tabu” *tentationem satanicum*. Prymitywizm notatek raził swoją niefachowością, denerwował naiwnością i zwyczajnym niechlujstwem. (Chciałoby się powiedzieć: ordynarnym traktowaniem widzów!) Jednak tutaj jeszcze można było pocieszyć się ikonami.

Schodzę do trzeciej części. (Słowo „schodzę” należałoby czytać we wszystkich możliwych kierunkach: upadek, degradacja itd., proszę używać słownika synonimów PWN). Udamę się do sekcji nowożytnej i nowoczesnej. Dopiero tutaj zaczyna się prawdziwy popis teoretyków od socrealistycznego partactwa historii sztuki. Ze smutnym milczeniem należałoby pominąć wybór dzieł malarzy dziewiętnastowiecznych; lubię i cenię Repina, Wenecjanowa, Iwanowa, ale nie w wydaniu paryskim A.D. 1967. Okazuje się, że praktyka socrealistycznych „anty-kryteriów” estetycznych mści się nie tylko na sztuce współczesnej, ale też na krytykach i historykach sztuki dawnej, gdyż kryteria estetyczne zastosowane przy wyborze płócien realistów dziewiętnastowiecznych przerażają swoją płycizną, zupełnym brakiem zrozumienia wartości czysto malarskich szkoły, która doznała smutnego zaszczytu patronki dwudziestowiecznych bohomazów.



*„I na drogach myśli czatują rozbójnicy.
Oczywiście i oni czują się intelektualistami”.*

Stanisław Jerzy Lec

Sekcja współczesna! Tutaj katalog naprawdę się przydaje, gdyż jedynie ze słów dwóch znanych specjalistów uniwersytetu w Leningradzie, M. Alpatowa i D. Sarabianowa, możemy dowiedzieć się nowych „prawd historycznych”, do których tajemnicy nasz ograniczony horyzont estetyczno-filozoficzny nigdy by nas nie dopuścił. A więc okazuje się, że „między latami 1930-1940 sztuka sowiecka weszła w nową fazę spokojnej reorganizacji, aby walczyć przeciwko faszyzmowi”... W latach 1930-1940? Autorzy widocznie zapominają, że słowa te czytane będą w Paryżu, a nie na posiedzeniu Akademii Nauk ZSSR, gdzie baletnikom ideologicznym wolno popisywać się fałszowaniem każdej epoki. Jak dotąd, w byle księgarni paryskiej można nabyć podręczniki historii, które nie zapominają o tym, że pakt Ribbentrop-Mołotow był w latach trzydziestych oficjalną doktryną sowieckiej polityki. Jedynie panowie piszący zapominają, że historii nie da się układać wstecz jak klocki w dziecinnym pokoju. Chyba, że uwierzy-

my w rzecz niebywałą, a mianowicie w istnienie opozycji intelektualno-artystycznej, którą dopiero dzisiaj wydobywa się na światło dzienne, i to w tak subtelny sposób...

— Ze smutnego nastroju wywołanego spacerem po opuszczonych salach Grand Palais może nas wyprowadzić jedynie obraz Wiktora Popkova pod tytułem „Wdowy” (nr 549 w katalogu). Nic ciekawego na pierwszy rzut oka — raczej stereotypowy, zmodernizowany socrealizm; kicz w stylu Palais Galiëra. Krzyczące czerwone kolory pięciu starych kobiet i szara monochromia wnętrza drewnianej izby, przypominają nam o złym stanie reprodukcji w sowieckich książkach o malarstwie europejskim. Zabawmy się w ikonografów. Kogo opłakują te stare kobiety? Proste wnętrze wiejskiej chałupy: kaflowy piec, drewniane ławki, samowar (= tradycja popularna). Za brudnawo-mglistą kwadraturą okna, którego rama wystylizowana jest na kształt prawosławnego krzyża, widoczne są smutne pola, drewniane baraki, ogrodzenia z drutu kolczastego. W centrum perspektywy plastycznej (lewo-góra), na małej półeczce, umieszczona jest ikona i nieodczowna czerwona lampka. Czyżby prawdziwa, prawosławna ikona? Gdy przyjrzyć się uważniej, okazuje się, że jest to portret Karola Marxa w całej okazałości jego białej brody. W kącie tej nowoczesnej „ikony” wciśnięta jest fotografia młodego człowieka w mundurze żołnierzy z epoki Rewolucji Październikowej. Obraz „Wdowy” został namalowany w roku 1967, a autor urodził się w 1932 — ma prawie że tyleż lat co twórca poematu „Babij jar”. Jest to swojego rodzaju realizm socjalistyczny nowego stylu.



*„Pewien mędrzec bił zawsze pokłony swoim
władcom w ten sposób, by móc pokazać
równocześnie tyłek jego sługusom”.*

Stanisław Jerzy Lec

Wyjście z sal wystawowych zostało tak dowcipnie zakonspirowane, że niestety musiałem obejrzeć cały dział współczesnego malarstwa sowieckiego. Uderzająca jest imitacja tandety zachodnioeuropejskiej. Okazuje się, że bohomy Bernard Buffet’a i Carzou są popularne nie tylko w redakcji „Figaro Littéraire”, ale także w Moskwie i Leningradzie. Smutno. Jedyną pociechą jest myśl, że ta powierzchowna imitacja Zachodu jest nieodzownym etapem asymilacji. Byle szybko się skończył.



Monsieur Ingres —

Od długich miesięcy zapowiadano wielką wystawę Jean-Dominique Ingres’a. Duży pokaz płócien i (jak twierdzą znawcy „wspaniałych”) rysunków (prosiłbym tylko o jedno porównanie z Rafaelem!). Synteza tak zwanego „dobrego gustu francuskiego”, czyli: brak temperamentu, nadrabiany pracą i studiami modeli

„historycznych”, dokumentowaniem (jak to mówiono w dziewiętnastym wieku), zupełna niewrażliwość na „mięso kolorów” zastąpiona inteligencją ręki, którą wyćwiczono w kopiowaniu „akademii”. Sztuka napoleońskich technokratów, udających wielkich panów na rzymskich posiadach, sztuka paryskiego mieszczaństwa. Każda kreska przykładana jest z taką samą starannością z jaką pan Bertin sklejał swój majątek z kolejnych kamienic. Obsesja linii, obsesja kobiecego ciała (Freud by się tutaj zabawił!). Kilogramy mięsa w „Bain turc”. Ciało Venus Anadyomene — „La Source” — żelatyna. Wspaniałe „Baigneuses” i „Odaliska”, niesamowite kompozycje w stylu historycznym, do których niestety Monsieur Ingres wcale się nie nadawał. Rzadko gdzie można się obecnie tak ubawić, jak w salach wystawy tego *pompier’a* akademizmu dziewiętnastowiecznego. Że są tam przedudne portrety i rysunki, że delirium linii i przezroczystych kolorów osiąga szczyty w dekoracyjnych sarkofagach ubraniowych tych pań-foteli z epoki Louis-Philippa? Nic dziwnego, że dzisiaj tandeta estetyczna w stylu op-art’u tym się zachwyca. Proszę tylko pomyśleć, czy ktoś odważyłby się nazwać Delacroix — Monsieur? Fi, do dobrego towarzystwa (estetycznego oczywiście), takich ludzi nie powinno się zapraszać.



„Widziałem człowieka przelewającego z pustego w próżne. Spytałem go po co to robi: Jestem nowoczesna klepsydra”.

Stanisław Jerzy Lec

Takimi artystycznymi klepsydrami naszej epoki są kraje wysoko uprzemysłowione i uporządkowane, kraje wysterylizowane. Niestety bakcyle czasami są potrzebne... do kwaszenia jogurtu... Nie należy ich doszczętnie likwidować.

Wystawa młodej plastyki kanadyjskiej w Musée National d'Art Moderne. Naprawdę ani jednego miejsca, aby się schować przed zimną tępotą op-art’u (tego złego) w wydaniu kanadyjskim. Wielkie kilkumetrowe płótna — puste, na wszystkie strony. Uciekłem. Natomiast Szwedzi³ idą bardziej ambitnie: wiadomo państwo płaci bajeczne pensje artystom. (Tak, tak, to nie żarty!). A więc: manifesty ugrupowania, poszukiwania, skonformizowany non-konformizm... różnorodność stylistyczna, ale w sumie przerażająca tandeta. Tani surrealizm i fałszowana nowoczesność. Zapominają (lub liczą na niepamięć krytyków), że podobne cudenka dadaistyczne i teatryki pop-art’u robiono z większym powodzeniem 50 lat temu. Miało to wtedy jakiś sens, nie było celem samym w sobie. Była w tej negacji estetycznej i reakcji przeciwko samemu dziełu sztuki, prawda, która poprzez destrukcję proponowała nowe idee, stymulowała proces dojrzewania

3. Wystawa „Pentacle” — Musée des Arts Décoratifs, janvier-mars 1968.

pewnych tendencji. Dzisiaj jest to plagiat, zabawa maminsynków bogatego społeczeństwa, którzy demaskują się zdaniem: *la pensée est digestion*, wypisanym na jednej z kompozycji. Jak dla kogo.

A tymczasem w Berlinie, w salach Akademii der Künste — prawdziwa bomba, wielka wystawa sztuki wschodnioeuropejskiej z lat 1910-1930. Jest to najbardziej kompletny pokaz produkcji współtwórców Rewolucji Październikowej, jaki został zorganizowany na Zachodzie, od czasów słynnego salonu berlińskiego z roku 1922. Po raz pierwszy w dziejach sztuki XX wieku, na jednej wystawie pokazano dorobek artystyczny konstruktivistów moskiewskich i ich bogate siewy wschodnioeuropejskie. Proszę sobie wyobrazić: podczas gdy magazyny sowieckich muzeów wciąż „przechowują” dzieła awangardy rosyjskiej, w Berlinie można było obejrzeć 44 dzieła Kazimierza Malewicza z kolekcji Stedelijk-Museum w Amsterdamie, 40 dzieł El Lissitzkiego, pochodzące w większej części ze zbiorów muzeum w Eindhoven, obrazy Szarszuna, Bortniuka, Popowej, Tatlina, Rodcenki, Moholy-Nagy; w sumie 285 obrazów, rzeźb, projektów architektonicznych i teatralnych, dokumentów. W tej pasjonującej panoramie, zorganizowanej przez Festwochen i Kunstverein znaleźli się Henryk Berlewi — twórca „mechano-faktur” (manifest berliński z roku 1924) i Stażewski. Pięknie wydany katalog jest prawdziwym instrumentem naukowym, na który składa się staranna dokumentacja, fachowe artykuły niemieckich historyków sztuki i wspomnienia przyjaciół Malewicza i Lissitzkiego. Pokaz tych dzieł, pochodzących z kolekcji zachodnioeuropejskich i amerykańskich, może nareszcie pomoże nowoczesnej historii sztuki docenić niezaprzeczalne pierwszeństwo poczynąń awangardy wschodnioeuropejskiej z lat 1910-1917.



„Un art sage: quelle sotte idée! L'art n'est fait que d'ivresse et de folie”.

Jean Dubuffet

„L'art culturel, celui du clan d'intellectuelles de carrière... qui se croient par définition très intelligents, bien plus intelligents que les gens ordinaires...” Czytam myśli o sztuce Jean Dubuffet'a — malarza, rzeźbiarza, *trouble fête* współczesnych gryziopiórków, wypełniających tomy papieru, pobrudzonego nieuczciwym intelektualizowaniem — o Sztuce! Sława tego twórcy rośnie nieustannie — wielkie retrospektywy w Londynie, Stockholmie, Nowym Jorku, pochlebne artykuły takich krytyków jak Gaëtan Picon, Max Loreau. Jedynie Paryż wydaje się nie doceniać znaczenia twórczości tego artysty, dąsa się na jego dzieło poprzez pogardliwy stosunek do samej osoby twórcy. Nic nie pomagają nawet duże wystawy w Musée des Arts Décoratifs (1962, 1967). Jean Dubuffet wciąż nie podoba się krytyce paryskiej, gdyż, przyznajmy szczerze, społeczeństwo przyzwyczało się

do myśli o istnieniu oficjalnych non-komformistów, buntowników posłusznych, podporządkowujących się władzom literacko-estetycznym, grających w sposób uczciwy najbardziej nieuczciwą grę na świecie — grę fałszywych non-komformistów. Ale uważa! Gdy trafia się na drodze prawdziwy twórca nowej estetyki, to dopiero jest kłopot: co z nim robić? Z początku pracę pozostawia się drobnym opluwaczom, dla których obrzydzenie i pogarda są codzienną szatą zblazowania. Potem pomija się milczeniem — a nuż sam zamilknie?... W końcu zawodowi urabiacze opinii publicznej zaczynają systematycznie robić z niego dziwaka, chcą wepchnąć go do zwariowanej kliniki dla niepoprawnych *cas*. Niby to stary system: tak postępowano z czarownicami średniowiecznymi, tak mówi się dzisiaj w dobrych salonach londyńskich o Gombrowiczu, tak piszą paryscy krytycy-analfabeci o Jean Dubuffet. A jego myśli: proszę czytać — prawdziwy *knock-out* spróchniałemu muzeum kultury zawodowych intelektualistów. Właśnie ci zacni panowie, którym tak dobrze pasują prążkowane spodnie kultury akademickiej (na całym świecie) i wyświechtane krawaty argumentacji literackiej, nauczanej na pamięć „jak to powinno być”, oni tracą głowę w obliczu twórcy, który „nie da się zwariować” systemem „konsumentów kultury w przeszku”. Nic dziwnego, że ten człowiek, zaprzeczający istnieniu sztuki „mądrej i posłusznej”, sztuki skanalizowanej w sterylnych rynnach pseudo-awangardy non-konformizmu, budzi błdy strach. Gdy pewne zarzuty nie dają sobie z nim rady (gdyż nie istnieją) mówi się wtedy o „szantażu”, auto-reklamie itd. Ja nie argumentuję mojego zachwytu teoriami Kanta i Heideggera, strukturalizmem Umberto Eco, ale proszę wziąć do ręki książkę, w której znajdują się podobne zdania: „*Il faut observer qu'une table est, par certain côté, quelque chose comme un sol surélevé*”⁴.

Andrzej NAKOV

4. *Prospectus et tous écrits suivants* — éd. Gallimard, grudzień 1967.

Komunikaty

NAGRODY FUNDACJI ALFREDA JURZYKOWSKIEGO

W dniu 26 stycznia br. odbyła się w gmachu Fundacji Alfreda Jurzykowskiego w Nowym Jorku uroczystość ogłoszenia nagród Fundacji Alfreda Jurzykowskiego za rok 1967.

Nagrody otrzymali:

Historia: Prof. Dr Marian Kukiel.

Dokumentacja Historyczna: Władysław Bartoszewski — autor

licznych publikacji z dziejów okupacji niemieckiej w Polsce. Przebywa stale w Krakowie.

Literatura: *Józef Łobodowski*. Mieszka stale w Madrycie.

Krytyka Literacka: *Mieczysław Grydzewski*.

Teatr: *Jerzy Szaniawski* — jeden z najwybitniejszych współczesnych dramaturgów polskich. Mieszka stale w Zegrzynku pod Warszawą.

Plastyka: *Stefan Mrożewski* — grafik, drzeworytnik. Przebywa stale w Kalifornii.

Zygmunt Menkes. Mieszka stale w Stanach Zjednoczonych.

Muzyka: *Henryk Mikołaj Górecki* — jeden z kompozytorów polskich młodego pokolenia. Mieszka stale w Katowicach.

Medycyna: *Doc. Dr Marian Weiss* — twórca metody natychmiastowego stosowania protez po amputacji kończyn dolnych. Mieszka stale w Konstancinie pod Warszawą.

Prof. Dr Tadeusz Krwawicz — twórca nowej metody operowania zaćmy ocznej. Metoda ta została aprobowana przez cały świat naukowy. Mieszka stale w Lublinie.

Tłumaczenia: *Prof. Dr Adam Gillon* — profesor literatury angielskiej i powszechnej na Stanowym Uniwersytecie w New Yorku.

Karl Dedecius — czołowy tłumacz współczesnych pisarzy polskich na język niemiecki.

K O M U N I K A T

Ukazała się w druku praca

GENERAŁA KAZIMIERZA SOSNKOWSKIEGO P.T. „MATERIAŁY HISTORYCZNE”,

wydana przez Instytut J. Piłsudskiego w Nowym Jorku i Londynie (Gryf Publ., Londyn, 1966) w opracowaniu *płk. Józefa Mateckiego*.

Jest to wielki tom, zawierający 717 stron, słusznie nazwany przez autora „materiałami historycznymi”, gdyż obejmuje dokumenty niezbędne dla chcących poznać najnowszą historię Polski, zwłaszcza w okresie II-giej Wojny Światowej.

Wielki ten tom, pięknie wydany, zawiera obszerną biografię autora i dzieli się na 3 części. W 1-szej „Materiały do życiorysu”, umieszczone są nieznanne dotąd a niezwykle interesujące wspomnienia gen. Sosnkowskiego, dotyczące przesileni w rządzie emigracyjnym, w Londynie 1940-1941 r., spraw polskich po konferencji w Teheranie (1943) oraz powodów usunięcia generała ze stanowiska naczelnego wodza (1944).

Gen. Sosnkowski oświetla również stosunek rządu kanadyjskiego do niego, w latach 1944-1949.

Część 2-ga książki, to rozkazy gen. Sosnkowskiego, przemówienia i wywiady w latach 1940-1963, stanowiące niezwykle cenny zbiór dokumentów, dziś tak trudnych do odszukania w prasie emigracyjnej.

Wreszcie część 3-cia, dotyczy rozmaitych spraw, zawierając wspomnienia autora z pobytu w więzieniu w Magdeburgu, materiały do konferencji międzynarodowej w Genewie w sprawie kontroli handlu bronią (1925) — omówienie roli gen. Weyganda w związku z bitwą warszawską w 1920 r., itd.

„MATERIAŁY HISTORYCZNE” można nabyć w Instytucie, 381 Park Avenue South, New York, N.Y. 10016. Cena \$ 9.00

Gryf Publication Ltd., Londyn 1966. Skład główny: Księgarnia S.P.K., 26, Queens Gate Terrace, Londyn, S.W.7.

STYPENDIA „POLONIA TECHNICA”

Stowarzyszenie Polsko-Amerykańskich Inżynierów w Stanach Zjednoczonych, POLONIA TECHNICA, INC., uchwaliło przyznać na rok akademicki 1968/1969 stypendia studentom Polakom, matrykulowanym na wyższych uczelniach zagranicznych i studiującym nauki techniczne lub im pokrewne, jak matematyka, fizyka, chemia, ekonomia przemysłowa. Wyokość stypendiów zostanie uchwalona przez Komisję Stypendialną Stowarzyszenia.

Zainteresowani studenci winni nadesłać w terminie do dnia 20 czerwca 1968 roku podania pod adresem:

Polonia Technica, Inc.
Komisja Stypendialna
36 West 56 St., Apt. 1-C
New York, N.Y. 10019, U.S.A.

Do podania należy załączyć życiorys, zaświadczenie uczelni o przyjęciu na rok akademicki 1968/9 (wydział i rok studiów), oraz referencje dwóch osób, znających osobiście kandydata.

Zaświadczenia uczelni dla kandydatów, ubiegających się o stypendia nie po raz pierwszy, winny zawierać wykaz egzaminów, złożonych w 1967/8 roku. Podania winny być indywidualne; podania grupowe nie będą rozpatrywane.

Zawiadomienia o wynikach podań wysłane zostaną w drugiej połowie lipca br.

ZARZĄD „POLONIA TECHNICA, INC.”

Jan G. Holm

Przewodniczący Komisji Stypendialnej



Redakcja „Kultury” poszukuje następujących książek:

- 1) Sergiusz Piasecki: *Zapiski oficera Armii Czerwonej*, Londyn 1957.
- 2) *Brygada Strzelców Karpackich* (Wyd. Sekcji Wydawniczej na Środkowym Wschodzie).
- 3) Bronska-Pampuch: *Polen zwischen Hoffnung und Verveilung*.
- 4) Brigitte Gerland: *Die Hölle ist ganz anders*.

Refleksje z Lindenfels

Z największym zawsze zainteresowaniem czytuję „Przegląd niemiecki” S.W.Kozłowskiego. Daje bowiem doskonałe podsumowanie bieżących informacji, cennych nawet dla tego, kto z wnioskami autora o wydarzeniach w Niemczech może się nie zgadzać. Raczej krótka notatka w numerze styczniowym *Kultury* o ostatnim polsko-niemieckim sympozjonie w Lindenfels, poświęconym tzw. „przemianom społecznym w Polsce”, była równie rzeczowa jak ścisła. Niewątpliwie, jak pisze Kozłowski: „wszystkie referaty i dyskusyjne wypowiedzi cechowała wnikliwa znajomość tematów”. Podzielam też zdanie autora o wielkim znaczeniu i zasługach prof. Gottholda Rhode, którego osobiście uważam za najznakomitszego znawcę dziejów Polski, a jego rzetelną pasję dla obiektywizmu historycznego podziwiam, i pozostaję jej niezmiennym wielbicielem. Wszelako ostatnie spotkanie w Lindenfels, w którym brałem udział, nasuwa mi osobiście pewne refleksje.

Z góry została ustalona arcysłuszna zasada, że obrady odbywać się będą pod znakiem ściśle naukowym, nie politycznym. Z referatów i dyskusji można się było istotnie sporo dowiedzieć i nauczyć. Utrzymane były zarówno ze strony polskiej jak niemieckiej na wysokim poziomie. Przy tym wszystkim wszakże nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że obowiązywała je nieoficjalnie przyjęta klauzula, którą pozwoliłbym sobie na poczekaniu przezwąć: „jak gdyby”... To znaczy: jak gdyby Polska dzisiejsza, owa PRL, przedmiot sympozjonu, nie była przede wszystkim tworem na wskroś komunistycznym, nie stanowiła integralnej części bloku komunistycznego. Lecz czymś samym w sobie. Wpadły mi w ucho różnorakie zastępcze definicje ustroju panującego w Polsce. Zanotowałem określenia jak: totalitarny, autokratyczny, nawet „rządy mechaniczne”, jednopartyjne, i inne. Wszystko to racja. Dlaczegoś jednak terminu najprostszego, a zarazem najściślej naukowego: komunistyczne, starano się możliwie wymijać.

Powiedzmy np., w swoim niezmiernie ciekawym referacie: „Społeczeństwo polskie i życie gospodarcze; stosunki dawne i teraźniejsze”, dr Georg Strobel z Kolonii, poruszył bardzo dużo momentów z dziedziny moralnej i materialnej, przede wszystkim jednak gospodarczej, ilustrując statystyką porównawczą z okresu „Polski przedwojennej” (zresztą przeważnie na jej niekorzyść). Jak gdyby „Polska powojenna”, PRL, była w prostej linii przedłużeniem Polski niepodległej. Zapomniał natomiast wspomnieć o różnicy kapitałnej, mianowicie że to co było w rozwoju gospodarczym Polski przedwojennej — złe czy dobre — opierało się na prywatnej własności i prywatnej inicjatywie. Stanowiło więc różnicę z tym co jest, nie ilościową, lecz jakościową. Ze wszystkimi pochodnymi stąd przejawami codziennego życia ludzkiego, tak odmiennego od życia w ustroju dzisiejszym. Moim zdaniem, obraz rzeczywistości, skoro ma być naukowo ścisły a nie schematyczny, tej rzeczywistości oddać nie jest w stanie jeżeli pomija czynnik czysto ludzki — *den menschlichen Faktor* — jak to słusznie zauważył monsignore Gallish, jeden z uczestników sympozjonu. Na także wysokim poziomie utrzymany był referat dra Hartmanna z Marburga, o „przemianach społecznych w szkołach wyższych i w życiu naukowym”, dzisiejszej Polski. Zdaje się, że słowo „komunizm” nie padło w jego sformułowaniach ani razu, i w żadnej odmianie przypadkowej. Mniej więcej podobnie było z innymi referatami.

W ten sposób wydało mi się, że praktyka odbiega tu co nieco od naukowego założenia. Uciekając od polityki, w nią się, mimowoli, niejako trafiało. Czy też do jej fluktuacji przystosowywało. Bo czy to z obawy — ja wiem... — oskarżenia o wyklęty dziś antykomunizm, lub z innych względów, popadało się akurat w nurt tych niedomówień cechujących bieżącą politykę. Tzn. niekiedy w abstrakcję „Wunschtraumu”.

Prof. Rhode zareplikował mi żywo, że przecież wszyscy uczestnicy wiedzą doskonale w jakim ustroju leży Polska dzisiejsza!

Na pewno. Ale odkąd to badania ściśle naukowe, usiłują unikać ścisłej terminologii i ustalania ścisłego położenia w przestrzeni badanej rzeczy? To po trochu tak, jak gdybyśmy mówili o mieszkańcach, faunie, florze i kopalnianych bogactwach wyspy Spitzbergen, umawiając się wszakże że postaramy się nie drażnić uszu stwierdzeniem, że wyspa ta leży za kołem polarnym. Tymczasem, dopiero to podstawowe stwierdzenie daje nam możliwość rozeznania całości obrazu.

Tego obrazu nie otrzymujemy wydzielając dowolnie PRL z całości bloku komunistycznego, do którego należy nie tylko formalnie, ale i faktycznie. Co zresztą Gomułka podkreśla w każdym nieomal przemówieniu. W Lindenfels słyszało się, powtarzam raz jeszcze, wiele pouczającego. Np. znakomity referat Witolda Jedlickiego o „problemie generacji w Polsce dzisiejszej”. Także z dziedziny czystych danych statystycznych, jak np. bardzo ciekawy referat dra Breyera na temat: „Przemiany ludnościowe, rozwój i rozmieszczenie”. (Nawiasem dodam od siebie: podobnie

jak w referacie dra Strobla, wiele zjawisk znamienych dla wszystkich krajów komunistycznych. Gwałtowna ucieczka do miast, jak w Sowietach; fatalny przerost kobiet zwłaszcza na wsi, jak w Sowietach, etc. etc.). Na ogół jednak zestawień z innymi krajami komunistycznymi nie czyniono. W sumie ograniczono materiał porównawczy „powojennych przemian społecznych w Polsce” do „Polski przedwojennej”, co było moim zdaniem zestawem raczej chybionym. Gdyż nie zachodzi tu żadna ciągłość.

Nawet nie stając na tym stanowisku, na którym ja stoję osobiście — że mianowicie współczesna Polska komunistyczna nie jest przedłużeniem historii Polski, lecz przedłużeniem tej historii, którą zapoczątkowała rewolucja bolszewicka w roku 1917 — dla uzyskania pełnego wglądu w rzeczywistość PRL i jej pozycję za kołem polarnym komunizmu, niezbędne wydają się materiały porównawcze ze współczesnej rzeczywistości SSSR, DDR, CSR, RPR itd. O wiele bardziej niż z tym, co było w Polsce niepodległej sprzed 1939 r. Gdyż w tym wypadku zachodzi obawa popadnięcia w pomieszanie pojęć i kryteriów jakościowych. Czy moglibyśmy zestawić np. wielką reformę sądownictwa rosyjskiego za Aleksandra II z normami prawnymi sądownictwa sowieckiego? Absurd. Niezależnie od tego, że każdoporównawcze sięganie wstecz, chociażby o 50, 30, czy nawet tylko o 20 lat, bez pilnego uwzględnienia współczynnika czasu, dać nam może zupełnie krzywe zwierciadło. Jak to, którym posługuje się propaganda sowiecka: „W carskim Petersburgu nie było ani jednego radioodbiornika, a w dzisiejszym Leningradzie setki tysięcy. Oto miara postępu przeobrażeń bolszewickich!”



Naturalnie interesowało mnie najbardziej omówienie dziedziny intelektualnej, literackiej. Świetny referat na temat: „Echa przemian społecznych w powieści, w dramacie i w filmie”, wygłosił Armin Dross. Niemniej utrzymany był również w ogólnych ramach wspomnianej konwencji programowej.

W prawdziwość tych przemian, w ich istotę, poza uleganiem nakazom partii, ja osobiście głęboko nie wierzę. Przyznaję jednak, że moje odosobnione zdanie — chyba ostatniego wśród żyjących Polaków kontrrewolucjonisty — może nie być interesujące. Zasłaniam się przeto wypowiedzią — o kontrrewolucję nie podejrzanego — byłego komunisty i poety Aleksandra Wata, który kiedyś napisał:

„Jak może tworzyć się kultura narodowa, gdy wszystkie podstawowe słowa, jak wolność, prawda, sprawiedliwość, dobro ludu, są od podstaw fałszowane!”

O jakiej-że więc literaturze, lub jej przeobrażeniach, pod ciśnieniem podobnej atmosfery, może być mowa?

Jestem w największej niezgodzie z tzw. „linią” polityczną *Kultury*, ale w danej dziedzinie pozwoliłem sobie użyć jej za własny

puklerz. Komplement, czy nie komplement, ważne wydaje mi się co innego. To mianowicie, że redaktor *Kultury* zdaje się rozumieć, iż do spraw kultury nie podchodzi się z linią w rękę, którą się trzepie po palcach inaczej myślących, lecz z wolną myślą i wolnym słowem. Jakkolwiek jest to zwrot patetycznie wyszargany, wtrącam go wszakże, aby wykazać do jakiego stopnia, przy „niezłomnym” utrzymaniu poziomu kulturalnego, prawda obiektywna potrafi w końcu wypłynąć ponad każdą „linię” polityczną. W ten sposób zawdzięczamy *Kulturze* Witolda Jedlickiego, którego wystąpienie sprzed kilku laty chce mi się nazwać prawie epokowym. Rozpędził bowiem załgane mity, zahamował cielejący zachwyt rozpętany wokół „Polskiego Października”. I na emigracji można było znowu trochę dyszeć.

Z kolei zawdzięczamy *Kulturze* Leopolda Tyrmanda. Pomijam jego znakomite pióro. To co mi się w tej chwili wydaje najbardziej przełomowe w wystąpieniu Tyrmanda, to zerwanie przez niego tej wstydlivej woalki, która za pośrednictwem nie-domówionej terminologii, lata całe usiłuje przesłaniać nam nagą rzeczywistość PRL. Nie waha się on nigdzie użyć ścisłego, a więc zgodnego z prawdą obiektywną przymiotnika. Na każdym kroku pisze: władze komunistyczne, partia komunistyczna, rządy komunistyczne, życie w ustroju komunistycznym. Pisze, nie obwijając w spekulacyjną bawełnę, tak jak jest naprawdę: Polska komunistyczna... Pisze: komunizm niszczy człowieka za niezależność myśli, za poczucie godności, za sprzeciw kłamstwu. Pisze: nie mogłem przystać ażeby noc nazywać dniem, drzewo lokomotywą, ciemnotę kulturą, prawdę nieprawdą. Pisze: literatura, polityka wydawnicza, wszystko należy do Politbiura. Jest własnością partii komunistycznej.

Kulturze zawdzięczamy wypowiedzi Januarego Grzędzińskiego. Pisze on: U nas wszystko jest państwowe... Drukuje się tylko książki, które przejdą przez ucho igielne Komitetu Centralnego partii... Oblicze książki rzadko odpowiada intencjom autora...

Wat, Jedlicki, Tyrmand, Grzędziński... Czy ci panowie łżą, że tak się dzieje z literaturą w PRL-u, czy mówią prawdę? Osobiście jestem nie tylko przekonany, ale: wiem, że mówią prawdę.

— Ee, to są ludzie rozgorzyczni... — złagodził moje wystąpienie jeden z polskich uczestników sympozjonu w Lindenfels.

Przewodnictwo podczas dyskusji na temat „przeobrażeń literatury w Polsce dzisiejszej”, objął Karl Dedecius. Bezsprzecznie najlepszy dziś tłumacz poezji polskiej na język niemiecki. Laureat warszawskiej nagrody na Kongresie Tłumaczy. Zasłużenie, *persona grata* w Polsce komunistycznej. Przetłumaczył dziesiątki jej literatów. Między innymi opowiadał z ciepłem, jak doszło do wydania w Niemczech zachodnich ostatniej antologii prozy polskiej pod jego kierownictwem, do której włączył też kilku pisarzy emigracyjnych. O ile go dobrze zrozumiałem, będąc w Krakowie, porozumiał się uprzednio z pewnymi osobami w Polsce komunistycznej, czy nie będą miały zastrzeżeń przeciwko włączeniu tych pisarzy emigracyjnych do — reprezentacji lite-

ratury polskiej na Zachodzie (!)... Osoby te nie miały zastrzeżeń w stosunku do tych pisarzy.

W tym wypadku nie zabierałem głosu. Jasne jest bowiem, że z braku zdolności pisarskich nie mogłem być brany pod uwagę przez redakcję antologii prozy polskiej na Zachodzie. Ale założmy — chociażby we śnie — że osiągnąłbym kiedyś takie szczyty talentu literackiego, jak figurujący w antologii Jerzy Zawieyski, Bohdan Czeszko, Leo Lipski, Tadeusz Nowakowski, Kazimierz Brandys... — czy i wtedy moje prawo do reprezentowania „Polnische Prosa” w Niemczech zachodnich, zależałoby od aprobaty pewnych osób w Polsce komunistycznej? Wynikałoby, że tak. Przyznam, iż w tamtej chwili cieszyłem się nawet z nieposiadania talentu, gdyż perspektywa zależności od aprobaty z takiej strony wydała mi się, szczerze mówiąc: straszna!

Powiodłem po twarzach obecnych. Nikt nie wydawał się tą procedurą zgorszony, raczej przychylnie słuchając wywodów Karla Dedeciusa.



Naturalnie, ze stanowiska klasycznie polskiego, w podejściu do spotkań tego rodzaju jak w Lindenfels, zachodzi aspekt jeszcze nadrzędnej kategorii. Tzw. „stosunek do Niemców”.

Jeden z polskich uczestników, przybyły świeżo z kraju, po wysłuchaniu wspomnianego już referatu dra Hartmanna o „przemianach w szkołach wyższych”, utrzymanego w tonie optymistycznym — impulsywnie zareplikował. Z wielką znajomością rzeczy wyłożył jak jest naprawdę. To, co powiedział, zawierało momenty nieraz rewelacyjne, a obraz rzeczywistości, poza oficjalną statystyką, wyłaniał się w całej jego ponurości. Wszakże w dalszym ciągu dyskusji znacznie złagodził, i miałem wrażenie jakby się trochę z tego pierwszego impulsu wycofywał. Gdy zapytałem go później prywatnie o przyczynę tej zmiany, odpowiedział: „Ach, wie pan... Nie chciałem już, żeby wszystko tak czarno wyglądało...” — Domyślam się. Zapewne kołacze się tu gdzieś wpływ klasycznej emocji politycznej: w zetknięciu z kontrpartnerem niemieckim, *raczej* solidarność z Polską komunistyczną... — Ja uważam to podejście za niesłuszne. Większość uważa za słuszne. Ale, niezależnie od różnicy zdań: co ono ma wspólnego z podejściem naukowym?

Od tej marginesowej dygresji dochodzimy do odwiecznego punktu wyjściowego: „Słoń, a sprawa polska”. Po stu latach skurczona do: „Słoń, a sprawa Odry i Nysy”. Niech. Ale co to ma wspólnego z podejściem naukowym do rzeczywistości Polski komunistycznej?

Moim zdaniem nie tylko nic, ale w utrwalonej formule emocjonalnej, stanowi duże i niebezpieczne obciążenie dla rozwoju wolnej myśli i kultury narodowej. Nie można przecie bezkarnie całego narodu, na dziesięciolecia, doprowadzać do stanu zamkniętego klubu, czy też skurczać do jakiegoś ONR gdzie — nie

byłem ale sądzę — obowiązywała wszystkich członków legitymacja antysemityzmu; jak dziś od niemowlęcia i niańki jego, do intelektualistów, biskupów i profesorów uniwersytetu, całość narodu obowiązuje legitymacja antygermanizmu. Bo to na dłuższą metę nie tylko ogłupia, ogranicza swobodę ruchów, zawęża widnokrąg, ale jak każdy uraz psychiczny, okalecza umysłowo.

Pod tym względem polsko-niemieckie spotkania w Lindenfels stanowią raczej poważny wyłom. Tak dalece nawet, że na ostatnim spotkaniu, ja z moim skromnym *votum separatum* w ocenie „przemian społecznych w Polsce”, znalazłem się w rezultacie w obliczu bratersko zwartego frontu polsko-niemieckiego... Jak to określił Witold Jedlicki: „po innej stronie, niż cała sala”.



Mógłby ktoś odnieść błędne wrażenie, że odnoszę się do ostatniego spotkania w Lindenfels niechętnie, czy nawet ironicznie. Nic podobnego. Jestem jego entuzjastą. Doceniam w zupełności wagę zetknięcia z uczonymi niemieckimi, zresztą i wzajemnego poznania między Polakami, z którymi nie zawsze nadarza się okazja spotkać; wymiany poglądów, dyskusje, i to wszystko co się przeżywa podczas ciekawych zebrań wśród ludzi o wysokim poziomie intelektualnym. Ale nie ograniczając się tylko do krytyki i pochwał, chciałbym zgłosić pewien wniosek konkretny:

Polska cała jest pod panowaniem komunistycznym. Niemcy w połowie pod panowaniem komunistycznym. Czy więc nie narzuca się samo przez się, nie wydaje bardziej celowe, jeżeli o polsko-niemieckie, takie jak w Lindenfels spotkania chodzi — ażeby obydwie strony miast poświęcać się opisowemu badaniu jednego kraju, poddały porównawczej konfrontacji obydwie opanowane przez komunizm kraje? Nie mamy takiej okazji w stosunku do innych „republik ludowych”. A Niemcy Federalne z ich bogactwem instytutów badawczych, dostarczyć mogą ogromnego materiału. Tzw. wymiana wzajemnych doświadczeń, nie w sowieckim stylu tego słowa, lecz w stylu ścisłej analizy naukowej, mogłaby dać wiele cennego w dziedzinie zapoznania z podkomunistyczną prawdą. Każde zestawienie byłoby w tym wypadku ważne. Zarówno różnice, jak podobieństwa, jak tożsamość zjawisk, metod, reakcji społeczeństwa, przeobrażeń etc. etc., pogłębiałoby znacomie naszą wiedzę o istocie rzeczy po tamtej stronie kurtyny. Bez względu na obowiązujące dziś kryteria, podziały i terminologię polityczną. Nauka nic nie uzyskuje od polityki. Natomiast polityka może dużo uzyskać od nauki.

Gorąco namawiałbym do przeprowadzenia podobnej naukowej konfrontacji. W imię wiedzy o współczesnym człowieku, i o dziejach które przeżywamy.

Józef MACKIEWICZ

Monologi arabsko-izraelskie

Numer specjalny redagowanych przez Sartre'a *Les Temps Modernes*, poświęcony konfliktowi arabsko-izraelskiemu, ukazał się dosłownie na kilka dni przed wybuchem *Blitzkrieg'u* na Bliskim Wschodzie. Odtwarza on atmosferę moralną po obu stronach tuż w *ante-bellum* i jest dokumentem zaiste niezmiernie interesującym i cennym. Bez dokumentu tego żaden przyszły historyk owych wydarzeń nie będzie mógł się obyć.

Jest to dokument o rozmiarach imponujących. 991 stronic wypowiedzi, oświadczeń i podawania faktów wymaga czasu na przestudiowanie i strawienie. Szczególnie to ostatnie. Strawić tę masę, przemyśleć jej zawartość, nie jest czymś prostym. Zwłaszcza że niejedno wymaga porównania i sprawdzenia.

Redakcja *Les Temps Modernes* mówi o tym jako o „Dossier”*. Jest to określenie zapewne najszustniejsze. W żadnym wypadku nie można tu mówić o dyskusji, o dialogu, o jakiejś konfrontacji ścierających się poglądów, o konfrontacji, której ostatecznym celem jest jakieś kompromisowe praktyczne rozwiązanie. W najmniejszym stopniu tendencji takiej nie wykazuje strona arabska, choć wyraźnie istnieją skłonności w tym kierunku po stronie izraelskiej. Ale dialog musi być obustronny. Oświadczenia Arabów zamyka Ali Elsamman artykułem: „Pourquoi le 'non' au dialogue?” Idea artykułu jest niedwuznacznie sformułowana w tytule. O dyskusji z Izraelem, o dialogu nie może być mowy. Istnieje tylko „albo-albo”, przy czym strona arabska nie wątpi, że chodzi tylko o jedno „albo”.

Są tu więc dwa monologi. Jest monolog arabski i jest monolog izraelski. Z tym jednak, że w monologu izraelskim zachodzi cała gama stanowisk, że poza zasadniczą ideą — istnienie Izraela jako narodu i państwa — uderza tam różnorodność koncepcji i prób rozwiązania. Po stronie arabskiej różnorodności takiej

* *Les Temps Modernes*. 1967, No. 253 bis: *Le conflit israélo-arabe. Dossier*.

nie widać. Jest tam stanowisko jednolite, jednolite w zasadniczej koncepcji i jednolite w szczegółach. A również jednolite w ogólnym klimacie. Tak jest przynajmniej w zespole arabskich współpracowników numeru *Les Temps Modernes*. Redakcja chciała do udziału w numerze zaprosić arabskich przedstawicieli idei porozumienia. Konkretnie chodziło tu o Algierczyka A. Razak Abdel-Kadera. Stało się jednak dla niej oczywiste, że udział Abdel-Kadera przekreśliłby możliwość ukazania się całego numeru. Uczestnicy arabscy zgodnie oświadczyli, że albo oni albo p. Abdel-Kader! To samo już jest dokumentem historycznym i psychologicznym, rzucającym światło na stan rzeczy po stronie arabskiej. Decyduje tu napięcie emocjonalne, odrzucające możliwość wewnętrznej dyskusji, nie dopuszczające do rozbieżności stanowisk, Zaiste wypowiedzi trzynastu autorów arabskich nużą i przygnębiają jednolitością argumentacji i klimatu emocjonalnego.

Fakt, że strona izraelska daje szerokie pole dla różnorodności poglądów (trafiają się tam bardzo krytyczne oceny polityki Izraela i syjonizmu), jest czymś wysoce orzeźwiającym. Trudno jest też oprzeć się przekonaniu, że strona izraelska reprezentuje atmosferę rzeczywistej demokracji, że wprowadza elementy racjonalne, że unika sztampy. Strona arabska jest monolitem, ale jakże totalitarnym, jakże czysto emocjonalnym i dalekim od tradycji Zachodu!

Teoretycznie rzecz biorąc, jedno łączy Arabów i Żydów. Wszyscy oni (po stronie żydowskiej wyjątkami są Nahum Goldmann i zapewne przedstawiciel izraelskich Druzów Salman Falah) reprezentują różne odcienie lewicowego radykalizmu. To zresztą wynika z charakteru *Les Temps Modernes*. Z natury rzeczy redakcja zwróciła się do przedstawicieli lewicy po obu stronach. Wśród autorów izraelskich znaleźli się lewi socjaliści, komuniści, itp. Po stronie arabskiej występują socjalistyczni nacjonaliści. Stąd swoista radykalna frazeologia obowiązuje po obu stronach, frazeologia — przynajmniej w moich uszach — brzmiąca dość archaicznie. Frazeologia ta jednak jest bardziej stłumiona, bardziej deklaratywna po stronie żydowskiej. Doświadczenia państwowe, udział praktyczny w tworzeniu nowoczesnej demokracji narzuca żydowskiemu radykałom konieczność posługiwania się bardziej ostrożnymi formułkami. A przede wszystkim konieczność bardziej ostrożnego i kompromisowego działania. Po stronie arabskiej mamy typowych radykalnych inteligentów, o dość ograniczonym polu działania praktycznego, mamy ludzi swoją frazeologią przyjmujących bardzo poważnie i w niej się wyżywających.

To ostatnie było dla mnie szczególnie interesujące. Od dawna zajmuję się rolą, jaką radykalna inteligencja odgrywała i odgrywa w ruchach ideologicznych naszej epoki. Wypowiedzi arabskich radykalnych inteligentów dostarczyły mi dużo pasjonującego materiału, ilustrującego wnioski do których doszedłem na innej drodze. Jest to radykalizm środowiska intelektualistów (mniej

lub więcej „dopieczonych”), którzy w ten czy w inny sposób znaleźli się na marginesie rozpadających się tradycyjnych systemów kulturowych i społecznych. W tym radykalizmie arabskim nie trudno było słyszeć odgłosy tego, co w wieku XIX zachodziło w różnych analogicznych środowiskach europejskich. Może jedynie bardziej emocjonalne, mniej racjonalne, bardziej fanatyczne. Może! Przedstawiciele izraelscy już z tego marginesu zeszli, już zdolali znaleźć dla siebie wyraźne miejsce w obrębie nowoczesnego systemu demokratycznego. I to się odnosi także do izraelskich Arabów, którzy formą i treścią swych wypowiedzi bardzo się różnią od swych pobratymców po drugiej stronie barykady. Na szczególną uwagę zasługuje tu piękny w formie esej arabsko-izraelskiego pisarza Atallah Mansoura.

Strona arabska reprezentowana jest przez trzynastu autorów. A raczej czternastu. Albowiem po stronie arabskiej znalazł się Żyd francuski Maxime Rodinson. Jest godne uwagi, że strona żydowska spokojnie przyjęła fakt wystąpienia proarabskiego Żyda. Nie protestowano, nie zapowiadano zerwania całej imprezy. Co spotkało p. Abdel-Kadera, nie spotkało p. Rodinsona. Obiektywnie trzeba jednak zauważyć, że Rodinson w żadnej mierze nie utożsamia się z Izraelem, że natomiast Abdel-Kader jest Arabem.

Wypowiedź Rodinsona zasługuje na specjalną uwagę. Trzeba jasno powiedzieć, że osiemdziesięciostronicowy jego artykuł jest jedyną zwartą i racjonalną prezentacją stanowiska arabskiego. Jest logiczny, konsekwentny, nie spaczony przez gwałtowny emocjonalizm. Zdaje się on potwierdzać tezę o historycznej funkcji Żydów racjonalizowania wszelkich tendencji ideologicznych, nadawania im formy zwartej i systematycznej. Żaden z autorów arabskich nie sformułował tak zważenie, logicznie i spokojnie stanowiska arabskiego, jak to zrobił ten francuski Żyd.

Przyznaję się, że w okresie przedwojennym podpisałbym się pod niejednym (choć nie pod wszystkimi!) z wywodów Rodinsona. Niewątpliwie Palestyna była krajem bardzo słabo zaludnionym, straszliwie zaniedbanym i prymitywnym, ale była krajem arabskim. Niewątpliwie tradycje Palestyny odgrywały kolosalną rolę w żydowskich wierzeniach, w całej żydowskiej kulturze, w samym procesie budzenia się żydowskiej świadomości narodowej. Ale syjonizm jako koncepcja ideologiczna i jako zjawisko polityczne wychodził z założenia *Blut und Boden*, był koncepcją zdecydowanie nacjonalistyczną, która przy próbach realizacji (wyglądały one wtedy wysoce utopijnie!) musiała prowadzić do konfliktu z Arabami. Na terenie polskim syjonizm był konsekwencją endecji, przejmującą endeckie metody myślenia i endeczką filozofię. I stąd wywody Rodinsona w owych czasach pod wieloma względami odpowiadałyby moim własnym poglądom.

Ale sam Rodinson w zakończeniu swych długich rozważań dochodzi do momentu, który oddala go od Arabów i który dziś i dla mnie jest całkowicie do przyjęcia. Jest nim stwierdzenie faktu nieodwracalności pewnych procesów historycznych, faktu,

że powstała zupełnie nowa sytuacja dziejowa, że była Druga Wojna Światowa, że był hitleryzm, że Izrael powstał, że istnieje, że jest częścią naszej rzeczywistości. Rodinson mówi tu o rozwiązaniu pokojowym. A jakież inne pokojowe rozwiązanie jest możliwe, jak nie przyjęcie tych nieodwracalnych faktów historycznych?

To jest odrzucane przez stronę arabską. Czytając trzynaste tych wywodów ma się stałe wrażenie, że autorzy arabscy uciekają od historii, że starają się jej zaprzeczyć. A przed historią uciec nie można, jak to ongiś pięknie powiedział Lincoln.

Ludzie, którzy uciekają przed historią, chętnie posługują się argumentami historycznymi. Argumenty takie jakże często stają się próbą odrzucania realnych faktów historycznych, realnych przemian zachodzących w dziejach. Współpracownicy arabscy hojnie tymi argumentami operują. Jest rzeczą wysoce prawdopodobną, że arabscy mieszkańcy Palestyny i Syrii pochodzenie są bardziej starożytnymi Hebrajczykami niż europejscy Żydzi. Jest rzeczą bezsporną, że nie ma rasy żydowskiej. Jest rzeczą pewną, że żydostwo dzisiaj jest produktem Europy i Ameryki, że reprezentuje kulturę Zachodu, że itd. itd.

Niewiele jednak z tego wynika. Jest faktem, że izraelscy Żydzi tworzą swoistą grupę narodową, że przetwarzają się w całość kulturalną, że stworzyli państwo, które zdaje wobec historii egzamin i to całkiem nieźle. A może więcej niż nieźle. I stąd argumenty arabskie brzmią tak nieprzekonywująco, są tak irracjonalne. To jest ucieczka przed historią.

Jest to szczególnie oczywiste, gdy chodzi o arabski program konkretnego rozwiązania zagadnienia konfliktu izraelsko-arabskiego. Z oburzeniem przedstawiciele Arabów odrzucają, by byli antysemitami. Antysemityzm? Skądże! Sami są Semitami, Żydom życzą jak najlepiej. Ostatecznie w przeszłości stosunki arabsko-żydowskie były doskonałe. Wystarczy wskazać na Hiszpanię. Walczą ze syjonizmem, z żydowskim kolonializmem, za którym kryje się kolonializm kapitalizmu zachodniego. Czytając te wypowiedzi, przypominają się stosunki światka polskiego. Żaden z emigracyjnych polskich endeków nie twierdzi, by kiedykolwiek był antysemitą. Antysemityzm w Polsce? Nigdy go nie było. Nikt Żydom źle nie życzył. Była walka z zażydzeniem kraju, z zalewem żydowskim, była walka o усвоjszczenie polskiej kultury czy polskiego handlu. Spotkałem się gdzieś z wywodem, że przecież Polska przedwojenna miała w swych granicach tylu Żydów, iż starczyłoby na trzy Estonie... Autor tych wywodów mógł się być również powołać na porównanie z ludnością Luxemburga, lub San Marino czy Monaco. Choć mógł się być również powołać na zaludnienie Chin czy Indii! Oczywiście zagadnienie było w czymś innym i gdzie indziej leżało. Tak samo jak i dziś leży zupełnie gdzie indziej niż to sądzą arabscy miłośnicy Żydów.

Motywe, który stale powtarza się w wywodach Arabów, jest patrzenie na Izrael jako na narzędzie kolonialnej polityki imperialistycznych mocarstw zachodnich. Rozwija to zresztą i

Rodinson. Stale wraca porównanie z Unią Południowo-Afrykańską. Łatwo jest zrozumieć propagandową wymowę tego argumentu. Kolonializm, imperializm zachodni — ma to mocny wydźwięk na terenach Afryki i Azji. Ale czy porównanie z Afryką Południową ma jakiś sens? Ostatecznie cała organizacja państwowa i społeczna Unii opiera się na rządach białej mniejszości nad czarną większością i na eksploataowaniu tej ostatniej. W Izraelu nie ma nawet śladu podobnego stanu rzeczy. Dodajmy też, że czarne programy przebudowy Unii Południowo-Afrykańskiej nie idą w kierunku wyrzucenia czy wymordowania białej mniejszości. Chodzi o równouprawnienie, o ustrój oparty na równości wszystkich ras.

Rozwiązanie proponowane przez Arabów jest dobrze znane: likwidacja Izraela, powstanie na jego miejscu arabskiego państwa palestyńskiego, w którym zostałyby ludność żydowska sprzed podziału. A reszta „syjonistów” wróciłaby do krajów, z których przyszła. Rozwiązanie idealnie proste. Wypadki czerwone stwierdziły jednak, że nie jest ono aż tak proste.

Warto tu zauważyć, że duża część „syjonistów” izraelskich przyszła z krajów arabskich. Zaszła tu swego rodzaju wymiana ludności. Nie był to jej pierwszy wypadek od wojny lat 1914-1918. Wymieniały ludność Grecja i Turcja. Po drugiej wojnie ludność wymieniły Indie i Pakistan. Masowe wędrówki zaszły na Wschodzie Europy. Żeby tylko wymienić Polskę. Nie były to rzeczy przyjemne dla tych, którzy musieli wędrować. Były to tragiczne konsekwencje wielkich wstrząsów historycznych, gruntownie zmieniających oblicze świata. We wszystkich tych wypadkach uchodźcy znajdowali dla siebie jakieś nowe miejsce i — choć nie bez cierpień — włączali się w nurt życia na nowym osiedleniu. Znajdowali w tym pomoc zainteresowanych krajów. Wymiana żydowsko-arabska stale zachowuje zjawisko uchodźców, stale — po stronie arabskiej — nie przyjmuje faktu zmiennej sytuacji historycznej.

W ostatecznym wyniku miejsca na kompromis nie ma. Walka z Izraelem to walka wyzwolenicza według znanej terminologii. Jeden z autorów wylicza przeszło 12 tysięcy wypadków izraelskiej agresji w stosunku do krajów arabskich. Ale czy nie było i odwrotnie? Czy przypadkowo nie zachodziły akty arabskiej agresji w stosunku do Izraela? Ależ skąd! To były jedynie próby powrotu prawych właścicieli na ziemi, które im bezprawnie były zabrane. Czyli — walka wyzwolenicza.

Interesujący jest wywód, stwierdzający „bezprawność” uchwał Narodów Zjednoczonych o podziale Palestyny i o przyjęciu Izraela na członka tej organizacji. Były to uchwały bezprawne, albowiem w owym czasie do Narodów Zjednoczonych nie należała przeszło połowa ich obecnych członków. A gdyby dziś takie rezolucje były stawiane, to wynik głosowania byłby zupełnie inny! Jest to zachwycająca konstrukcja prawnicza. Najlepsze jest to, że jest traktowana zupełnie poważnie.

Dość żenujące jest dla radykałów arabskich stanowisko So-

wietów w latach 1948 i 1949. Ta sprawa w numerze *Les Temps Modernes* jest delikatnie przemilczana. Jest ona natomiast gorąco podnoszona przez izraelskich komunistów. W kilka dni po ukazaniu się numeru mogła być po obu stronach nastąpić volta. Nie sądzę, by izraelscy komuniści czuli się dziś bardzo szczęśliwi.

Strona izraelska reprezentowana jest przez Żydów, Arabów izraelskich i jednego Druza. Tu też znalazł się Żyd francuski Robert Misrahi, stanowiący niejako przeciwwagę dla proarabskiego Rodinsona. Jak już zaznaczyłem, nie ma tu jednolitości. Są różne odcienie i koncepcje. Jest też krytyka — niekiedy bardzo ostra — polityki rządu izraelskiego i syjonizmu. Arabowie izraelscy mają tu wiele do powiedzenia i nie są to rzeczy przyjemne. Umieszczone zostało nawet zbiorowe oświadczenie młodzieży arabskiej Izraela, skierowane do Sekretariatu Narodów Zjednoczonych. Jest ono bardzo krytyczne, opozycyjne i protestacyjne.

Niemniej jednak izraelscy Arabowie stoją na gruncie faktu istnienia Izraela i szukają porozumienia. Niektórzy z nich (Mohammad Wataad, Atallah Mansour) widzą w Arabach izraelskich element zbliżenia obu wrogich obozów i sądzą, że na tym powinna polegać ich misja historyczna. Nie są „marionetkami”. Wiele rzeczy krytykują, na wiele się skarżą. I wiedzą, że w skargach swych mają za sobą poparcie wielu Żydów.

Dominantą oświadczeń żydowskich jest chęć pokoju, dojścia do jakiegoś konstruktywnego porozumienia z arabskimi sąsiadami. I to jest wspólne wszystkim wypowiedziom strony izraelskiej. Nie przemilczane są błędy dotychczasowej polityki, szukane są próby nowych rozwiązań, które by stworzyły miejsce pod słońcem dla wszystkich mieszkańców tej części naszego globu. Projekty współpracy gospodarczej arabsko-izraelskiej są traktowane bardzo poważnie i przekonywująco. Wszystko to ma charakter dorosły i rzeczowy. Widać, że ludzie, którzy o tych sprawach mówią (Yoram Nimrod, Shaul Zaehi, Micael Shefer) znają się na rzeczy, że mają coś do powiedzenia.

Strona izraelska stanowi prawie dwie trzecie olbrzymiej książki. Jest tam masa uwag ciekawych, niekiedy dyskusyjnych, niekiedy wątpliwych, ale zawsze poważnych. I to sprawia, że w tym omówieniu numeru specjalnego *Les Temps Modernes* bez porównania więcej miejsca poświęcamy stronie arabskiej niż żydowskiej. Albowiem jako *case*, jako swoisty „przypadek” strona arabska jest znacznie ważniejsza. I to jest głęboko niepokojące.

W kilka dni po ukazaniu się numeru *Les Temps Modernes* doszło do wojny z wiadomym zakończeniem. O ile jest nam wiadomo, wynik wojny nie spowodował rewizji stanowisk ani — co ważniejsze — uczuć wśród radykalnych inteligentów arabskich. Raczej przeciwnie. I to właśnie wygląda tak przynębiająco.

Intelligencki radykalizm przez swe konsekwencje stał się ważnym czynnikiem wielu katastrof naszej epoki. Arabski intelligen-

cki radykalizm wybitnie przypomina pobratymcze zjawiska w innych krajach, włączając w to dawną Europę. Mając to w pamięci, arabskie wypowiedzi numeru *Les Temps Modernes* czyta się ze szczególnie ciężkim sercem.

Aleksander HERTZ

Pamiętniki George Kennana

George Kennan ma lat 63. Służbę zagraniczną i karierę dyplomatyczną opuścił w końcu roku 1950 w wieku 46 lat. Spędził w tej służbie całe ćwierć wieku a karierę dyplomatyczną zakończył na stanowisku przewodniczącego Komisji Planowania politycznego w Departamencie Stanu. Rozpoczął więc swą działalność na tym polu jako 21-letni młodzieniec, zakończył jako dojrzały, ale jeszcze młody mężczyzna, po czym schronił się w szacownej a zacisznej instytucji jaką jest *Princeton Institute for Advanced Studies*. Jej członkowie nie mają obowiązku wykładowania, lecz korzystają z niezwykle pomyślnych warunków dla prowadzenia studiów naukowych i pisania książek. W ciągu tych szesnastu lat, spędzonych w Princeton, ogłosił Kennan — łącznie z *Pamiętnikami* — dziesięć książek, z których szczególnie wzmianki wymagają *American Diplomacy 1900-1950*, oraz dwie poświęcone stosunkom sowiecko-amerykańskim w okresie 1917-1920.

Pamiętniki obejmują lata służby dyplomatycznej — 1925-1950. Dla autora był to wielki szmat życia, niezwykła szkoła, okres pracy intensywnej, ważnej, fascynującej. Samo zestawienie początkowej i końcowej daty tego okresu daje pojęcie o zakresie i epokowej wadze zdarzeń, jakie świat wówczas przeżył.

Po przejściu kursów przygotowawczych w *Foreign Service School* znalazł się Kennan w konsulacie amerykańskim w Genewie, gdzie po raz pierwszy poczuł na własnej skórze rozkosz i wagę reprezentowania wielkiego państwa i niesamowity smak obcowania ze środowiskiem miejscowym oraz mnóstwem ludzi z różnych krajów i światów. Umocnił to następny pobyt w konsulacie w Hamburgu. Tam zetknął się z Niemcami po pierwszej wojnie, z „tragicznymi”, jak pisze, losami republiki Wejmarskiej i uświadomił sobie niedostateczność własnego wykształcenia i przygotowania do kariery, jaką obrał i jaka go coraz bardziej interesowała i pociągała. Do tego stopnia się zachwiał, że zamierzał zrezygnować ze służby zagranicznej i tylko przypadkowe spotkanie sprawiło, że dostał się na studia języka rosyjskiego, jako przygotowanie do ewentualnie specjalnych zadań. Jeszcze

Stany Zjednoczone nie uznawały Rosji bolszewickiej i nie utrzymywały z nią stosunków dyplomatycznych. Młody Kennan trafnie rozumował, że kiedyś ten stan rzeczy ulegnie zmianie i ludzie znający język rosyjski będą potrzebni. Te studia języka a potem w ogóle Rosji i jej spraw odbywał Kennan w Berlinie a następnie przez prawie pięć lat znacznie bliżej Rosji, bo w Tallinie, Rewlu, Rydze i Kownie. Systematyczną naukę języka, historii, prawa rosyjskiego odbył na uniwersytecie w Berlinie, a w czasie swego urzędowania w Rydze miał obowiązek przysyłać do Waszyngtonu sprawozdania o sytuacji gospodarczej w Sowietach. Przed samym nawiązaniem stosunków dyplomatycznych z Rosją przesłał swój pogląd na to, w jaki sposób należałoby — jego zdaniem — sformułować układ z Rosją, by należycie zabezpieczyć prawa obywateli amerykańskich w razie ich aresztowania w Sowietach i z prawdziwym rozczerowaniem stwierdził, że podpisało formułę sowiecką, ignorując zupełnie jego uwagi i ostrzeżenia. Był to jego pierwszy, ale nie ostatni „konflikt” z centralą. W związku z tym incydentem zauważa w *Pamiętnikach*, że amerykańscy mężowie stanu często tak się zachowują w sprawach międzynarodowych, by wobec opinii politycznej amerykańskiej, a Kongresu przede wszystkim *wyglądać* na wielkich obrońców interesów kraju, nie bacząc natomiast, czy merytorycznie są one należycie broniące i zabezpieczone. Twierdzi, że dopóki ta tendencja nie zostanie wypłeniona w Departamencie Stanu i w prasie, zagraniczna polityka Stanów nie będzie dojrziała i skuteczna, jak przystało na wielkie mocarstwo.

Lata 1934 do 1937 spędził Kennan w Moskwie, jako sekretarz amerykańskiej placówki i z tego stanowiska kontynuował swoje studia nad Rosją. Z jego zapisek z tego okresu widać, że miał trzeźwy, choć nie zawsze trafny pogląd na politykę sowiecką i że słusznie pesymistycznie oceniał możliwość pomyślnego rozwoju stosunków amerykańsko-sowieckich „za naszych czasów”, uważając — w najlepszym razie — za osiągalny ograniczony stopień współpracy i to jedynie w przypadku, jeżeli sprawy tych stosunków znajdą się po stronie amerykańskiej w rękach ludzi, zdających sobie sprawę ze skomplikowanego charakteru Rosji i mających znaczną dozę cierpliwości. Inaczej będzie to tylko szereg nieporozumień, rozczarowań i wzajemnych rekryminacji. Doświadczenia, czerpane z życia Rosji, z obserwacji i lektury sprawiły, że „nie miał cierpliwości” do ideologii komunistycznej, że nabrał odrazy do komunistów za ich nienawiść do wielkiej części ludzkości, za ich hojne okrucieństwo, za pretensję do nieomyślności, za oportunizm i bezwzględność metod, za spiskową tajemniczość, a zwłaszcza za żądzę władzy, która tak często preziera spoza pozornych przekonań ideologicznych.

Ta lekcja pierwszego pobytu w Rosji zaważyła na zawsze na poglądach Kennana.

Po krótkiej przerwie, spędzonej w Waszyngtonie w Centrali znalazł się Kennan w Pradze Czeskiej bezpośrednio po Mona-

chium i był tam świadkiem inwazji hitlerowskiej, przeżywając wraz z Czechami gorycz wypadków oraz starając się zrozumieć sytuację tego kraju i jego składowych części. Ulegał wówczas wpływowi znanego poglądu, jakoby wielkim nieszczęściem Europy Środkowej był rozkład monarchii austro-węgierskiej. Następna placówka — Berlin — gdzie znalazł się zaraz po wybuchu wojny, dała mu wgląd w Niemcy hitlerowskie czasu wojny i doprowadziła do wniosków nieco dziwnych: jakoby naród niemiecki był obojętny wobec hitleryzmu oraz że alianci popełnili błąd, uchylając się od rozmów z niemieckimi konserwatystami, którzy jakoby byli przeciwko Hitlerowi i mogli być użyci w celu załagodzenia konfliktu.

Wybuch wojny niemiecko-sowieckiej narzucił mu natychmiast wniosek, że Stany Zjednoczone muszą zupełnie zmienić swoją politykę w stosunku do Europy Wschodniej i Środkowej i wziąć na siebie czynną odpowiedzialność za losy tego obszaru. Pisał wówczas do kolegi w Departamencie Stanu, wyrażając nadzieję, że Ameryka nie pójdzie za przykładem Churchilla i nie ofiaruje Rosji moralnego poparcia w jej wojnie z Niemcami, że traktowanie Rosji jako współtowarzysza w obronie demokracji musiałoby wywołać wielkie nieporozumienie. Nie rozumiałby bowiem, jak Amerykanie mogliby się utożsamiać z Rosjanami, którzy zniszczyli państwa bałtyckie, uderzyli w niepodległość Finlandii, dokonali rozbioru Polski i Rumunii, zmiażdżyli religię w całej Europie Wschodniej a u siebie mają ustrój daleki od demokracji i znienawidzony w tej części Europy. Twierdził, że od Skandynawii — ze Szwecją i Norwegią włącznie — aż do morza Czarnego wszystkie kraje bardziej się boją Rosji aniżeli Niemiec. Zwracał uwagę na to, że pomimo wojny z Niemcami Rosja bynajmniej nie pragnie zwycięstwa angielskiego, że dba tylko i wyłącznie o własne interesy i nie będzie nikomu pomagała. Toteż Rosja nie zasługuje na sympatię Zachodu i dlatego nie należy nic takiego czynić, co by wyglądało na polityczną lub ideologiczną solidarność z rosyjskim wysiłkiem wojennym. Ten pogląd stawił Kennana w opozycji do polityki amerykańskiej jeszcze przed wejściem Stanów do wojny, polityki, jaka się ujawniła w całej pełni po Pearl Harbor.

Internowany przez Niemców z całym personelem dyplomatycznym, znalazł się w lecie 1942 roku w Portugalii, dokąd wrócił ze Stanów jako radca ambasady. Na tym stanowisku doznał dość przykrego doświadczenia w stosunku do Departamentu Stanu, w związku z rozpoczętymi przez siebie pertraktacjami z rządem portugalskim o bazy lotnicze dla Amerykanów na wyspach Azorskich: przekonał się, jak była wówczas nieskoordynowana, chaotyczna działalność jego własnej centrali.

Znalazł się następnie w Londynie, jako radca ambasady i w zastępstwie ambasadora Winant'a reprezentował Amerykę w Europejskiej Komisji Doradczej, utworzonej przez trzech ministrów spraw zagranicznych na konferencji moskiewskiej w październiku 1943 r. W intencji brytyjskiej Komisja ta miała zajmo-

wać się „wszelkimi zagadnieniami europejskimi, związanymi z wojną, a interesującymi te trzy państwa” (z wyjątkiem operacji wojskowych). Sytuacja Kennana była trudna, gdyż Waszyngton nie chciał się angażować tak daleko, a widział zadanie Komisji jedynie w ustaleniu warunków kapitulacji Niemiec i stosunku do Niemiec natychmiast po wojnie. Okazało się, że i Rosja szła w podobnym kierunku. Znowu doświadczył Kennan znacznych trudności z Departamentem Stanu, który nie miał własnych koncepcji a w czasie wojny zależał w znacznym stopniu od czynników wojskowych. W szczególności w sprawie rozgraniczenia zon okupacyjnych Kennan nie dostawał z początku żadnych wskazań, potem przysły propozycje bez uzasadnienia, przesuwające granice stony sowieckiej znacznie na wschód. Ale nagle je wycofano, akceptując zgodne wnioski Brytyjczyków i Rosjan.

Latem 1944 r. wrócił Kennan do Moskwy jako radca Ambasady przy Averellu Harrimanie. Były to czasy ścisłego wojskowego aliansu Stanów i Sowietów, wspólnej walki, która — zdawałoby się — scementowała dobre stosunki. I właśnie wtedy, ku końcowi zwycięskiej wojny, Kennan, dla którego Rosja nie była krajem nowym, doznał silnego wstrząsu na skutek wyjątkowo ścisłej izolacji amerykańskich dyplomatów od ludności rosyjskiej i zupełnie chorobliwego kompleksu władz sowieckich na tle „szpiegostwa”, o które podejrzewali z zasady każdego cudzoziemca. Wtedy właśnie nabrzmiewała tragedia Polski. Już w drodze do Rosji notował Kennan swoje rozważania na temat Polski. Przypomniął pakt sowiecko-hitlerowski, zagarnięcie połowy Polski, deportacje ludności cywilnej i wojskowych i ich nędzny los w Sowietach, zbrodnię katyńską. Wiedząc, że sprawa polska będzie grała dużą rolę w czasie jego pobytu w Moskwie, notował, że stanowisko Rosji wobec Polski będzie kamieniem probierczym jej stosunku do Zachodu w ogóle. Wspomina, że przed wyjazdem do Rosji spędził wieczór w Waszyngtonie w ambasadzie polskiej na rozmowie z Janem Wszelakim. Już wtedy doszedł do wniosku, że Sowiety będą dążyły do takiego rozwiązania sprawy polskiej, by w Polsce rządili ludzie, którzy nie będą Sowietom wytykać ich zbrodni wobec Polaków, a przeciwnie będą je zupełnie zacierać. Taką postawę będą mogli zająć tylko komuniści zupełnie Moskwinie podlegli. Dlatego sądził, że sprawa ta wyglądała już wtedy znacznie gorzej, aniżeli wyobrażali to sobie nie tylko Polacy, ale nawet rządy anglosaskie.

Zaraz po jego przyjeździe do Moskwy nastąpiła wizyta Mikołajczyka u Stalina, którą odbył — jak pisze Kennan — na skutek nacisków ze stony Roosevelta i Churchilla, a na którą Stalin zgodził się niechętnie. Ale przed przybyciem Mikołajczyka Stalin zawarł porozumienie z Polskim Komitetem Wyzwolenia Narodowego. W przeddzień wizyty, z inicjatywy Harrimana, napisał Kennan swoją opinię na temat prawdopodobnych jej wyników. Dał wyraz przekonaniu, że nie doprowadzi ona do pojednania pomiędzy londyńskimi i „lubelskimi” Polakami. Powodzenia wojenne Rosjan wywołały w nich pewność, że będą mogli ułożyć

sprawy Europy Wschodniej według swego uznania i nie będą skłonni do robienia ustępstw ani na rzecz Polaków, ani na rzecz Stanów. Mikołajczyk przyjeżdżał bez zaproszenia ze strony Moskwy a Stalin dał do zrozumienia, że powinien on porozumieć się z „lubelskimi” Polakami, którzy już zajęli stanowisko wrogie wobec polskiego Londynu i nie zamierzają go zmienić. W świetle własnych informacji i przekonań uważał sprawę polską za przegraną. Wskutek tego prawdziwą przykrość sprawiały mu towarzyskie kontakty z delegacją polską. Zauważył, że Mikołajczyk był „zachęcony” (*encouraged*) po rozmowie z Mołotowem a przed wizytą u Stalina, że natomiast jego otoczenie było przygnębione. Drugie spotkanie z Polakami w ambasadzie amerykańskiej określa jako ciężkie przejście, zwłaszcza, kiedy musiał odpowiadać na polskie pytania, nie mogąc powiedzieć wszystkiego co wiedział i co myślał. Uważał, że bez względu na jakieś porozumienie w owej chwili, Rosjanie przy najbliższej okazji zamienią je na obrozę dla Polski i że na dłuższą metę nigdy nie zgodzą się na przyznanie Polsce więcej praw, aniżeli te, jakie ma Rosja sama. Kiedy następnie Stalin odmówił zgody na użycie amerykańskiej bazy lotniczej na Ukrainie dla rzutów broni dla powstańców warszawskich i widział przygnębienie Harrimana i gen. Deana, miał potwierdzenie, że Rosja chce mieć Polskę *lock, stock and barrel*, że ją nic nie obchodzą Polacy z podziemia, o ile nie poddali się komunistom, i że im jest obojętne, co myślą Amerykanie, którzy nie mają nic do gadania w sprawie Polski.

Był wówczas zdania, że był to moment na ostateczną próbę polityczną z Rosją: należało ją wtedy postawić wobec alternatywy: albo Rosja ma całkowicie zmienić swą politykę we Wschodniej Europie i przystać na utworzenie istotnie niepodległych państw w tym rejonie albo utracić dalszą pomoc aliancką w końcowej fazie wojny. Zachód nie był Rosji nic winien. Drugi front już istniał a alianci byli na kontynencie europejskim, cała Rosja była już „wyzwolona”. Rosjanie działali na terytoriach obcych, poprzednio okupowanych przez Niemcy. Amerykanie powinni byli odrzucić wszelką dalszą odpowiedzialność za rosyjskie działania wojenne, prowadzone w duchu ujawnionym podczas powstania warszawskiego. Toteż potem śledził ze „sceptycyzmem a nawet z rozpaczą” dalszy rozwój sprawy polskiej, szczególnie w Jałcie i z „niesmakiem” pracował jako urzędnik Harrimana podczas rozmów z Mołotowem i Wyszynskim kto z Polaków ma być zaproszony do pertraktacji o utworzenie rządu polskiego.

Kiedy po zgonie Roosevelta Harry Hopkins był w Moskwie, by „ratować co się da z ruin polityki Roosevelta w sprawie polskiej”, i pytał go, co Stany mają zrobić z żądaniami Stalina, odpowiedział, że nie wie, czy mogą coś zrobić, ale był zdania, że powinny być uchylić się od wszelkiej odpowiedzialności za politykę Rosji wobec Polski. Hopkins zauważył: „więc Pan uważa po prostu za grzech, taką współodpowiedzialność i że nie powin-

niśmy tych żądań akceptować? Szanuję Pana opinię, ale nie mam prawa jej podzielić”.

Kiedy w grudniu 1944 roku moskiewska *Prawda* ogłosiła artykuł Stefana Jędrychowskiego domagający się granicy polsko-niemieckiej na Odrze i Nysie, Kennan zrozumiał, że jest to żądanie rosyjskie i że takie przesunięcie Polski kosztem Niemiec o kilkaset kilometrów na zachód będzie musiało uczynić z Polski prostego satelitę Rosji, bez pomocy której nie mogliby Polacy utrzymać tego nowego terytorium. Dał temu pogładowi wyraz w memorandum, złożonym Harrimanowi na sześć tygodni przed Jaltą.

Powyższe poglądy nie znalazły jednak dostępu do czynników decydujących, a Kennan miał złudzenie, że gdyby były miały, kraje Europy Wschodniej byłyby niepodległe i od Rosji niezależne. Złudzenia te opierał częściowo na przygotowywanej Organizacji Narodów Zjednoczonych, jaka — w swym założeniu — miała „załatwić” nowy ustrój powojennego świata. Ale krytyczny i samodzielny umysł Kennana nie kazał mu bynajmniej zachwycać się projektem opracowanym w Dumbarton Oaks. Był zdania, że błędem jest opieranie pokoju i bezpieczeństwa na dobrze pomyślanych planach organizacyjno-prawnych. Ten błąd popełnił Woodrow Wilson z Ligą Narodów. Stalin myślał o Organizacji Narodów Zjednoczonych w świetle hegemonii sowiecko-brytyjsko-amerykańskiej, opartej na harmonii pomiędzy tymi trzema mocarstwami. Harmonia ta z kolei opierałaby się na akceptacji przez Brytyjczyków i Amerykanów rosyjskiej „sfery wpływów” we Wschodniej i Środkowej Europie, gdzie Sowiety już się umacniały latem 1944 r.; ta międzynarodowa organizacja służyłaby jako środek wzmocnienia brytyjsko-amerykańskiego poparcia sowieckiej sfery wpływów. Kennan nie był w zasadzie przeciwny powołaniu Narodów Zjednoczonych, jako organizacji międzynarodowej, uważał wszakże, że opinia publiczna w Stanach powinna być uświadomiona, że Rosja nie ma zamiaru przystąpić do takiej organizacji, by w jej łonie przeciwdziałać agresji a jedynie, by bronić swoich wyłącznie interesów.

W tym samym czasie — dokładnie we wrześniu 1944 r. — złożył Harrimanowi ważny i wyczerpujący memoriał o Rosji i jej polityce zagranicznej pt. *Russia — Seven Years Later*, umieszczony w całości jako aneks do książki. Daje w nim bardzo wnikliwą analizę życia w Sowietach, czołowych komunistycznych działaczy oraz rzeczywistych tendencji w dziedzinie zagranicznych stosunków. Stara się uprzedzić Amerykanów, jak trudna jest dla nich Rosja do zrozumienia z powodu swych niezliczonych sprzeczności, w jakich żyje, z powodu niepojętej dla Amerykani mentalności i psychologii Rosjan, z powodu ustroju i jego niewiarogodnej chciwości wobec całego świata. Trudność zrozumienia Rosji przez Amerykanów będzie zawsze ciążyła na wzajemnych stosunkach obu krajów.

Był Kennan przeciwny udzieleniu Rosji znacznych kredytów

zaraz po wojnie, wyjaśniając, że nie potrzebuje ona pomocy zagranicznej a jeśli ją otrzyma, zużyje na zbrojenia.

Po zakończeniu walk z Japończykami w Moskwie znalazła się wycieczka grupy członków Kongresu: Kennan odwoził ich na audiencję do Stalina. Niemal w ostatniej chwili odebrał ich z jakiegoś sowieckiego przyjęcia mocno uraczonych wódką. Gdy przejeżdżali przez, należycie strzeżone, bramy Kremla, jeden z kongresmenów zawołał nagle: „a co by to było, gdybym tak któremuś z tych drani dał w mordę?” Kennan musiał ostro przywołać go do porządku. Człowiek ten usiadł naprzeciwko Stalina i zachował się cicho i spokojnie, robił jednak miny i ciągle mrugał do zdumionego dyktatora. Wtedy Kennan nabrał wątpliwości, czy tzw. kontakty *people-to-people* mogą mieć jakąś wartość.

Za bezcelową uważał konferencję trzech „wielkich” ministrów spraw zagranicznych w Moskwie w grudniu 1945 r. (Bevin, Byrnes i Mołotow) i z oczywistym niesmakiem opisuje jej przebieg i całkowitą nieporadność Anglosasów.

Wnioski ze swoich sowieckich doświadczeń sformułował w niezwykle długim telegramie służbowym, wysłanym w lutym 1946 r., do Departamentu Stanu, w którym w sposób niezwykle trafny, rzeczowy i wymowny przedstawił poglądy sowieckie na Rosję i sytuację światową, oddziaływanie tych poglądów na oficjalną politykę sowiecką oraz na podziemną akcję, za którą Sowiety nie chcą brać odpowiedzialności. Między innymi — w r. 1946 podkreślał, że Rosja weźmie udział w organizacjach międzynarodowych, o ile taki udział da się wykorzystać dla wzmocnienia siły Związków, że będzie więc uczestniczyła w organizacji Narodów Zjednoczonych tylko w tym właśnie celu i tak długo, póki to się będzie opłacało. W razie zawodu nie zawaha się wystąpić a może nawet stworzyć organizację konkurencyjną. W celu podważenia politycznego i strategicznego potencjału największych państw zachodnich Sowiety będą dążyły do podcięcia ich narodowej pewności siebie, do paraliżowania obrony narodowej, do wzmagania społecznych i przemysłowych rozruchów, do popierania wszelkich skarg — gospodarczych czy rasowych i zwalczania wszelkich kompromisów, zachęcania natomiast do środków gwałtownych, zmierzających ku rozbiciu społeczeństwa. Podkreślał, że o ile Sowiety są zupełnie niewrażliwe na logikę rozumowania, o tyle są bardzo wrażliwe na logikę siły. Toteż z łatwością i bez wahania cofną się, ilekroć natrafią na zdecydowany i odpowiednią siłą poparty opór. Wystarczy nawet proste zagrożenie siłą i gotowością jej użycia. Toteż w walce z Sowietami wiele będzie zależało od jedności, determinacji i rozumu Zachodu, który wcale nie musi siebie i swoich narodów narażać na walkę zbrojną, by okiełznać Sowiety, ilekroć zajdzie tego potrzeba. Musimy tylko posiadać pewność siebie i trzymać się wiernie zachodnich metod postępowania i zachodnich koncepcji ludzkiego społeczeństwa. Nie wpadać nigdy w metody przeciwnika.

Ten wywód telegraficzny 42-letniego urzędnika wywołał niemal

sensację w Departamencie Stanu i zwrócił uwagę na bystrą i poważną analizę Sowietów i ich polityki. Od tej chwili Kennan stał się „kims” na terenie Departamentu Stanu. Wkrótce został odwołany do Waszyngtonu i wyznaczony na wykładowcę w nowo założonej Narodowej Szkole Wojennej — *National War College*. Była to szkoła o celach nieco innych, aniżeli jej nazwa zdawałaby się wskazywać. Zadaniem jej było wyższe kształcenie w naczelnym zagadnieniach państwowych — nie tylko wojskowych, ale także politycznych. Słuchaczami byli wyżsi urzędnicy: generałowie, członkowie Kongresu, często ministrowie. Kennan wykladał sprawy międzynarodowe i w znacznym stopniu traktował zagadnienia Rosji i Europy Wschodniej ze szczególnym naciskiem na wzajemny stosunek środków militarnych i niemilitarnych przy operowaniu nimi w polityce międzynarodowej. Doszedł wówczas do wniosku, że koncepcja wojny totalnej, mającej na celu zupełne pokonanie przeciwnika i poddanie go woli zwycięzcy, musi być zarzucona, gdyż nawet w przeszłości okazała się błędną i komplikowała zagadnienia pokoju, jaki po każdej wojnie następuje. Obecnie, przy broni atomowej, wojna taka byłaby absurdem, a niezależnie od tego główny przeciwnik Stanów Zjednoczonych — Rosja Sowiecka — jest krajem nie nadającym się do okupacji, która przekraczałaby możliwości i zdolność Ameryki. Innymi słowy, wojna w przyszłości może mieć jedynie ograniczone cele i ograniczony zasięg. Ameryka winna posiadać nieliczne, zwarte siły zbrojne, zdolne do uderzeń szybkich i decydujących, zadawanych z dala od jej brzegów, na ograniczonych teatrach wojny.

Kiedy generał Marshall został Sekretarzem Stanu i postanowił utworzyć Komisję Planowania Politycznego, Kennan był upatrzony na jej kierownika, a jeszcze przed objęciem tego stanowiska był wezwany do udziału w naradach, jakie poprzedziły ogłoszenie „doktryny Trumana” w związku z pomocą dla Grecji i Turcji. Przy tej okazji — ale nie po raz pierwszy — uderzyła go amerykańska awersja do „specjalnych decyzji w specjalnych sprawach”, dążenie natomiast do szukania formuł generalnych, powszechnych, które by następnie dały się zastosować w konkretnych przypadkach. Jest to, według niego, błędne podejście do sprawy, utrudniające prowadzenie polityki zagranicznej i podejmowanie praktycznych decyzji w konkretnych sytuacjach, których żadna ogólna formuła nie może z góry objąć.

Po powrocie z narady ministrów spraw zagranicznych w Moskwie, w końcu kwietnia 1947 r., gen. Marshall zrozumiał, że mowy nie ma o współpracy z Rosją w sprawie gospodarczej odbudowy Europy i że trzeba natychmiast pomyśleć samemu o ratowaniu Europy powojennej. W kilka już dni potem powstała faktycznie Komisja Planowania Politycznego z Kennanem na czele. Przystąpiła ona bez zwłoki do opracowania planu gospodarczej odbudowy Europy i swoim memoriałem w tej sprawie położyła fundament myślowy pod zapowiadziany „Plan Marshalla”. Memoriał był w przeważnej części dziełem Kennana. Za-

łożeniem naczelnym było, że sami Europejczycy winni zainicjować sporządzenie planu działania i wziąć główną odpowiedzialność za jego wykonanie; że oferta amerykańska będzie skierowana do wszystkich krajów europejskich a odpowiedzialność za ewentualny podział kontynentu europejskiego powinien spaść na Rosję; nacisk decydujący powinien być położony na gospodarczą odbudowę Niemiec, jako składnik zasadniczy odbudowy całej Europy.

W lipcu 1947 r. ukazał się w *Foreign Affairs* artykuł pt. *The Sources of Soviet Conduct* podpisany literą X, a zawierający słynną odtąd teorię *containment*. Szybko prasa ujawniła półoficjalne pochodzenie artykułu, a wkrótce również i nazwisko autora stało się publiczną tajemnicą. Kennan tłumaczy obecnie, że wskutek niedostatecznej precyzji jego własnych sformułowań, wielu ludzi myślało, że miał na myśli militarne *containment*, wówczas gdy jemu chodziło tylko i wyłącznie o polityczne powstrzymywanie Rosji, ilekroć zaszczytu tego potrzeba. Powagę tego zagadnienia widział jasno i przedstawiał także w swych wykładach w *National War College*. „Nie wygraliśmy wojny całkowicie” — mówił. Kraje anglosaskie okazały się zbyt słabe, przynajmniej w owym momencie, gdy trzeba było powalić siły, jakie zagrażały ich bezpieczeństwu: dla zwalczenia jednej ich części musiały się sprzymierzyć z drugą ich częścią; w dodatku nie zdawały sobie jasno sprawy z charakteru tego przymierza i charakteru tego sprzymierzeńca. Wskutek tego po wojnie Ameryka znalazła się samotna, i jako mocarstwo zagrożone „w polu historii świata”. Nie dlatego, by groziła zaraz wojna z Rosją, ale dlatego, że „Kreml rzuca długi cień”, a cień ten padł już na wiele krajów”. Doświadczanie w sprawach międzynarodowych przekonało go, że to cienie raczej niż istota rzeczy, poruszają sercami ludzi i rządzą czynami mężów stanu.

Pisząc swój artykuł w *Foreign Affairs*, miał na myśli te liczne ustępstwa, jakie Anglosasi poczynili na rzecz rosyjskiego imperializmu w czasie wojny i bezpośrednio po niej, jakoteż fakt, że bezużyteczność tych ustępstw doprowadziła wielu do rozpaczy i do wniosku, że wojna sowiecko-amerykańska stała się nieuniknioną. Takiej konkluzji usiłował swoim artykułem zapobiec. Nie sądził bynajmniej, by sytuacja, jaka się wytworzyła bezpośrednio po wojnie, była wiecznotrwała. Uważał, że najbardziej doniosłe byłoby wojskowe wycofanie się kiedyś Rosji z Europy Wschodniej. Celem owego *containment* nie było bynajmniej utrwalenie skutków wojny we Wschodniej Europie, lecz przeczekanie złej fali do czasu, kiedy będzie można skutecznie przedyskutować z Rosją sprawę jej wycofania się i dojścia z nią do pokojowego, lepszego i zdrowszego układu.

Za rządów w Departamencie Stanu Dean Achesona Komisja Planowania Politycznego straciła na znaczeniu i wpływie, ale prowadziła dalej swą pracę obowiązkową. Był to czas blokady Berlina i przygotowań do powołania rządu Niemiec Zachodnich. Zagadnienie niemieckie górowało nad innymi. Kennan odbył wte-

dy podróż do Niemiec i odwiedził Berlin, Frankfurt i Hamburg. Widok powojennych ruin i zbiednienie kraju zrobiły na nim wielkie i gorzkie wrażenie. Uważał, że żadne względy wojskowe nie mogły usprawiedliwić tego destrukcyjnego bombardowania i czuł, że Stany wzięły na siebie wielką moralną i polityczną odpowiedzialność za przyszłość Niemiec. Jeszcze przedtem Komisja Planowania Politycznego opracowała program w stosunku do Niemiec, nazwany „planem A”, jaki miał być ewentualnie przedstawiony na zebraniu ministrów spraw zagranicznych państw okupujących Niemcy, po uprzednim uzyskaniu zgody Francji i W. Brytanii. W istocie nigdy do tego nie doszło. Plan ten proponował ustalenie przez cztery okupujące mocarstwa sposobu nadzorowania wykonania planu, przy czym *veto* poszczególnych państw nie byłoby dopuszczalne. Po zorganizowaniu organu nadzorczego nastąpiłyby w Niemczech wybory i wprowadzenie niemieckiego rządu tymczasowego z jednoczesnym usunięciem administracji wojskowej i wycofaniem wojsk okupacyjnych do miast garnizonowych na peryferiach Niemiec. Tereny zwolnione w ten sposób od wojskowej okupacji przeszłyby pod kompetencję rządu tymczasowego. Szereg postanowień miał zapobiec ewentualnemu nadużywaniu niemieckiej policji w okresie przejściowym przez czynniki skrajne — prawicowe czy lewicowe, jakoteż stosowaniu w tym okresie metod nie-demokratycznych. Przewidziana była całkowita i trwała demilitaryzacja Niemiec.

Ten incydent historyczny — o tyle dzisiaj nieważny, że nie stał się podstawą jakiegokolwiek akcji politycznej — przytaczam jedynie w celu zilustrowania ówczesnych poglądów Kennana, który miał wiele do powiedzenia w Departamencie Stanu.

Niemожność porozumienia się z Rosją w sprawie Europy jako całości i konieczność zajęcia się wyłącznie Europą Zachodnią, którą pragnięto zjednoczyć, uwolniła Zachód od potrzeby uzgadniania tych spraw z Rosją. Kennan jednak był zdania, że błędem było przeważające wówczas na Zachodzie przekonanie, że podział Europy był już faktem dokonany i że wobec tego nie było celowe branie pod uwagę krajów Europy Wschodniej przy układaniu dalszych planów i dalszych posunięć. Kennan wychodził z założenia, że możliwość rozluźnienia sowieckiego panowania we Wschodniej Europie nie była tak bardzo odległą, by to mogło usprawiedliwiać pozostawienie Wschodniej Europy samej sobie, co nie dawało jej innej alternatywy, jak związanie się z Rosją na długo, albo w najlepszym razie nadzieję na jakąś niepociągającą neutralność i izolację. Takie stanowisko oznaczało pogodzenie się z podziałem Europy, a nawet utrwalanie go. Z drugiej strony zdawał sobie sprawę, że kraje tego obszaru, po przejściu przez wpływy hitlerowskie i sowieckie, nie nadawałyby się na członków Atlantycznego Aliansu z jego anglosaskimi formami demokracji. Widział natomiast możliwość i prawdopodobieństwo włączenia z czasem Wschodniej Europy do jakiegoś związku czy unii krajów kontynentalnych i był zdania, że Zachód powinien

był już w owych latach mieć to na celu i brać pod uwagę w swych planach politycznych.

Kennan był w sytuacji raczej izolowanej w stosunku do Departamentu Stanu, gdy propagował stworzenie w Europie — lub co najmniej otwarcie możliwości dla stworzenia — obszaru — może neutralnego — pomiędzy dwoma światami: zjednoczone Niemcy, zjednoczona Europa, obszaru, z którego wycofałyby się siły zbrojne amerykańskie, o ile to samo zrobiłyby Sowiety, obszaru, którego kraje, uzyskujące w ten sposób więcej samodzielności, mogłyby z czasem wyzволzić się spod dominacji sowieckiej.

Pod tym względem różnił się w poglądach nie tylko z Waszyntonem, ale także z rządami Europy Zachodniej, zwłaszcza krajami należącymi do Benelux'u. Kraje zachodnioeuropejskie — w jego rozumieniu — były zadowolone, że ktoś trzeci gwarantuje ich bezpieczeństwo zarówno wobec Niemiec jak i Rosji i że wobec tego nie potrzebują mieć jakiejś własnej polityki wobec tych państw.

Kiedy Komisja Planowania Politycznego utraciła swój pierwotny bezpośredni dostęp do Sekretarza Stanu a jej rola poważnie została zmniejszona, Kennan postanowił wycofać się ze służby zagranicznej. Wtedy właśnie przyszła wiadomość, że Rosjanie eksplodowali bombę atomową a z drugiej strony ujawniło się, że Amerykanie są na drodze do bomby wodorowej. Toczyły się jednocześnie rozmowy międzynarodowe na temat zakazu, zniesienia i zniszczenia wszelkich broni nuklearnych. Oppenheimer i Kennan byli zdania, że w takiej sytuacji należy zbadać postawę Stanów Zjednoczonych wobec projektowanego nadzoru międzynarodowego nad tymi nowymi broniąmi destrukcyjnymi, zbadać, czy rzeczywiście nie można w tej dziedzinie dojść do jakiegoś porozumienia, wobec którego — gdyby się to okazało realne — nie zachodziłaby potrzeba angażowania się w fabrykowanie tych broni. Traf sprawił, że — jak gdyby na pożegnanie — Kennanowi przypadło zajęcie się tym zagadnieniem. Poświęcił mu wiele energii i opracował memoriał, który, jak pisze, uważał za najważniejszy dokument, jaki kiedykolwiek wyszedł spod jego pióra. Ze względu na jego charakter nie może go obecnie opublikować, podaje tylko z pamięci istotę swych wywodów. Był zdania, że Amerykanie muszą przede wszystkim zdecydować, czy rzeczywiście nie chcą tych nowych broni i że zatrzymaliby je we własnej obronie tylko wtedy o ile inni będą je posiadali. Jeżeli zaś Amerykanie pragną mieć te bronie, uważając że są one konieczne, w takim razie nie warto się oglądać na międzynarodowe w tym względzie porozumienia. Podkreślił przy tym, że gdyby go zapytano o zdanie, to z głębokiego przekonania wypowiedziałby się przeciwko zasadzie użycia broni atomowej lub podobnej z inicjatywy amerykańskiej. W rozmowach międzynarodowych oświadczyłby, że Ameryka bardzo żałuje, że w ogóle taka broń istnieje i że musiała raz jej użyć (Japonia); że nie zamierza tego uczynić po raz drugi, chyba, że byłaby zmuszona do tego przez użycie tej broni przeciwko Ameryce; że jest gotowa kierować się dużym

zaufaniem do innych a nawet wziąć na siebie pewne ryzyko, by dojść do międzynarodowego porozumienia co do wyeliminowania broni atomowej.

Nie wie, czy ten memoriał został przestudiowany. Poglądy w nim wypowiedziane były w konflikcie z ustaloną już polityką. Były w kolizji z reakcją Kongresu, prasy i szerokiej opinii na wiadomość o detonacji bomby atomowej przez Rosję. Były w konflikcie z przesadną, według niego, oceną siły rosyjskiej w dziedzinie broni konwencjonalnych; w konflikcie wreszcie z tezą, że polityka zbrojeniowa Stanów musi być oparta na ocenie *potencjalnych* zdolności przeciwnika a nie jego *istotnych* zamiarów.

Na pożegnanie z Departamentem Stanu Kennan miał jeszcze do czynienia z konfliktem koreańskim, z kwestią przyjęcia Chin komunistycznych do Narodów Zjednoczonych i wreszcie z oceną ówczesnych zamiarów Sowietów. I znowu jego poglądy, jego ocena sytuacji, jego memoriały i praktyczne wnioski, jakie wyciągał i jakie zgłaszał, nie osiągały zamierzonego efektu, jakkolwiek były zawsze wysłuchiwane, czytane, a często rozważane z wielką uwagą. Z pewnego rodzaju zawodem więc, może nawet rozgoryczeniem opuścił Departament Stanu w połowie roku 1950, dając się do naukowego sanktuarium w Princeton, gdzie nic nie mogło go krępować w publicznym wypowiedzaniu swych myśli.

Pamiętniki Kennana stanowią wydarzenie w historii amerykańskiej dyplomacji. Usiłują wykazać jej błędy w traktowanym okresie, oraz wady i potknięcia jej biurokratycznej maszyny. Ujawniają pracę i zmagania się wybitnego młodego dyplomaty oraz jego — często próżne — usiłowanie wywierania wpływu na decyzje Waszyngtonu. Obdarzony talentem pisarskim, skłonny do naukowego traktowania każdego zagadnienia, nie czuł się dobrze w świecie urzędniczym, jakim jest dyplomacja. Mając własne zdanie w każdej sytuacji i sprawie, do którego dochodził po poważnym przemyśleniu rzeczy, nie umiał, nie mógł i nie bardzo chciał poddawać się bez szemrania zarządzeniom z góry. Indywidualista i myśliciel nie potrafił być konformistą. Długie przebywanie na placówkach zagranicznych zaopatrzyło go w świetną znajomość innych krajów, Rosji i Niemiec w szczególności, ale nieco oddaliło od kraju własnego, do którego wrócił jak gdyby wyobcowany.

Pisane z wielkim talentem, pełne faktów, ciekawych charakterystyk wielu znanych postaci, wspomnienia owiane są zarazem znaczną dozą rozzaczarowania a nawet gorczy, często ogarniającej tych, co chcą rzeczy i ludzi osądzać według kryteriów zbyt wysokich intelektualnie i moralnie.

Późniejsza działalność Kennana jako ambasadora w Moskwie i w Belgradzie ma być przedmiotem dalszych wspomnień.

Ankieta «Kultury» :

Czytelnictwo na emigracji

Ankieta jest anonimowa. Prosimy jedynie o zaznaczanie płci (litery M. lub F.), zawodu i wieku. Odpowiedzi na poniższe punkty prosimy nadsyłać do Redakcji „Kultury”: 91, Avenue de Poissy, 78-MAISONS-LAFFITTE, France, z zaznaczeniem „Ankieta”.

Zebrany materiał posłuży nam do opracowania szkicu o polskim czytelnictwie na emigracji:

- 1) Jakie pisma prenumeruję?
- 2) Jakie pisma stale czytam?
- 3) Jakie pisma czytam dorywczo?
- 4) W roku 1967 przeczytałem:
 - książek emigracyjnych
 - książek krajowych
 - książek w innych językach.
- 5) W roku 1967:
 - a) kupiłem:
 - książek emigracyjnych
 - książek krajowych
 - b) dostałem w prezencie:
 - książek emigracyjnych
 - książek krajowych.

6) Książki

- a) kupuję w księgarni
- b) zamawiam bezpośrednio u wydawcy
- c) wypożyczam z biblioteki.

7) Czy w miejscowych wypożyczalniach publicznych znajdują się książki polskie? Czy robił Pan(i) usiłowania by miejscowa biblioteka publiczna zakupywała polskie książki?

8) Prosimy o wymienienie tytułów polskich książek, przeczytanych w r. 1967 z zaznaczeniem, które książki uważa Pan(i) za wartościowe.

9) Czy wysyła Pan(i) polskie książki emigracyjne lub książki w innych językach do kraju?

10) Czy kupuje Pan(i) tłumaczenia z literatury polskiej na język swego kraju osiedlenia? Czy ofiarowuje je Pan(i) swoim znajomym nie-Polakom?

Nadesłane nowości wydawnicze

- KUJAWSKI (Marian). *Z bojów polskich w wojnach napoleońskich. Maida - Somosierra - Fuengirola - Albuerca*. Str. 344. (Nakł. Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1967).
- KONARSKI (Szymon). *O heraldyce i „heraldycznym” snobizmie*. Str. 87 i 1 nlb. (Wyd. Księgarnia Polska w Paryżu, 1967, cena F. 12,00).
- HLASKO (Marek). *Sowa, córka piekarza*. Powieść. Str. 206. (Wyd. Księgarnia Polska w Paryżu, cena 15 F.).
- Sienkiewicz żywy*. 16 esejów o pisarzu. Str. 206 i 2 nlb., okładka Zygmunta Turkiewicza. (Wyd. Gryf Printers, Ltd., Londyn, 1967).
- CZEREŚNIEWSKI (Wawrzyniec). *Pielgrzym pod Troją. „Motywów Greckich” Zeszyt Piąty. Poezje*. Str. 28 i 4 nlb. (Wyd. Oficyna Stanisława Gliwy, Londyn, 1967).
- ROMANOWICZOWA (Zofia). *Łagodnie oko błękitu*. Str. 242 i 2 nlb. Okładka Marka Rudnickiego. (Wyd. Libella, Paryż, 1968).
- Demokracja a ideał społeczny*. Wybór pism. Przedmowa Sydney Hooka. Wyboru dokonał, opracował oraz wstępem opatrzył Jan Ostaszewski. Str. 400. (Wyd. Szkoła Nauk Politycznych i Społecznych. Ośrodek Wydawniczy, Londyn, 1967).
- KOŚCIAŁKOWSKA (Janina). *Sprawa numer jeden*. Powieść. Str. 336. (Wyd. B. Świdorski, Londyn, 1967).
- ZALESKI (Wojciech). *Dzieje górnictwa i hutnictwa na Górnym Śląsku do roku 1806*. Str. 445 i 1 nlb. (Wyd. T-wa im. Romana Dmowskiego, Nr 5, Madryt, 1967).
- Pocztą Ojca Malachiasza*. Tom I. Str. 292 i 4 nlb. Kolekcja „Znaki czasu” Nr 1. (Wyd. Editions du dialogue, Paryż, 1967, F. 14.).
- Pocztą Ojca Malachiasza*. Tom II. Str. 284. Kolekcja „Znaki czasu” Nr 2. (Wyd. Editions du dialogue, Paryż, 1967, F. 14.).
- LELONG (Michel). *O dialog z niewierzącymi*. Str. 142. Przekład Dr. Olgi Scherer. Kolekcja „Znaki czasu” Nr 3. (Wyd. Editions du dialogue, Paryż, 1967, F. 12.).
- COFFY (Robert). *Bóg niewierzących*. Str. 160. Przekład Pawła Zdziechowskiego. Kolekcja „Znaki czasu” Nr 4. (Wyd. Editions du dialogue, Paryż, 1968, F. 13.).
- RAHNER (Karl). *Kiedy się modlisz...* Str. 136. Przekład Anny Morawskiej. Kolekcja „Znaki czasu” Nr 5. (Wyd. Editions du dialogue, Paryż, 1968, F. 12.).
- PAPIEŻ PAWEŁ VI. *Encyklika. O drogach którymi Kościół katolicki powinien kroczyć w dobie obecnej przy pełnieniu swojej misji (Ecclesiam suam)*. Str. 126. (Wyd. Editions du dialogue, Paryż, 1967, F. 7.).
- Panorama emigracji polskiej*. Kalendarz „Naszej Rodziny” na rok 1968. Str. 208. (Wyd. „Nasza Rodzina”, Paryż, 1968, F. 4.).
- Pisarze Pomorza Zachodniego*. Informator. Str. 237 i 3 nlb. (Wydawnictwo Morskie, Gdynia, 1967, cena zł. 20.).
- La Révolution d'Octobre et le Mouvement Ouvrier Européen*. Opracował i opatrzył przedmową Victor FAY. Str. 228 i 4 nlb. (Wyd. Etudes et Documentation Internationales, Paryż, 1967).

- JEAN COLIN D'AMIENS. *Journal*. Str. 264. (Ed. du Seuil, Paryż, 1968).
- PANKOWSKI (Marian). *Leśmian. La révolte d'un poète contre les limites*. Str. 237 i 3 nlb. Université Libre de Bruxelles, I. XXXII. (Wyd. Presses Universitaires de Bruxelles, Bruxelles, 1967).
- RYDEL (W.). *Little Man's Story*. Str. 395 i 3 nlb. (Nakładem Autora, Melbourne, 1967).
- KARPINOWICZ (A.). *Zaim Wilner Durchoif*. Str. 181. Opowieści o Wilnie w języku żydowskim. (Wyd. I. L. Peretz Publishing House, Tel-Aviv, 1967).
- KOCZY (Leon). *Józef Piłsudski — Wśród wodzów*. Str. 16. Z przemówienia wygłoszonego na Akademii ku uczczeniu setnej rocznicy urodzin Józefa Piłsudskiego w dn. 12 listopada 1967 w Edynburgu. (Nakł. Komitetu Uczczenia Setnej Roczniczy Józefa Piłsudskiego, Edynburg, 1967).
- TREBICKI (Kazimierz). *Czy zmierzch imperializmu?* (Odczyt wygłoszony dn. 28 września 1967 w Instytucie Wschodnim „Reduta” w Londynie. Str. 13. (Nakł. Instytutu Wsch. „Reduta” Londyn, 1967, cena 2 szyl.).
- WOJSTOMSKI (Stefan Witold). *Niezwyciężony. Obrona Króla Jana III i czynu polskiego w roku 1683*.
- SUKIENNICKI (Wiktor). *Pół wieku sowieckiej „rewolucji”*. Str. 46. (Odbitka z „Lewego Nurtu”, zeszyt 2, zima 1967/68, nakładem Autora, Londyn).
- WYRWA (Tadeusz). *L'autonomie ouvrière dans l'entreprise socialisée*. Str. 991-1010. (Odbitka z zeszytu 11 „Stato Sociale”, 1967, Wyd. Unione Tipografico-Editrice Torinese, 1967).
- SOKOL (Irene M.) KRZYŻANOWSKI (Ludwik). *Index to „The Polish Review 1956-1966*. Str. 64. (Wyd. The Polish Institute of Arts and Sciences in America, Inc., New York, 1967).
- BRZEZIŃSKI (Zbigniew). *America in the Technetronic Age*. Str. 32. (Wyd. School of International Affairs — Columbia University. One of a Series of Occasional Papers, 1967).
- KARCZ (Jerzy F.). *The New Soviet Agricultural Programme*. Str. 129-161. (Odbitka z „Soviet Studies”, Vol. XVII, No 2, October 1965).
- KARCZ (Jerzy F.). *Thoughts on the Grain Problem*. Str. 399-434. (Odbitka z „Soviet Studies”, Vol. XVIII, No 4, April, 1967).
- GROSS (Priva B.). *Some Aspects of Medieval Church Architecture in Poland*. Str. 27. (Odbitka z „The Polish Review”, Vol. XII, No 2, Spring, 1967, New York).
- WEINTRAUB (Wiktor). *Jan Kochanowski Reader of Latin Boccaccio and Petrarch*. Str. 581-589. (Odbitka z „Mélanges de Littérature Comparée et de Philologie. (Wyd. Państwowe Wydawnictwo Naukowe).
- WEINTRAUB (Wiktor). *The Paradoxes of Rej's Biography*. Str. 215-237. (Odbitka z „Indiana Slavic Studies”, Vol. IV, Mouton, The Hague-Paris, 1967).
- WEINTRAUB (Wiktor). *Vilna e la Mistica*. Str. 173-214. (Odbitka z „Ricerche Slavistiche”, Vol. XIII, Roma, 1965).
- JORDAN (Z. A.). *Marxistischer Revisionismus in Polen. Hintergrund, Wurzeln und Hauptströmungen*. Str. 87-129. (Odbitka z Schriften der Evangelischen Studiengemeinschaft, No 8 — Marxismusstudien, Tübingen).
- WYRWA (Tadeusz). *Administrations Latino-Americaines. Le Panama*. Str. 12. (Odbitka z „La revue Administrative” Nos 119, 120, 1967).

DATA	POLITYKA
16-12-67	Nieudana próba zamachu stanu w Algierii. Prezydent Boumedienne obejmuje dowództwo sił zbrojnych zwalniając płk. Zbiri ze stanowiska Szefa Sztabu.
19-12-67	Czterej generałowie amerykańscy, w stanie spoczynku: Gavin, Ridgeway, Norstad i Shoup skrytykowali politykę amerykańską w Wietnamie. Gen. Shoup, b. d-ca piechoty morskiej oświadczył, że bezpieczeństwo Ameryki nie wymagało zaangażowania się w wojnie
20-12-67	Francja wypowiedziała się przeciw rozpoczęciu rokowań w sprawie przyjęcia W. Brytanii do Wspólnego Rynku. W Brytania utrzymuje jednak nadal swe zgłoszenie. Rumunia i Izrael zawarły układy dotyczące handlu i lotnictwa.
21-12-67	L. Kasman ustąpił ze stanowiska red. nacz. <i>Trybuny Ludu</i> . Jego następcą został 47-letni S. Majkowski. Zwolniono również ze stanowiska W. Borowskiego (<i>Trybuna Ludu</i>), L. Ungera (<i>Życie Warszawy</i>) i Lutogniewskiego (<i>Odra</i>). Zdaniem korespondentów, dymisje te mają charakter anty-semicki.
22-12-67	Dotyczasowy sekretarz warszawskiej organizacji partyjnej S. Kociołek mianowany został pierwszym sekretarzem K.W. w Gdańsku. Nowym pierwszym sekretarzem warszawskiego K.W. został J. Kępa.
26-12-67	Wbrew ostrzeżeniom KGB, 30-letni Paweł Litwinow, wnuk Maksyma Litwinowa, przesłał na Zachód fragment sprawozdania z procesu W. Bukowskiego i innych oraz swoje oświadczenie. Mao Tse-tung skończył 74 lata.

KULTURA I NAUKA

W Bawarskiej Akademii Umiejętności w Monachium odbyło się organizacyjne posiedzenie komisji MONUMENTA MUSICAЕ SLAVICAЕ. W komisji, której zadaniem jest opracowywanie i wydawanie zabytków muzyki starocerkiewnej współpracować będą uczeni z Moskwy (J. V. Kledys), Leningradu (N. D. Uspenskiij), Pragi (A. Dostal), Bratysławy (L. Mokry), Sofii (S. Lazarow), Hamburga (C. Floros), Warszawy (w miejsce zmarłego X. H. Feichta wybrany został Józef Chomiński) oraz z Monachium (E. Koschmieder, organizator i przewodniczący nowo powstałej komisji).

Nagrodę muzyczną Związku Kompozytorów Polskich na rok 1967 otrzymał J. Krenz.

W Château de Therly pod Paryżem znaleziono manuskrypt 2 walców Chopina.

W Toronto, w The Pollock Gallery, odbyła się wystawa obrazów M. Schneider i ceramiki R. Schneidera. Również w Toronto odbyło się zebranie patronów Szkoły Sztuk Pięknych Mary i Romana Schneider z okazji 5-letniej działalności.

RÓŻNE

W Londynie zmarł gen. T. Tomaszewski, szef sztabu Obrony Warszawy w 1939 r.

Premier Australii Harold Holt zatonął w morzu w czasie kąpeli. Ciała nie odnaleziono.

Urzędnik ministerstwa Handlu Zagranicznego, J. Strawa, skazany został w Warszawie na śmierć, pod zarzutem szpiegostwa.

Chiny przeprowadziły doświadczalną eksplozję nuklearną nad pustynią Lop Nor.

DATA	POLITYKA
27-12-67	
28-12-67	Nowym przewodniczącym miejskiej Rady Narodowej w Warszawie został Jerzy Majewski, na miejsce J. Zarzyckiego, który ustąpił. Zarzycki, podobnie jak Kociołek, uchodził za przeciwnika „partyzantów”.
29-12-67	Ludność turecka na Cyprze stworzyła własny rząd prowizoryczny.
30-12-67	Stany Zjednoczone nalegają, by W. Brytania i Francja poparły politykę amerykańską w Południowo-Wschodniej Azji, w przeciwnym razie Ameryka może zmienić swój stosunek do Paktu Atlantyckiego.
1-1-68	Kanclerz NRF, Kiesinger, wyraził zaniepokojenie z powodu możliwości wejścia do Bundestagu przedstawicieli skrajnie-prawicowej NPD w przyszłych wyborach.
2-1-68	Prezydent Johnson ogłasza 5-punktowy plan ochrony dolara. Plan ten przewiduje m.in. obcięcie inwestycji amerykańskich w Europie i ograniczenie turystyki.
5-1-68	A. Novotny ustąpił ze stanowiska pierwszego sekretarza Czechosłowackiej Partii Komunistycznej, pozostał jednak nadal prezydentem republiki. Kierownicze stanowisko w partii objął dotychczasowy pierwszy sekretarz Słowackiej Partii Komunistycznej A. Dubcek. Ta zmiana uważana jest za zwycięstwo zwolenników reform i demokratyzacji życia publicznego.
8-1-68	Papież przyjął rezygnację Kardynała Ottaviani, „żandarma Kościoła”, ze stanowiska pro-prefekta Kongregacji do spraw Czystości Wiary i mianował na to stanowisko Jugosłowianina, Kardynała Franjo Sepera. Wielu obserwatorów jest zdania, że stanowi to wyraz większego zainteresowania Watykanu sprawami Europy Wschodniej.
9-1-68	W Moskwie toczy się proces czworga młodych Rosjan oskarżonych o działalność anty-sowiecką. Według doniesień, A. Ginsburg, A. Dobrowolski, J. Gałanskow i V. Łaszkowa nie przyznali się do winy. Wśród demonstrantów protestujących przed gmachem sądowym znajdował się dymisjonowany w 1964 roku gen. P. Grigorienko.

KULTURA I NAUKA

Ewa Radwan, studentka uniwersytetu Sussex, reżyserowała sztukę Pintera „Pokój”, która otrzymała nagrodę za najlepszą 1-aktówkę na Festiwalu Teatrów Studentckich w Bradford.

W Nowosybirsku zapowiedziano otwarcie pierwszej w Sowietach wystawy obrazów M. Chagall'a.

31 wybitnych pisarzy, artystów i naukowców sowieckich domaga się, w liście do Sądu, publicznego ogłoszenia zarzutów stawianych 4 młodym Rosjan: Ginsburgowi Dobrowolskiemu, Gałanskowowi i Łaskowej.

RÓŻNE

11.000 ton odpadków atomowych — europejskich, zatopiono w Atlantyku w ciągu ub. lata.

Po 4-letniej przerwie w Sowietach powołano znów do życia Dowództwo Sił Łądowych. Nowym d-cą został gen. Pawłowski.

Liczba mieszkańców Polski przekroczyła 32 miliony.

Aktor Państwowego Teatru Żydowskiego w Polsce, H. Grynberg, ubiega się o azyl polityczny w Stanach Zjednoczonych.

W Warszawie zmarła znana pisarka Hanna Mortkowicz-Olczakowa w wieku lat 62.

W Londynie zmarł A. Mazzucato, znany księgarz i b. prezes Związku Wydawców i Księgarzy.

W Budapeszcie ukazała się książka J. Molnara pt. „Kontr-rewolucja na Węgrzech w 1956 r.”, zawierająca „krytykę poglądów burżuazyjnych”. Jeden z miesięczników węgierskich zwraca uwagę, że „poglądy burżuazyjne nie były nigdy publikowane na Węgrzech”.

DATA	POLITYKA
11-1-68	Władze w Polsce oskarżyły podpułkownika E. Metzgera, zastępcę amerykańskiego attaché wojskowego w Warszawie i podpułkownika K. Jeffersona, zastępcę kanadyjskiego attaché wojskowego, o działalność szpiegowską i nakazały im natychmiastowe opuszczenie kraju.
13-1-68	Sąd w Moskwie skazał na 7 lat ciężkich robót J. Gałanskowa. A. Ginsburg skazany został na 5 lat, A. Dobrowolski na 2 lata a V. Łaszkowa na rok więzienia. Paweł Litwinow i Łarisa Daniel apelują do opinii świata o potępienie wyroku.
14-1-68	Breżniew, Kosygin i Podgorny obradują w Polsce z Gomułką, Ochabem i Cyrankiewiczem m.in. nad „sytuacją w światowym ruchu komunistycznym”.
15-1-68	Prof. Milan Huebl domaga się na łamach słowackiego pisma <i>Kulturny Život</i> „gwarancji instytucyjnych”, które zapewniłyby obywatelom „wybór, kontrolę i odwoływanie” przywódców. Tezy te poparł na łamach tego samego pisma znany działacz słowacki Gustaw Husak.
16-1-68	Premier brytyjski ogłasza daleko idący program oszczędności przewidujący m.in. wycofanie wojsk brytyjskich z Dalekiego Wschodu i Zatoki Perskiej do 1971 roku.
19-1-68	Prezydent Johnson mianował prawnika waszyngtońskiego C. Clifforda ministrem Obrony na miejsce R. McNamary, który w marcu obejmuje stanowisko prezesa Banku Światowego. Clifford był do radcą Białego Domu w sprawach Obrony od wielu lat. Kolumbia nawiązała po 20-letniej przerwie stosunki dyplomatyczne ze Związkiem Sowieckim.
23-1-68	Północnokoreańskie łodzie torpedowe zmusiły amerykański okręt zwiadowczy <i>Pueblo</i> do wpłynięcia do portu Wonsan i uwięziły jego załogę. <i>Pueblo</i> wyposażony był w najnowocześniejsze urządzenia wywiadowcze.
24-1-68	

KULTURA I NAUKA

Wpływowy amerykański *Foreign Affairs* zamieszcza artykuł prof. J. Łukaszewskiego z Bruges o „Integracji Zachodniej i Demokracjach Ludowych”. Jednocześnie *Journal Of International Affaires* publikuje inny artykuł prof. Łukaszewskiego o Stanach Zjednoczonych, Zachodzie i przyszłości Europy Wschodniej.

Węgierski tygodnik literacki zamieszcza obszerny artykuł o życiu intelektualnym w Czechosłowacji stwierdzając, że jest ono nacechowane anty-dogmatyzmem i odnajdywaniem sił demokratycznych w społeczeństwie socjalistycznym.

Związek Pisarzy Czechosłowackich zaapelował do rządu o wypuszczenie z więzienia pisarza J. Benesa, który został skazany na 5 lat za organizowanie protestu przeciw uwięzieniu Siniawskiego i Daniela.

RÓŻNE

W Nowym Jorku zawieszono wydawanie *Robotnika Polskiego*, organu Związku Socjalistów Polskich. Pismo założono w 1896 r.

Generał SS Reinefarth wpisany został na listę adwokatów w NRF.

Szef wywiadu zachodnioniemieckiego gen. Gehlen przechodzi w kwietniu na emeryturę. Jego stanowisko obejmie gen. Wessel.

W Warszawie zmarł fizyk światowej sławy i b. współpracownik Einsteina, prof. L. Infeld.

W Krakowie zmarł światowej sławy uczony z zakresu medycyny sądowej prof. J. S. Olbrycht.

Poseł do Zgromadzenia Federalnego w Belgradzie i członek partii komunistycznej od 1930 r. M. Dermastija został przedstawicielem amerykańskiej firmy IBM na Jugosławię.

W Londynie zmarł 54-letni J. Prokop, wice-przewodniczący Związku Harcerstwa Polskiego.

Bombowiec amerykański z 4 bombami wodorowymi na pokładzie, rozbija się na lodach Grenlandii.

DATA	POLITYKA
25-1-68	Episkopat polski oskarża PAX o działalność anty-kościelną. Nastąpiło to po sejmowym przemówieniu B. Piaseckiego, który twierdził, że Episkopat przeciwstawia lojalność do Kościoła lojalności wobec państwa.
26-1-68	Rząd amerykański powołuje pod broń ponad 14 tysięcy rezerwistów marynarki i lotnictwa.
29-1-68	Fidel Castro przeprowadza w kubańskiej partii komunistycznej czystkę usuwając działaczy pro-sowieckich.
31-1-68	Gwałtowna ofensywa Wietkongu w Południowym Wietnamie. Grupy partyzantów komunistycznych wdzierają się do ambasady amerykańskiej w Sajgonie.
1-2-68	Po prawie 11 latach Niemcy Zachodnie i Jugosławia wznowiły stosunki dyplomatyczne zerwane po uznaniu przez Belgrad reżymu Ulbrichta. Zdaniem wielu obserwatorów oznacza to odejście Bonn od „doktryny Hallsteina”.
6-2-68	Wojska północnowietnamskie zdobyły umocnione pozycje amerykańskie w Lang Vei w pobliżu granicy Północnego Wietnamu. Komuniści użyli po raz pierwszy w tej wojnie czołgów produkcji sowieckiej.
7-2-68	Na posiedzeniu w Genewie Rumunia skrytykowała uzgodniony przez Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki projekt traktatu o nierozprzestrzenianiu zbrojeń atomowych.
8-2-68	Ambasador amerykański w Warszawie Gronowski odbył poufną rozmowę z ambasadorem Północnego Wietnamu.
10-2-68	

KULTURA I NAUKA

Znany pisarz sowiecki K. Paustowski wystąpił z protestem przeciw ostatnim procesom moskiewskim.

Nagrody miasta Łodzi otrzymali w tym roku: w dziedzinie techniki — prof. Werner, w dziedzinie prawa — prof. Szpunar, w dziedzinie medycyny — prof. Pruszczyński.

Demonstracje studentów w Warszawie wobec rządowej decyzji zdjęcia ze sceny Teatru Narodowego inscenizacji „Dziadów”. W czasie 12 przedstawień „Dziadów” publiczność żywo reagowała na anty-rosyjskie akcenty tej sztuki.

Sowieckie pismo *Problemy Filozofii* domaga się publicznego wystawiania obrazów Kandynskiego i Malewicz.

Władze w Polsce postawiły przed sądem Janusza Szpotańskiego oskarżając go o autorstwo satyry „Cisi i Gęgacze”. Szpotański został skazany na 3 lata. Obrońcy zakwestionowali oskarżanie go na podstawie Małego Kodeksu Karnego.

RÓŻNE

Młodzieżowa organizacja FDP w Niemczech Zachodnich wypowiedziała się za uznaniem granicy na Odrze i Nysie.

Na morzu Śródziemnym zatонуły dwa okręty podwodne: francuski „Minerve” i izraelski „Dakar”.

W Waszyngtonie zmarł kpt. J. Niezbrzycki, lat 66, pisujący pod pseudonimem Ryszard Wraga.

W Polsce zakazano wszelkiej działalności amerykańskiej organizacji charytatywnej „Joint”. Zakazano również działalności org. „Ort”, która zajmowała się szkoleniem zawodowym Żydów pragnących emigrować.

W Londynie obradował Walny Zjazd Zjednoczenia Polskiego.

Odbył się w Londynie Zjazd Związku Dziennikarzy R.P. Prezesem został A. Dargas.

Humor krajowy

O GOMUŁCE

Rok 2000. Mały Jasio wraca ze szkoły i pyta:

— Mamo, kto to był Władysław Gomułka?

— Nie nudź — odpowiada matka — skąd ja mogę wiedzieć!

— Ale mamo, ja naprawdę chcę wiedzieć...

— No dobrze, dobrze — mówi matka — zaraz zajrzymy do encyklopedii, może tam coś będzie.

To powiedziawszy zaczyna szukać i po chwili czyta:

„Gomułka Władysław. Polski gawędziarz z epoki Mao Tse-tunga, twórca strefy bezmięsnej w Europie Środkowej...”



W związku z nową podwyżką cen mięsa zapanowało w Warszawie wielkie oburzenie — specjalnie w fabryce na Żeraniu, gdzie robotnicy, grożąc strajkiem, zwołali wiec i zażądali przybycia samego Gomułki.

Po długich pertraktacjach Gomułka, widząc że sytuacja jest naprawdę poważna, przyjechał na wiec i powiedział do zebranych: „Nie rozumiem dlaczego wy się tak oburzacie! Mięso podróżowało, to prawda, ale przecież was i tak nie stać na mięso...”

(Powyższe niewątpliwie kwalifikuje się do rubryki „Humor krajowy” — niestety jest to fakt autentyczny!)



Rok 1968 — W Warszawie po szeregu przedstawień „Dziadów” przyjmowanych przez publiczność entuzjastycznie, cenzura postanowiła zdjęcie sztuki z afisza i usunięcie znanego reżysera Dejmkę. Wywołało to głośne protesty i demonstracje studenckie w czasie których noszono transparenty: „Precz z cenzurą”, „Żądamy wolności słowa” itp. W chwili kiedy policja rozpędzała demonstrantów ukazał się transparent z napisem: „Precz z Mickiewiczem! Niech żyje przyjaźń polsko-radziecka!”.

A *propos* powyższych wydarzeń ma ukazać się w Polsce nowy medal pamiątkowy: z jednej strony podobizna Adama Mickiewicza, z drugiej Władysława Gomułki. Wspólny napis głosi: *Twórcom dziadów!*



Dowiadujemy się, że po ocenzurowaniu „Dziadów” przyszła kolej na Michała Bałuckiego! Krakowskiemu teatrowi zabroniono wystawienia jego komedii pt. *Cieżkie czasy*. Tytuł wydawał się cenzorom zbyt aluzyjny...



O Cyrankiewiczu i jego zdolności utrzymywania się na powierzchni mimo wszystkich zmian i „trzęsień ziemi” — opowiedziano już sobie w Polsce setki dowcipów. Ostatnio o Cyrankiewiczu jakoś cicho na terenie polityki wewnątrzpartyjnej, nie udziela się. Ulica warszawska nadała mu nowy przydomek (po najlepszym pływaku): *Część wymienna!*



Przewodniczący Rady Państwa Edward Ochab spaceruje z żoną po ogrodzie zoologicznym.

— Ooo! — woła żona spojrzysz Edziu, jaka tłusta gęś!

— To nie gęś, Rozalko — zupełnie się nie rozumiesz — to pelikan, z niego się robi atrament...



Rozalka Ochabowa wpada na pogawędkę do Zofii Gomułkowej i widzi na stole ogromną bombonierę.

— Co to, Zosiu — pyta — jakieś święto, dostałaś prezent?

— Nie — odpowiada Gomułkowa — żadne święto. Mój był wczoraj u EWedla i przyniósł do domu.

— Co ty mówisz — dziwi się Rozalka — wyobraź sobie że mój był wczoraj w konserwatorium i żadnych konserw nie przyniósł...



Ostatnio ustalono, że statystyczna rodzina w Polsce składa się z 7 członków: ojciec, matka, dwoje dzieci, 2 Wietnamczyków i 1 Arab.

PLANIFIKACJA A ŻYCIE CZYLI PRL JAKO TAKA

Biorąc przykład z ludzi także i lew postanowił prowadzić życie według planu. Kupił więc sobie zeszytik i poszedł na spacer. Po kilku krokach zobaczył żyrafę, stanął obok niej i powiedział:

— Żyrafo, żyrafo, przyjdź do mnie dzisiaj o godzinie 12-ej. Zjem cię na obiad.

Zapisawszy powyższe w zeszytiku lew poszedł dalej i za chwilę zobaczył hipopotama pluskającego się w bajorze.

— Hipopotamie, hipopotamie — powiedział — przyjdź do mnie dzisiaj o godzinie 17-ej. Zjem cię na podwieczorek.

I zapisał.

Idąc dalej nasz lew zobaczył goryla huśtającego się na lianie. Przystanął i powiedział:

— Gorylu, gorylu, przyjdź dzisiaj do mnie o godzinie 20-ej to cię zjem na kolację.

I zapisał, ale goryl zahuśtał się gwałtowniej i zawołał:

— A ja ciebie p....

— Co — zdziwił się lew — naprawdę? Jeśli tak, to ja ciebie skreślam...



Jerzy Putrament w ferworze dyskusji z cudzoziemcami, jako argument faktu, że Polska prowadzi politykę pokojową zaznaczył, że przecież na czele wojska PRL stoi Spychalski...

Zebrata Zofia HERTZ

Listy do Redakcji

South Bend, 16 grudnia 1967 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z listami pp. K. A. Jeleńskiego i A. S. umieszczonymi w listopadowym numerze „Kultury” proszę o zamieszczenie tych kilku słów wyjaśnienia.

K. A. Jeleński ma zupełną rację twierdząc, że tytuł książki Marshalla McLuhana figurujący w moim artykule został przekreślony. Poprawne brzmienie tytułu winno wyglądać „The medium is the message” i jego zniekształcenie wydaje się być winą korektora. Tytuł ten nie stanowi jedynie gry słów w porównaniu do sloganu wymyślonego przez McLuhana „The medium is the message”, który był, nota bene, użyty jako nazwa rozdziału w poprzednim dziele tegoż uczonogo: „Understanding media”, które ukazało się trzy lata temu. Wręcz przeciwnie, wydaje się że sformułowanie „message” jest logicznym określeniem tego co autor chciał powiedzieć w swej ostatniej książce. Środki masowej komunikacji — według McLuhana są nie tylko samoistnym przekazem stylu kulturowego, lecz stanowią zarazem aparat presji modulujący nasz system wartościowania. Tak więc, wskutek ciągłego „masowania” stajemy się inni, czasem nie zdając sobie z tego sprawy. Ta sama zresztą pomyłka słowna wkradła się do artykułu Londyńczyka w tymże listopadowym numerze „Kultury” („Ewangelie elektroniczne”), choć winę wydaje się ponosić raczej autor a nie korektor.

O ile chodzi o list p. A.S., w którym kwestionuje on podaną przeze mnie wysokość pensji prof. McLuhana płaconej mu przez Fordham University w Nowym Jorku, nie pozostaje mi nic innego jak odesłać go do artykułu jaki ukazał się w *New York Times* (ilustrowany dodatek niedzielny tej gazety z dnia 10 grudnia 1967), gdzie wyraźnie jest podkreślony fakt, że uniwersytet płaci McLuhanowi 100.000 dolarów pensji z uwzględnieniem wydatków („... \$ 100.000 salary and expenses...”). Nie wiem ile zostaje McLuhanowi, który nie ma na Fordham żadnej katedry lecz jest tak zwanym *visiting professor*, na czysto po odtrąceniu podatków, nie zmienia to jednak faktu, że pensja ta jest chyba światowym rekordem pborów profesorskich, płaconych przez poszczególny uniwersytet. Nawiasem mówiąc, Fordham University stał się ostatnio jednym z lepiej płaćcych uniwersytetów w Ameryce, gdyż profesorowie (*full professors*) zarabiają tam przeciętnie \$ 22.000 rocznie (znacznie więcej niż na Harvard czy Yale).

Łączę wyrazy szacunku,

Jan B. de WEYDENTHAL



Londyn, 10 stycznia 1968 r.

Drogi Panie Redaktorze,

We wrześniu ubiegłego roku ukazała się w „Kulturze” moja recenzja kilku najnowszych pozycji wydawniczych Oficyny Stanisława Gliwy. Przy

okazji poświęciłem trochę uwagi praktycznym i estetycznym zagadnieniom, które tego rodzaju impreza wydawnicza za sobą pociąga. Ponieważ (1) Czesław Bednarczyk współpracował kiedyś z Gliwą oraz ponieważ (2) zagadnienia obu oficyn są w pewnym stopniu podobne, wspomniałem *en passant* o Oficynie Poetów. Cytuję:

Czy jednak słuszne jest, by Oficyny drukowały wszystko co popadnie, pod warunkiem, że autor gotów jest pokryć koszt? Oczywiście, że tak, w imię wolności słowa. Zresztą obie Oficyny utrzymują się tylko na zasadzie handlowej, więc nie zawsze mogą pozwolić sobie na luksus dyskryminacji estetycznej. Odrzucenie grafomańskiego rękopisu pociąga za sobą finansowe konsekwencje. Ale też tom złych wierszy pozostaje tomem złych wierszy zupełnie niezależnie od warunków, w których został wydany.

Powiedziawszy tyle, trzeba natychmiast dodać, że w wypadku Bednarczyków, więcej niż adekwatną kompensatą za pewien procent sła-biutkich pozycji są tomy wierszy i prozy Norwida, Sułkowskiego, Brzękowskiego, Czaykowskiego i kwartalnik „Oficyna Poetów”.

Teraz, w liście zamieszczonym w styczniowym numerze, Jan Darowski zarzuca mi spreparowanie „przemysłnej nagonki” na przedsiębiorstwo Bednarczyka. Żeby do takiego wniosku dojść na podstawie lektury powyższego fragmentu trzeba albo bardzo dużo złej woli, albo chorobliwego uczulenia, którego podłoża nie potrafię dociec.

Oskarżenie Darowskiego wiąże się z jego tezą, że, z interesującego nas tu punktu widzenia, kierownik Oficyny Poetów jest nie wydawcą lecz drukarzem i że wobec tego nie jest odpowiedzialny za treść wydawnictw, które wykonuje wyłącznie dla zarobku. Otóż nie ulega wątpliwości, że w pierwszych latach istnienia Oficyna Poetów była bardziej drukarnią niż domem wydawniczym, dziś jednak jest odwrotnie; lecz nawet w owych odległych czasach nie była producentem obojętnym na zawartość książki: wskazuje na to nazwa Oficyna *Poetów*. Kilka lat temu Bednarczyk proponował mi zredagowanie antologii poezji polskiej w tłumaczeniu angielskim; na str. 323 wydanych tylko co „Wierszy” Miłosza czytam: „Na prośbę wydawcy autor w ostatniej chwili dodał pewną ilość utworów pominiętych ze względu na pierwotnie planowany rozmiar książki”. Ale najoczywistszym dowodem, że Oficyna Poetów nie jest po prostu jednym z milionów przeciętnych przedsiębiorstw drukarskich, które ograniczają się do sprawnego wykonywania zamówień najróżniejszego typu klientów, jest kwartalnik „Oficyna Poetów”, który od lutego 1966 r. ukazuje się regularnie pod redakcją Bednarczyków. Pismo to, po niepewnym starcie, szybko osiągnęło rangę jednego z najpoważniejszych periodyków literackich w języku polskim.

W moim artykule ograniczyłem się do problemów wspólnych obu oficynom, ale rozwinąwszy teraz moją charakterystykę Oficyny Poetów, muszę wskazać na równie istotne różnice między nimi. Gliwa jest cenionym członkiem angielskiej Private Press Association, jest dyplomowanym grafikiem i drukarzem. Ale tak jak Bednarczyk nie jest „zwykłym” drukarzem, gdyż w interesującej nas dziedzinie (przez interesującą nas dziedzinę rozumiem polskie artystyczne publikacje i w moim artykule pomiąłem czysto zarobkowe prace przeważnie dla klientów angielskich reprezentujące Bednarczyka wyłącznie w charakterze kierownika drukarni, czyli, że wbrew twierdzeniu Darowskiego, dokonałem rozróżnienia między drukarzem i wydawcą stroną Oficyny Poetów) przejawia działalność wydawcy i redaktora, tak Gliwa nie jest „zwykłym” drukarzem, gdyż dla niego i dla zrzeszenia do którego należy książka nie jest przedmiotem utylitarnym lecz sama w sobie dziełem sztuki. Parę lat temu doroczną nagrodę Private Press Association otrzymał Gliwa za tomik wierszy polskich, mimo że żaden członek jury nie umiał słowa po polsku. Na dobrą sprawę nagrodzona książka mogła być zadrukowana

przypadkowym zbitkiem liter. Oto zagadnienie, które ująłem w artykule w pytaniu „Czy książki należy czytać?“, a które *nota bene* nie ma zastosowania do Oficyny Poetów nie kwalifikującej się na członka Private Press Association.

W trakcie swego listu Darowski przedstawia nową i dość osobliwą elitę moralnie uprzywilejowanych nadludzi: są nimi drukarze i handlarze bronią. Niestety, nawet drukarze i handlarze bronią muszą sobie czasem odmówić zarobku na „śniadanie, obiad i kolację“, czy to ze względu na własne skrupuły moralne, czy też ze względu na obowiązujące w danym społeczeństwie prawa.

Poeta i krytyk Darowski zaatakował mnie w imię solidarności z drukarzami. Niech mi wolno będzie z kolei zaapelować do niego w imię solidarności z pisarzami. Niech mianowicie zaabonuje „Kulturę“, wówczas pismo będzie mógł czytać regularnie zamiast wertować stare numery, które przypadkowo wpadają mu w ręce. W ten sposób unikniemy sytuacji, w której korespondent, korzysta z faktu, że czytelnicy słabo pamiętają treść artykułu sprzed czterech miesięcy i gotowi są teraz uwierzyć, że moje omówienie wydawnictw Gliwy było w rzeczywistości „nagonką“ na przedsięwzięcie Bednarczyków.

Łączę pozdrowienia i wyrazy szacunku,

Adam CZERNIAWSKI

Paryż, 10 lutego 1968.

Przystępując do opracowania dziejów „Legionu Młodych“, proszę wszystkich członków tej Organizacji, oraz tych, którzy mieli do czynienia z polskim ruchem młodzieżowym przed wojną o nadsyłanie materiałów, dotyczących „Legionu Młodych“, wspomnień osobistych itp. Proszę swoją kierującą zwłaszcza do osób przebywających w Polsce. W chwili obecnej najbardziej mi zależy na wszelkich danych poprzedzających okres powstania Legionu Młodych, oraz pierwszego zebrania konstytucyjnego tej Organizacji. Z góry wszystkim dziękuję za łaskawą współpracę.

Janusz LASKOWSKI

40, Avenue de la Bourdonnais
(75) Paris 7^e, FRANCE

Sao Paulo, 8 stycznia 1968.

Szanowny Panie Redaktorze,

Jestem przekonany że jest Pan wstrząśnięty również silnie jak ja wiadomością wypowiedzenia prenumeraty przez p. Gutowskiego (*Kultura* nr 12/242). Jednakże jego śpiew łabędzi w formie listu do Redakcji wymaga paru komentarzy.

Stanowi kardynalny błąd nie umieć rozróżnić Żydów od Izraelczyków i przelewać swe niechęci i anse na młody naród otoczony ze wszystkich stron wrogami, którzy przysięgli zmieść go do morza, i który walczy o byt. Czy naprawdę nie dostrzegamy analogii pomiędzy zagadnieniem cieśniny tirańskiej a Korytarzem w 1939 r. O Gdańsk myśmy też „sprowokowali“ wojnę.

Trudno. Historia niektórych czegoś zdołała nauczyć a innych nic. Ale szczytem wszystkiego jest stwierdzenie że „bałwochwalcze zachwyty *Kultury* nie zmieniają... antypolskiego nastawienia Żydów”.

Wiemy, niestety, że takie nastawienia istnieją. Ostatecznie kołtuństwo,

kompleksy i zaślepienie nie stanowią cech wyłącznie polskich. Ale z tego stwierdzenia wychodzi jak sztyło z worka, że grupa ludzi nie może wyrazić jakiegoś poglądu bezinteresownie, tak jak jej to sumienie dyktuje. Okazuje się, że każde zajęcie stanowiska musi dać jakąś bezpośrednią korzyść, albo kogoś przekonać, albo mieć na celu otrzymanie od kogoś pieniędzy. „Bałwochwalcze”. Hm. Zajrzałem jeszcze raz do odezwy: „Składamy hołd Izraelowi i cieszymy się, że wypadło mu być 'natchnieniem świata' w zwycięstwie — a nie jak nam, w klęsce”. Uważam że jest pełna godności i podpisuję się pod nią bez zastrzeżeń.

Przekonania p. Gutowskiego pokrywają się całkowicie ze stanowiskiem rządu PRL. Gratuluje. W nrze 9/239 *Kultury* ukazał się list otwarty p. J. Załęskiego do Gomułki, zwracający mu Złoty Krzyż Zasługi oraz Medal 10-lecia Polski Ludowej. Trudno oprzeć się wrażeniu że po te medale wyciągają się ręce nie tylko w Polsce.

Łączę wyrazy szacunku,

Adam POLAKIEWICZ



Forest Hills, N.Y., luty 1968.

Szanowny Panie Redaktorze,

W dziele Władysława Pobóg-Malinowskiego „Najnowsza Historia Polityczna Polski” (Drugie wydanie przejrane, poprawione i uzupełnione oraz ilustrowane, Tom Drugi 1914-1939. B. Świdorski — Londyn 1967. Tom II przygotował do druku Bogusław Miedziński) na stronie 590 autor, omawiając historię próby tworzenia rządu R.P. w lecie r. 1922 przez Wojciecha Korfanteo, stwierdza w przypisie nr (20), że Korfanty już o rok wcześniej miał zwracać się do Naczelnika Państwa, Józefa Piłsudskiego, z propozycją „współrządów” i „rozpedzenia Sejmu” a w czasie omawianego kryzysu miał prosić Naczelnika Państwa o zatwierdzenie nominacji na premiera mówiąc: „Panie Naczelniku, nigdy nie miał Pan bardziej oddanego premiera, niż go będzie miał Pan we mnie”.

W związku z powyższym istnieje uzasadniona wątpliwość, czy cytowane, a włożone w usta Korfanteo, słowa zostały istotnie przez niego wypowiedziane. Proszę tą drogą p. Bogusława Miedzińskiego o wskazanie źródła historycznego, na którym powyższe cytaty zostały oparte.

Z wyrazami poważania,

Tadeusz ULLMANN



Dunville, Ont., 1 stycznia 1968 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Zawsze z dużym zainteresowaniem czytam w „Kulturze” artykuły p. J. Mieroszewskiego i w wielu wypadkach jego poglądy są zgodne z moimi lub też trafiają mi do przekonania.

W numerze listopadowym 1967 r. „Kultury”, w artykule „Problem” Londyńczyk, komentując przemówienie amerykańskiego ministra obrony R. McNamary, wszedł w dziedzinę, w której nie całkiem jest zorientowany i przedstawił obraz niezwykle zgodny z rzeczywistością.

Londyńczyk pisze, że dowódca amerykańskiej łodzi podwodnej może być zmuszony do powzięcia bardzo ważkiej decyzji ataku odwetowego. W rze-

czywistości jego rola jest ograniczona do ściśle wykonawczej. Nie tylko nie ma prawa, ale nie ma nawet możliwości pobierania decyzji. Ma cele z góry przydzielone, co dwie minuty koryguje swoją pozycję i poprawia nastawy; od chwili otrzymania rozkazu radiowego, w ciągu kilkunastu sekund pociski są w powietrzu.

O wynikach działania pocisków nieprzyjaciela na terenie Stanów Zjednoczonych, dowódca łodzi podwodnej może się dowiedzieć w kilka lub nawet kilkanaście godzin po ataku.

Od czasu uchwycenia pocisków nieprzyjaciela przez radar, do czasu wybuchów na terenie Stanów Zjednoczonych, jest kilkanaście minut czasu; wysłanie rozkazu do łodzi podwodnych i wystrzelenie pocisków „Polaris” czy też ostatnio „Poseidon”, w najgorszym razie może zająć kilka minut.

Tym samym, kiedy pociski agresora będą wybuchały na terenie Stanów Zjednoczonych, pociski odwetowe będą w powietrzu nad terytorium nieprzyjaciela.

Na tym właśnie polega obecnie zabezpieczenie świata przed wojną atomową.

Natomiast, niebezpieczeństwo wojny atomowej w najbliższej przyszłości może zagrażać ze strony państw, które rozbudowują lub będą posiadały broń atomową; gdy jakiś generał chiński czy murzyński może rozpętać tę wojnę.

W związku z tym, nasuwa się wniosek, żeby uchronić świat przed wojną atomową, Stany Zjednoczone w porozumieniu z Rosją Sowiecką powinny zmusić inne państwa do zniszczenia bomb atomowych i wodorowych, znajdujących się obecnie w ich posiadaniu i ustalić globalną kontrolę nuklearną.

Łączę wyrazy szacunku.

Jan J. WIŁKOYC

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W. 4. — Telefon: 01-994-1860

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI,
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 387456.

Kanadyjski korespondent „Kultury”. Wacław IWANIUK,
263 Keewatin Ave., Toronto 12, Ont. Telefon: 481 93 63.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 1^{er} Trimestre 1968

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Roman Krolikowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg	75 cent.	R 4,20	R 8,00
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	5,00 F	28,00 F	54,00 F
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	\$ A 1,00	\$ A 5,35	\$ A 10,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczubot, Wien I, Schönlatern-gasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14		145 szyl. a.	280 szyl. a.
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, Bruxelles 3, Nr konta pocztowego 7315-20	60,00 F. b.	300.000 F. b.	560.00 F. b.
BRAZYLIA : Jerzy Pomian-Piatkowski, rua Guara 143, villa Pompeia, Sao Paulo. Tel. 62-0523.			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
HOLANDIA : Inz. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, tel.: 40-73, Postgiro 1379176.	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto 3, Ont. K. Krakowska, 2318 Hingston Ave. Montreal 28, Quebec, tél. : HU 8-5224; « ZWIAZKOWIEC », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491; Jozef Polkowski, 110 Cobourgh Str., apt. 301, Ottawa 2, téléphone : 233-7212.	1,50 \$ Can.	8,00 \$ Can	13,00 \$ Can
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss. ...	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm.	6,00 Kor.	30,00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A. : J. Bienkowski, 627 Tracy St. Utica, N.Y. 13502; S. Dobczynski, Alma Shipping C°, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 N° Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoya Av., Hollywood, Cal. 90028; M. K. Dziewanowski, 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; Adam J. Galinski, 1727 Mass. Ave. N.W., Washington, D.C. 20036; T. Konopacki, 11839 Edgewater Dr., Lakewood, O. 44107, tel. LA-1-2305 ; Christian M. Kretowicz, 4477 Wilson Ave., San Diego, Cal., 92116; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083; Polish Amer. Book C° 1136 Milwaukee Av., Chicago Ill. 60622; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia, Pa 19125; The Polish Book Importing C°, Inc., 156 Fifth Ave., New York, N.Y. 10010; R. J. Sas-Babczynski, 9530 East Rosecrans Ave, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik, 674 Farmington, Ave., New Britain, Conn. 06053; Jan Zych, 5515 Tarnow, Detroit, Mich 48210, Tel. : 899-5165.	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W. 11.....	5,00 F	28,00 F	54,00 F
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27 Tél. : 75-67-241	700 L	3.600 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

**INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18.228-56.**

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM 148 — TOMASZ STALIŃSKI

WIDZIANE Z GÓRY

Pierwsza powieść o Polsce Ludowej, której bohaterami są członkowie Biura Politycznego KC PZPR

Str. 320

Cena egz. 18,50 F (dol. 4,00)



**TOM 150 — SERIA „ARCHIWUM REWOLUCJI”
SWIETLANA ALLILUJEWA**

DWADZIEŚCIA LISTÓW DO PRZYJACIELA

Przełożył z rosyjskiego L. Perzanowski
PRZEDMOWA GUSTAWA HERLING-GRUDZIŃSKIEGO

Str. 256

Cena 15 F (dol. 3,25)



**TOM 151 — SERIA „ARCHIWUM REWOLUCJI”
ALEKSANDER WEISSBERG-CYBULSKI**

WIELKA CZYSTKA

Przekład Adama Ciołkosza
Ze wstępem Gustawa Herlinga-Grudzińskiego
Najbardziej wstrząsający dokument z okresu stalinizmu.

Str. 576

Cena egz. 30 F (dol. 6,50)



TOM 152 — LEOPOLD TYRMAND

ŻYCIE TOWARZYSKIE I UCZUCIOWE

Powieść o potędze małości w socjalizmie

Str. 520

Cena egz. F 26 (dol. 5,50)

Cena 5,00 F